

Strzemińczyk

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

STRZEMIEŃCZYK

TOM PIERWSZY

I

Kto by był wiosennego jednego wieczora 1412 r. spotkał się z panem Cedrem

Strzemieńczykiem i zajrzał mu we krwią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofałdowanemu jego czołu, zaciętym ustom i ręką silnym w kulaki, jakby do boju pościskanym, uwierzyłby łącno temu staremu podaniu, które głosiło, że rodu tego ludzie, Strzemieńczycy, głównymi byli i

najokrutniejszymi przy zabójstwie św. Stanisława popędliwego króla pomocnikami. Temu

przypisywano, że ród Strzemieńczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemieńczyk, choć z dobrego szlacheckiego wiódł się gniazda, choć pradziad jego

jeszcze znaczne majątności dzierżył w Krakowskim, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłapiec ziemi pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu ze dwojgiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewska nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych z tym domem związków, Różyce i Sreniawici polecili go królowi

Jagielle, przy którego on dworze się wysługiwał, pełniąc różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na rejestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgiel jakiś, do niczego już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka, niegdyś olbrzymią, siłę wyczerpały.

Nie. miał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie, zahartowani od młodu, trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań można mu było dać

dziesiątkiem więcej, tak podupadł, szczególnie na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać mu już było ciężko i one go słabszym czyniły. Na nogach

ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie. Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemieńczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie, świątobliwej niewieście,

synaczków mu dwóch zostało. Przy ubóstwie wielkim i siłach ubywających, troska o nich dniem i

nocą pokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbytecznie, stękał, że ani im ma co zostawić, ni ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach.

Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczy króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszłości, tylko służbę na koniu z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wołano, do stanu rycerskiego okazywał powołanie, jakiego ojciec sobie życzył; lecz był też, jak przyszły wojak, niepomiernie zuchwały, drapieżny, a co gorzej, przebiegły, płaszcący się, kłamca zręczny i pochlebny. Ojciec mu wiele przebaczał widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej rokował. Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał.

Ten się ojcu nie wyklamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego nałamać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak, choć się krwią oblał, nie pisnął nawet i poprawy nie przyobiecał.

Ojciec krzyczał, że z nim na gałąź potrzeba, bo innej rady nie ma.

Trudno się było domyśleć, o co mu chodziło. Oto Grześ ów, starszy, mimo zakazu całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami, taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka bakałarstwo znajdował niepotrzebnym. Spiewywał też ślicznym głosem w kościele Grześ, co, jako babską rzecz, ojciec potępiał.

— Klechy w rodzinie mieć nie chcę i nie potrzebuję — powtarzał ciągle stary.

Grześ teraz dwunastoletni, Zbilut o dwie lecie młodszy, przykazanym mieli od rana dziirytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było jakie chcieli harce wyprawiać, byle nie ślęczeć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy poznawszy się z bakałarzem przy farze, który go polubił, ciągle zbiegał do niego, potajemnie się uczył chciwie pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodze ciemniżył, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można. Cedra to czasem we wściekłe gniewy wprawiało, naprzód, że nieposłuszeństwa w dziecku ścier pieć nie mógł, po wtóre, że nauką jako rycerzowi niepotrzebną się brzydził, a klechów nią się parających nie znosił. Było to może we krwi.

Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, oba piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce.

Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował, ojcu donosił, gdy co pochwycił, lizał mu się i przypochlebiał nikczemnie.

Zbroiłli co i na karę zasłużył, umiał się zręcznie wyklamać i wyprzysiąc, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skruchę udawać, choć się potem wyśmiewał z jego łatwowierności.

W młodym wieku wniwecz już był popsuty. Uchwycić coś potajemnie, złasować, psotę krwawą wyrządzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć, było dlań najmiłym. Gdy swawolić nie mógł, do góry brzuchem leżeć objadłszy się i próżnować gotów był dnie całe.

Ojcu się przypochlebiając, z tyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności.

Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi. Na zuchwalstwie mu nie zbywało, a męstwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszym się nie ważył.

Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał. Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałość i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakałarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że Grześ, zdawało się, jak by sobie przypominał tylko to, czego nauczano go, tak mu wszystko łącznie przychodziło.

Dziwniejsza rzecz, byle najmniejszą skazówkę miał, sam już dalej szedł tą drogą, jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany, z oczyma dużymi, ciemnymi, w których już niedziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

W początkach nie był ojciec temu przeciwnym, aby synowie się czytać nauczyli, ale klechów z nich robić nie myślał i ta Grzesia namiętność uczenia *się* coraz więcej, coraz innych rzeczy, okrutny gniew w nim obudzała.

Śpiewanie i brząkanie na cytrze karał smaganiem nielitościwym.

Zakazał mu przestąpić później próg szkoły, bakałarzowi zagroził, jeśli go śmiało przyjmować, siekł nieposłusznego, ale wszystko to nie pomagało.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tym donosił. Cedro bił, a chłopak wracał do swego i poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągła więc walka była pomiędzy krnąbrnym Grzesiem a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu taką z synem przeprawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlaższy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie wiedzieć skąd kawał papieru czy skóry.

Pochwycono go na uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz zburzony cały po izbie w dworku swoim się przechadzał, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłonać. Nie mając się przed kim skarżyć, mruczał i klął po cichu.

Sponiewierany chłopak, z potarganą czupryną, oprócz różeg napytawszy sińców, siedział za węglem dworku, podparty na rękę i dumał.

Boleść mu łzy z oczów wycisnęła, ale na pięknej, smutnej jego twarzyczce więcej było zadumy niż gniewu. Dwunastoletnie chłopię rozmyślało.

Zza drugiego węgła niepocziwy Zbilut wyglądał, podpatrywał, aby coś donieść ojcu na brata. Nie mógł jednak dojrzeć w nim tej złości, jaką by on sam uczuł, gdyby go podobna kara spotkała. Grześ biedny wzdychał i dumał. Widać było, że ojcowską władzę, nawet gdy niesprawiedliwie karciała, uznawał i poddawał się jej z pokorą, szukając tylko środków, aby pogodzić wolę ojca z tym, czego własna jego dusza pragnęła.

Dawszy się bratu wywzdychać, Zbilut, który zarówno ojca, jak jego okłamywał i udawał, że się nad losem Grzesia lituje, zbliżył się powoli do niego.

Twarz, na pół dziecięca, niezręcznie przybrać usiłowała wyraz serdeczności i współczucia, poza którym kryło się szyderstwo.

— A, a — szepnął po cichu — mój Boże, jaki ten ojciec okrutny i niemiłosierny! To cię skatował!

Grześ popatrzył nań i nic nie odpowiedział. Zbilut stanął przed nim, bacznie w niego wlepiając oczy. Chciał wyzwąć na słowo, które by ojcu powtórzył. Starszy milczał.

— Po co bo tobie ta szkoła i głupie pisanie — dodał. Ramionami poruszył tylko Grześ.

Domyślał się i odgadywał brata, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wieczerzę do izby niosła, chłopców na nią wołając. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węglem.

Ojciec też, obejrzawszy się, że go nie ma przy stole, nawet się nie upomniał o niego.

Poczekawszy dopiero, gdy Cedro jedząc ochłonał, Zbilut się odezwał po cichu.

— Grześ za węglem siedzi, kułaki gryzie ze złości, żeby choć zapłakał!

— Milcz! — przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia, widok jego obudzał w nim gniew niepohamowany, chęć złamania uporczywej duszy krnąbrnej, ale dziwił się temu charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczerzy stary jadł mało, mruczał, pięścią o stół bił, na pochlebce nawet nie spojrzał.

Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakimi by nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nieprędko też legł spać Cedro, choć się czuł zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do izby, w której oba sypiali, i do snu pospieszył.

Najpóźniej, na palcach, po cichu wśliznął się do komory Grześ i nie rozbierając rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we dworku, oczy przetarł już o białym dniu, na posłaniu obok Grzesia nie było.

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pewnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do bakałarza, który był jego opiekunem i powiernikiem.

Nie mylił się chłopak domyślny i byłby może korzystał z tego, puszcżając się za bratem i śledząc kroki jego, aby

o nich donieść ojcu, ale pilniejszego coś miał do czynienia, bo żarłocznym był i łasym, a naprzód musiał u gospodyni coś odkraść, aby głód zaspokoić. Wiedział też, kędy kury się niosły i jaja podbierał, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywlókł na miasto.

Od dworku Strzemińczyków do fary spory kawał drogi iść było potrzeba krętymi uliczkami, ale Grześ miał sobie tylko znaną bliższą drożynę, między sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Budynek szkolny przy farze, w którym się bakałarz z kantorem mieścili, tak był nędzny i opuszczony, jak większa część podobnych domostw w onym wieku. Wprawdzie nie było znaczniejszego kościoła, który by szkoły nie miał, choć do niej niewiele dzieci uczęszczało, ale mało gdzie starano się pilniej o ściąganie ich i regularne nauczanie młodzieży. Szedł, kto chciał i kogo posłali rodzice.

Byli przy farach scholastycy, którym dozór szkół z obowiązku przypadał, ale ci doglądali tylko, aby bakałarz wedle przepisów synodalnych naukę wpajał i religijne zasady. Nikt do szkoły nie napędział.

W miastach niektóre rodziny, liczniejszym męskim obarczone potomstwem, w widokach poświęcenia stanowi duchownemu jednego z synów oddawali bakałarzowi. Posyłała dzieci z tąż myślą uboga szlachta. Dla wielu duchowna sukienka wydawała się lżejszą do noszenia od kubraka i zbroi.

Bakałarze, klechy, kantorowie byli to także biedacy albo wzdychający do święceń, lub klerycy niedouczeni, którzy nie mogli ich otrzymać; głodem przymierali posługując przy kościołach.

Z mnogich jednak widać przykładów, że w takich szkółkach dosyć skutecznie uczono pierwszych zasad, krzewiono początkowe przygotowawcze wiadomości, gdy tacy z nich ludzie wychodzili jak arcybiskup Wojciech Jastrzębiec, co zaczął od farnej szkółki w Bensowie.

Nie wzdragała się ich szlachta uboższa, synów na księży chcąc sposobić, a osobnego bakałarza trzymać do nich nie mogąc.

Za kostnicą, między murowanym domem proboszcza a wikarią, stała drewniana szkoła, tak opuszczona i biedna, że nie lepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży przeznaczoną, reszta służyła za skład łomu i rupieci kościelnych, a komora przylegająca za schronienie kantora i bakałarza. Nie zawsze nawet szkoła ta nie zajęta bywała, bo lecie gospodyni proboszcza rozkładała się w niej nieraz z zieleń i warzywem, jesienią z owocami i nasionami, a szanować musiano, co pieczy bakałarza powierzyła.

Dziwnymi też zapachami woniała nie przewietrzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zielenina, stęchlizna, dym przywrzały do ścian i kościelnego kadzidła resztki razem się mieszały.

Światło wpadało skąpe, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu porzniętego przez dzieci, pary półek u ścian i popękane pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko chyba dzieci przez miłosierdzie zamiotły.

Bakałarz, posiwiał już w spełnianiu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprawdzie różgi za piecem w ceberku moknące, ale częściej je pokazywał dla postrachu, niż używał.

Niepozorny, zbiedzony, całego życia niepowodzeniem złamany, dobił się już był do tego skraju, na którym stojąc pa- trzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc. •

Największą dla niego rozkoszą było młode umysły do życia budzić, wpajać im to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, czytać je i dumać nad nimi.

Rękopismu nowego dostawszy, o co naówczas bakałarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce przy kaganku czasem spędzając nad Boecjuszem" lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas do Polski te skarby mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawach Kościoła lub dla nauk wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemieńczyka nauczycielem i wychowawcą tym swoim czuł się dumny. Miał on go za dziecię cudowne, od Boga ubłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakałarz ledwie się był, umywszy i pacierz odmówwszy, przygotował iść na jutrznię do kościoła, gdy z podziwieniem ujrzał wpadającego żywo do komory ulubieńca swego, z zarumienionymi policzkami, zdyszanego, przelętego. Nic nie mówiąc chłopak pochwycił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

— Cóżes ty tak rannym ptakiem? — zapytał niespokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakałarz wiedział, co chłopiec cierpiał od ojca, ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

— No, mów! — rzekł głosem cichym.

— A, ojczulku — odezwał się Strzemieńczyk, nawykły go tak nazywać — nie wiem, co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża! Ojciec... Ojciec...

Bakałarz potrząsnął głową znacząco, jak gdyby powiedzieć chciał:

— Wiem ci ja, ale rodziców szanować trzeba! Chłopak westchnął.

— Dlatego, że ojca szanuję i gniewać go nie chcę, muszę precz stąd, muszę.

Żachnął się Ryba w tył cofając.

— Co tobie, na Boga miłego! Dokąd?

— Dokąd? albo ja wierni — szepnął Grześ. — W" świat! Do Krakowa... Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mówili mi nieraz, że głosu Bożego słuchać trzeba, a ja czuję go w sobie! Bez nauki żyć, wolałbym umierać, dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy, chłopiec czarnymi oczyma bystro spojrzał na bakałarza, który stał smutny i zamyślony.

— Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich jak ja pacholąt ludzie są litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

— Dziecko, dziecko! — podchwycił bakałarz. — Bóg ci litościwy jest nad opuszczonymi i

ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła, nie wiesz, co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsnął się dumnie.

— Alboż to ja cierpieć nie potrafię — zawołał — albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka do głodu nawykłem i chłodu.

Tu pocałowałszy znowu w rękę bakałarza, jak by go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał.

— Nauczyliscie mnie trochę śpiewać, po ulicach pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dobrzy dają kołacze i grosze. Umiem też, z łaski waszej, pisać niczego...

Ryba się uśmiechnął klepiąc go po ramieniu.

— A, ty, ty — rzekł weselej — niczego! Ty malujesz, nie piszesz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze starymi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tym nie ma co mówić, to prawda, to prawda. Grześ przerwał żywo.

— No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowlókł do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanii nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmią. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będę syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

— A ojciec? — cicho zagadnął Ryba. — Co powie ojciec, gdy cię nie stanie.

Grześ oczy spuścił.

— Ojcu się Żbilut zostanie — odparł cicho. — On go lepiej niż mnie kocha. Ja mu tylko zgryzotą jestem i ciężarem. Zbędzie się, zapomni, lżej mu będzie. Słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie — dokończył smutno — płakać nie będzie.

Bakałarz zadumany, nic nie mówiąc, głową potrząsał. Stał w niepewności jakiejś, nie chcąc ni radzić, ni odradzać. Dziecka mu ulubionego żał było, które się tu mogło zmarnować. Miał to przekonanie, że w Krakowie z niego coś nadzwyczajnego zrobią. Z drugiej strony, postradać tego ucznia, tego ulubieńca, którego sam własnym tchnieniem wywiódł tak cudownie ze swawolnego pacholęcia, żał mu było.

Grześ pisał tak ślicznie, a wszystkie charaktery naśladował tak kunsztownie! W kościele gdy śpiewał, głos miał tak piękny, że do łez poruszał, do modlitwy duszę podnosił!

To dziecię biedne puścić w świat na stracone imię, na losy, które Ryba znał najlepiej, bo ich sam doznał w wędrowkach po świecie, żał srogi!

Ukradkiem stary bakałarz otarł rękawem oczy, ale myśl mu przyszła, że Bóg ojciec sierotom.

Na twarzy chłopca malowało się po tęsknocie takie męstwo, takie pragnienie tego, co mu przyszłość gotowała, takie jakieś powodzenia przeczucie, że wstrzymywać go, któż wie, czy się godziło.

— Ojczulku! — dodał Strzemieńczyk śmiało. — Myślałem całą noc, modliłem się Panu Bogu, prosiłem go o natchnienie. Już to postanowione. Nie przeciwcie się. Idę w świat! Za ojca wy mi dajcie błogosławieństwo.

I przykląkł przed nim, za rękę drżącą chwytając starego, który głowę jego ujawszy, modlitwę cichą szeptać zaczął. Popłakali się oba. Mówić już nie było co więcej.

Dzwoniono na jutrznię, poszli razem do kościoła, ale ostrożny bakałarz, obawiając się, aby stary Cedro nie przyszedł tu szukać syna, ukrył go na chórze i drzwi zaryglował.

Grześ upadł na kolana, złożył ręce i modlił się gorąco.

Mało na jutrzni pobożnych było, oprócz kilku starych kumoszek z różańcami w rękę; mieszczanie na wiosnę mieli dosyć do czynienia w polach i ogrodach. Msza już była przy ofiarowaniu, gdy męskie buty i chód posuwisty usłyszał bakałarz, głowę wychylił i zobaczył Strzemieńczyka starego, który idąc na wszystkie się strony oglądał, niewątpliwie szukał syna. Grześ się przychylił i za słup schował.

Cedro ukląkł w ławie mszy świętej słuchać, bo bezbożnym nie był, ale domyślił się łatwo bakałarz, że on tu nie dla nabożeństwa, ale dziecka zbiegłego przyszedł szukać.

Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy Ryba chłopcu dając znak, aby pozostał na chórze, sam zszedł z niego, następcząc się Strzemieńczykowi, bo wiedział, że go pytać będzie. Sam nie zaczepiając starego, z wolna, święconej wody wziąwszy u drzwi, wyszedł Ryba na cmentarz.

Cedro za nim pospieszył, brwi miał ściągnięte i twarz posępną.

— Nie wiecie o Grzesiu moim? — zapytał rześko.

— Albo co? — odparł Ryba.

Staremu gniew tymczasem ze krwią do głowy bił.

— Zbiega mi, bestia krnąbrna, dla tej waszej nauki, która mu się na nic nie zdała. Siekę go, morduję i nic nie pomaga.

Bakałarz poruszył ramionami.

— A ja co na to mogę? — odparł.

— Wy — krzyknął w pasji Strzemieńczyk, rękę podnosząc do góry — wyście mu pierwsi głowę nabili tym przeklętym obiecadłem, a jemu ono do czego! Klechy z niego mieć nie chcę, dosyć jest tych darmożjadów! He! Ryba słuchał obojętnie.

— Po coście go uczyli? — powtórzył Cedro.

— Bo tak Pan Bóg przykazał — odparł bakałarz — a Bożego przykazania słuchać muszę, nie waszych gróźb. Dziecko do nauki miało ochotę i zdolność, com go nie miał uczyć.

— Ja lepiej wiem, co mojemu dziecku potrzeba — wyrwał się coraz popędliwiej

Strzemieńczyk — jam nad nim panem, nie wy...

Nie chcąc dalej rozprawiać z nim, bakałarz ruszył zwróciwszy się ku szkole i zostawił

samego zagniewanego starca, który pluł i kłął, a w końcu nie mając z kim się kłócić musiał nazad do domu iść. Po drodze jednak skręcił do szkoły i nie wchodząc do niej, u okna tylko stanąwszy, zakrzyczał na głos:

— Jak mi go tu przyjmować i chować będziecie, szkołę podpalę, tak mi Boże dopomóż!

Rąk moich nie ujdziecie!

Ryba zbliżył się do okna.

— Idźcie z Bogiem, a nie krzyczcie! Dziecko zamęczone w świat poszło... mieć będziecie je na sumieniu... Nie ojcem mu byliście, ale oprawcą...

To wyrzekłszy zniecierpliwiony Ryba od okna odstąpił i poszedł się zamknąć do komory.

Cedro stał chwilę zadumany, ramionami zzymając, oglądał się, czy z kim waśni przedłużyć nie znajdzie, na ostatek mrużąc się powlókł do domu.

Nie chciało mu się dawać temu wiary, ażeby syn mógł w świat ujść od niego.

Gdy Strzemieńczyk z dala już był od fary, po drodze znajomych zatrzymując i rozwodząc

przed nimi żale swe do bakałarza i klechów, Ryba przez zakrystię do kościoła powrócił, wszedł na chór i wyzwolił stamtąd Grzesia.

— Nie chcesz do ojca powracać? — zapytał go. Chłopak wstrząsł się cały.

— Nie mogę — rzekł — wolę głodem mrzeć! W świat pójdę.

Zadumał się Ryba długo. Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jak by tego dokonać.

— Gotów stary jeszcze cię tu szukać — odezwał się po chwili — musisz się więc ukryć, dopóki ja nie opatrzę cię na drogę. Chodź za mną.

Ryba, mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześliznął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był skład zamknięty rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły.

Stały tu rusztowania od przybierającego na Wielki Tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie, wschody od wielkiego katafalku rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i całe kupy lampek glinianych, którymi czasem farę oświecano.

Każdy choćby najmężniejszy dzieciak, wieku tego co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej

izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytająco, czy do wieczora się tu skryć zechce. Grześ odpowiedział wesoło głową potakując i przeżegnawszy się wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach złowrogo, na czarnych deskach wytrzeszczające zęby, głowy trupie widać, było. Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzec, gdyby ojciec lub brat go tu szukał.

Miał najmocniejsze postanowienie nie powracać już do domu, choć za nim tęskno mu było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dodawało odwagi. Siedział cierpliwie, czekając, co z nim Ryba postanowi. O południu otwarły się drzwi ostrożnie, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę od ust sobie odebraną, aby go pokarmić, kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

— Iść, iść — począł mruzczyć niespokojny — dobrze to mówić, a wieszże drogę, do

Krakowa kawał... Gościniec ci jest, ale dróg siła, a jak się obłąkasz.

— Ludzie mówią, droga wszelka na końcu języka — odparł Grześ.

Popatrział bakałarz.

— A nuż stary w pogoń pojedzie lub pośle? — zapytał.

— Sam pojechać nie może — odezwał się chłopak — posłać nie ma kogo. Pomyśli, że już dziś zbiegł, i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku... pewnie się nie bardzo o mnie zatroszczy.

Ryba podparty na rękę dumał.

— Żywczak jutro do dnia do Dukli i Starego Sącza jedzie za kupią, a bodaj i na Węgry.

Można by uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam, dokąd sam jedzie... Z Sącza do Krakowa...

— Dam sobie rady — przerwał Grześ śmiało — nie obawiajcie się o mnie.

— Ale czy Żywczak zechce i ojca się waszego nie złąknie? — dodał Ryba.

Żywczak różną kupię z Węgier był zwykły przywozić, człowiek śmiały, czeladź miał

zbrojną, bo w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można było się pokazywać. Znał go Ryba i postanowił rozmówić się z nim zaraz, więc Grzesia znowu w izbie zamknawszy poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sanoku, a choć, ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakałarz dlań, chudzina, niewiele znaczył, ale zawsze suknię na nim kleszą szanowano.

Gdy Ryba, Chrystusa chwając, do izby wszedł, zastał Żywczaka z dwoma

współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

Woźnica i kupiec, zobaczywszy go, pewien był zrazu, że bakałarz, jak to się kilkakroć do roku trafiało, przyszedł, aby sobie gomółkę jaką lub osełkę wyprosić, płacąc za nią życzeniem szczęśliwej podróży i obietnicą modlitwy.

Wesoło go jednak powitał i kubek przed nim postawił. Ryba miód przyjąwszy, nierad temu, że świadków niepotrzebnych tu zastał, siedział długo milczący. Mieszczanie jednak nie bawiąc się porozchodzili.

— Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu — odezwał się bakałarz korzystając z tego, że zostali sami — ale osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem, jak począć!

Stanął Żywczak przed nim.

— Mówcież no — rzekł krótko.

— Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie gospodarzu — począł bakałarz przyepochlebiając się Żywczako-wi — iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgoła nie rozumiał, co to znaczyć miało.

— Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby swojej przeznaczył —

ciągnął dalej Ryba — a tu ojczysko uparte uczyć mu się nie daje... Nie ma innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej niż nasza posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Marii.

— A cóż ja na to wam poradzić mogę? — spytał zdziwiony Żywczak.

— Jedzicie pono do Dukli, a może i do Starego Sąd-cza — rzekł Ryba.

— Pewnie! — potwierdził Żywczak.

— Toż byście dla miłości Bożej podwieźć mogli biedactwo — dokończył bakałarz, rękę zniżając do kolan Żyw-czaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny, głową potrząsał.

— Cóż to za jeden ten wasz chłopak? — zapytał. — Od ojca go odkradać... dziecko własne!

A gdyby mi tak kto mojego chciał wziąć!

— Wy byście pewnie woli Bożej się nie sprzeciwili, boście człkiem pobożnym i rozumnym, a wiecie, iż się nie godzi.

Żywczak wciąż głową kręcił, niezupełnie przekonany.

— Czyjże to chłopiec? — zapytał.

Bakałarz jeszcze się wahał z odpowiedzią i dodał:

— Katuje go ojciec za to, że się uczyć chce, a chłopiec już dziś śpiewa w chórze i pisze tak jak z nas żaden!

— Może go jednego ma? — wtrącił Żywczak.

— Dwu ich u niego — rzekł żywo Ryba.

Patrzali sobie w oczy, mieszczanin nie okazywał ochoty mieszać się w tę sprawę drażliwą.

— Powiedzcież mi, czyj chłopiec jest? — zapytał powtórnie Żywczak.

— Nie zdradzicie mnie przecie? — przebaknął bakałarz.

— Albom ja taki, co za język ciągnie, aby człeka sprzedał — ofuknął obrażony mieszczanin

— po mnie się to nie okazało.

Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

— Miejcie litość — rzekł. Potem obejrzał się dokoła i szepnął mu do ucha: —

Strzemieńczyka starszy...

Żywczakowi się oczy zaśmiały. Wróżba była dobra. Znał on starego Cedrę i niejedną się raz z nim waśnił, a nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczańskim dostatkim głowy ugiąć nie chciała.

— Strzemieńczyka chłopiec! — zawołał. — Nie dziwota, że od niego ucieka, bo z tym

katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już nie ma, boby z nim co dzień przyszło się borykać.

— Wóz jeden kryty skórą idzie — dodał — chłopca do środka wsadzić każę i do Dukli a

bodaj i do Starego Sądca powiozę, ale co potem, bo ja na Węgry zawrócę.

Bakałarz ręce aż złożył z wdzięczności i zawołał:

— Z Sądca pójdzie pieszo, radę sobie da! W klasztorze go pokarmią, bo tam panny od

furty nikogo głodnym nie odprawiają.

Śmiał się Żywczak.

— Dobrze tak staremu panoszy! — dodał. — Jeść nie ma co, a swój szczyt tak nosi, jak by

złotym był, i ludzi drugich nie ma za Boże stworzenia. Przekonają się wszyscy, co zacz jest, kiedy od niego własne dziecko ucieka...

— A — westchnął Ryba — chłopiec by srogość ojcowską zniósł, bo cierpliwy jest i

pocziwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

— Tak, aby z niego takiego niezdarego uczynił, jak sam jest! — krzyknął Żywczak. — Nie

ujmuję ja czci szlachcie i panoszą, toć oni się biją i bronią nas, a na świecie potrzebni są, ale i drudzy też ludzie, choć ziemię orzą i kupią wożą...

— Lub Boga chwałą — przerwał bakałarz. Żywczak skłonił głowę.

— Chłopca więc weźmiecie? — spytał Ryba uradowany.

— Co nie mam go wziąć! — rzekł Żywczak. — Powiadacie, że to ma być Bogu na chwałę, ano i od kata wyzwolić też zasługa. Ino mi go jak dzień przyślijcie, bo ja na niego ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę, temu czas. Dnie poczynają gorące być, chłodem trzeba do popasu.

— Sam go wam przyprowadzę — dziękując dodał odchodzący bakałarz.

Spieszył potem do szkoły, aby i dobrą wieść przynieść zamkniętemu, i wyzwolić go z izby.

Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grześ do komory przeszedł.

Gdy się to działo w szkole, Strzemieńczyk ciągle na syna powrót oczekiwał. W głowie mu

się to nie mogło pomieścić, aby dziecko śmiało od niego uciekać. To ukrywanie się po

wczorajszym obiciu wydawało się najsroźszej kary godnym. Bić go znowu wstręt miał i własnej popędliwości się obawiał, bo milcząca cierpliwość dziecka wściekłość w nim rodziła. Postanowił

więc, jak skoro się zjawi, w ciemnym loszku zasadzić go na chleb i wodę.

Czekał tylko, rychło Zbilut, który też na niego czatował, da znać, że Grześ powrócił. Lecz oba czekali i wyglądali na próżno i gniew ojca coraz się wzmacniał.

Po południu już, zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzódy i trzymać dopóty, póki by nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł, Grzesia nie było. Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary Cedro to gniewem się unosił, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie zbierały mu się pod powiekami. Zbilut parę razy próbował z daleka coś szepnąć do niego i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą zwróconą w stronę fary stał długo Cedro mruczając coś niewyraźnego, noc nadeszła. Grzesia nie było.

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie, Cedro nogą uderzył w podłogę.

— Słyszysz, żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!

Zyskał na tym młodszy, że ojciec, mając go jednego, z oka już na chwilę nie spuszczał.

II

We dworku Strzemieńczyków z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy.

Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze krnąbrnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna i w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać. W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmrużył. Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nic go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach

poprzywie-zywane, na grzbiecie koszulinę jednę zgrzebną, kubraczek szary połatany, a dla pokrycia głowy czapczyną lichą, pomiętą i poszarpaną. Bakałarz doświadczeńszy już myślał, czy się go puścić tak godzi. Wprawdzie wiosna już była i dni gorące, ale biedactwo odarte wyglądało prędzej na żebraka niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna nie płaciła za wszystko.

Odzieży sam Ryba miał tak mało, że nie było się czym podzielić, a z niego na Grzesia nic by też nie przyszło. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszym więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekceważył, byle grzbiet miał przykryty. Wiedział, że żebracę będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieźć do Dukli, ale o przekarmieniu mowy nie

było, należało więc jaki taki posiłek zapewnić na dni pierwsze.

Trochę soli zawiązanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba odkrojona z bułki bakałarza,

którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędłego sera, w które go opatrzone, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną, jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą

sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nie tknięta i pyłem przysuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i milcząc podał Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba. Była to może największa ofiara ze strony bakałarza, któremu z dni młodości nic nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w

nią kaszy lub klusek.

Ryba i kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrogami i naukami różnymi

przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało. Oba oni przeszli przez też same koleje i z

własnego doświadczenia czerpali.

Opowiadali szeroko o swoich szkolnych latach, o życiu studentów ubogich i zwyczajach, do których się potrzeba było zastosować, o żebraniu, śpiewaniu pieśni pod oknami i wydrwiwaniu grosza od przelękłych Żydów.

Bakałarz na tym największe pokładał nadzieje, iż Grzesiowi długo żebrać nie będzie

potrzeba, bo nad wiek swój do pióra był wprawny, pisał bardzo pięknie, charaktery wszelkie naśladował misternie, a przepisywaniem naówczas grosza było można sporo zarobić. Za proste *Ojczy nasz* płacono grosz, a za *Donata* " dziesięć groszy. Grześ zaś nie tylko kopiował pięknie, bez omyłek, z łatwością, ale pisał prędko i paliło mu się w rękę, co wziął do roboty. Oprócz tego piękny głos jego i śpiew, którym się zachwycano, mógł być także pomocą, bo pieśni pobożne i inne nucił

na pamięć, na cytrze brząkał, a miał taką ochotę do gędźby, że nawet, gdy go nikt nie słuchał, sam dla siebie wyśpiewywał.

Wszystko to mu przyszło bez pracy prawie, ledwie cokolwiek pokazano, sam już potem z

łatwością uczył się dalej, a starzy z podziwienia wyjść nie mogli. Wbijalo go też to może w pychę, ale dawało wiarę w siebie i to męstwo, z jakim się ważył w świat, pewien, że wypłynie.

Bakałarz, bojaźliwszy, trochę mu rogów przycierał, podszeptując:

— Ano, ano, co w Sanoku, to nie w Krakowie. Tam i kaligrafów siła jest i na śpiewakach

nie zbywa. Posłyszysz, zobaczysz... Będiesz się jeszcze miał uczyć czego...

Ale chłopak się tym nie zrażał. Ufał w to, że przy pomocy Bożej da sobie radę.

Rozmawiając tak przy gasnącym kaganku, który syczał i pryskał w glinianej miseczce, Ryba coraz wyglądał przez okno, czy się brzask nie robi, aby z chłopcem nie opóźnić się do Żywczaka.

Zaledwie na wschodzie szarzeć poczynało, gdy raz jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokłękawszy na modlitwę Ryba pustymi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina.

Rano było tak jeszcze, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały, spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy z szop powyciągane, a przez okna widać było światło w domu.

Parobcy przy łuczywach smarowali i uprzęż przygotowywali.

Bakałarz z chłopcem, nie chcąc uprzykrzonym być, stanęli pokornie w ganku i czekali.

Wtem sam Żywczak wyszedł za czymś z izby, już odziany i podpasany jak do podróży, a

zobaczywszy klechę i chłopca, któremu o mroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzeć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubce i chustce na głowie polewkę grzała dla

męża.

Spojrzał bystro mieszczanin na szlacheckie dziecko, nędznie odziane, ale tak piękną rysów i szlachetną a śmiałą postawą uderzające, że co miał szydzić z niego, sposepniał. Z twarzy bił rozum i męstwo, zadziwiające w wyrostku. Żywczak odezwał się do niego pytając, czy nie lęka się w świat tak puszczać sam jeden.

— Bóg jest wszędzie — odparł Grześ śmiało. — Gdybym złego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę Bożą chcąc pracować nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił, a babie swej szepnął, aby mu kubek piwa grzanego dała.

Dostał i bakałarz swoją porcję i byłby mógł podziękowawszy odejść, ale chciał dotrzeć do końca, zobaczyć, jak się Grześ do wozu dostanie, i pożegnać go raz jeszcze.

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu. Na pokrytym skórą pałubie z przodu siadłszy Żywczak uzbrojony, z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłonięty, że gdyby nawet starego Strzemieńczyka spotkali, domyśleć by go się tam nie mógł.

Grześ zapłakał, żegnając bakałarza, wsunął się w kąt i wozy sprzed dworku ruszyły.

Co się tam w tej młodej głowie i sercu działo, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcymi, na łasce ich, odurzony tym, co go od dwóch dni spotykało, Bóg jeden wie. Myśli mu się płątały, rad by był wyskoczył, wrócił, ojcu padł do nóg, to znowu nadzieja dziwna pchała w świat otwierający przed nim złote wrota. Dziej się wola Boża! Noc spędzona bezsennie, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wprędce twardy sen sprowadziły. Zasnął, jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski.

Nie rozpoczął z nim rozmowy, bo do czynienia miał dużo, a sam doglądał wszystkiego,

ba i ręki przykładał, ale głodem mu mrzeć nie dawał, tak że Grześ chleb swój i ser na dalszą podróż ze Starego Sądca mógł oszczędzić. O niej też przemyślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło, i przygotować się na to, jak miał radzić w potrzebie.

W Dukli mało co się Żywczak zatrzymał, tak że chłopak ciekawy ledwie miał czas, spod

skór się wydobywszy, rzucić okiem na Górę Cergową i po pięknej okolicy. W miasteczku u rynku,

gdzie stanęli, ruch był wielki, bo gościniec tędy wiódł na Węgry, z którymi handel naówczas szedł żywo.

Grześ po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje nieznane, a krzątania ich wydała mu się po spokojnym Sanoku dziwną i niemal straszną.

Cóż to dalej być miało na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnice z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziom się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, gdy kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, jak król Władysław Jagiełło właśnie tych dni z Węgier miał do Krakowa jechać, bodaj na Sądecz Nowy, gdzie świeżo osadzonych norbertanów klasztor chciał widzieć.

Głoszono też, że od Zygmunta Luksemburczyka, z którym się poprzyjaźnił, wiózł w podarku drogie dla Polski skarby, starą koronę Bolesławowską, Szczerbiec, berło i jabłko, które był po koronacji swej zabrał król Lois do Budy. A była z tego radość wielka, gdyż do tych klejnotów, jak do relikwii świętych, wielką wagę przywiązywano.

Żywczaka mało może obchodziły skarby te, które do Polski powracały, a więcej, że przejazd króla gościńce czynił bezpieczniejszymi i łatwiejszymi do przebycia.

Grześ zaś, dowiedziawszy się o królu, jak był umysłu zuchwałego, powiedział sobie, iż gdyby na pański dwór i obóz trafił, będzie za nim ciągnął także. Nie rozważył tego, iż pieszemu za konnymi nadażyć nie było łatwo.

W Starym Sądczu z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczyło na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie. Dotąd miał opiekuna i żywiciela, teraz poczyniała się dopiero wędrówka o łasce Bożej i własnym rozumie. Serce mu jednak rosło.

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodał od klasztoru panien, do którego chłopak się chciał wprosić zrazu dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pospieszył, odkrywwszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się z dala z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży podobał

go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

— Kiedy taka wola Boża i przeznaczenie twoje — rzekł — idźże zdrów. A masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

— Ani denara — rozśmiał się Grześ — mnie pieniądze niepotrzebne. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa, jużem tam bezpieczny.

Żywczak głową potrząsnął, dobył z sakwy dwa groszaki białe i wcisnął mu je w rękę.

— Niech Bóg prowadzi!

Tak się z sobą rozstali. Grześ, kij sobie nad drogą wyłamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do wieczoru czasu jeszcze dosyć było, i wskazaną drogą, zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sącza.

Stał mu ciągle ów przejazd króla, na który po dziecinnemu rachował wiele. Myślał, że przy królu zawsze księży i pisarzów kilku bywało, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sączu wiadano tylko, że się króla spodziewano, ale kiedy miał przybyć, pewności żadnej nie było i czy stanowniczowie już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana poprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczym mu nie zbywało, karmił gospodarz, a o drogę nie potrzebował pytać, teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i różniej. Mógł czynić, co chciał, odpoczywać, pospieszyć, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wyjazdu z Sanoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza otaczające, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo,

przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go, wszystko zajmowało gorąco. Stawał, sam do siebie uśmiechając się i czując wolnym. Słuchał, rozpatrywał się, a świat na podziw wydawał mu się pięknym. Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie, ucieczka z domu, droga do Sącza, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem, dodawały odwagi i ochoty.

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałyby się powodzić dalej?

Na domiar szczęśliwych trafów, spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym,

który wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieźć ofiarował.

Był to kmięć, świątnik, ze wsi norbertanom nadanej, który z kolei do posług przy klasztorze i kościele wyznaczony, na służbę jechał, a znał nie tylko okolicę, ale w Wieliczce i Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybadał zaraz chłopca, który się taić z niczym nie potrzebował.

Zapewnił go, że nocleg pewnie w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem dojechali do miasteczka, a i nowe budynki klasztorne nie

opodal widać było. Około zamku na górze, jako też na gościńcu, zbliżając się dostrzegli ludu siłę, kupami stojącego, nie było więc wątpliwości, że obiecany król albo już przybył, albo też był

spodziewanym co chwila.

Sprawdziło się to, gdy do klasztoru podjechali, z którego właśnie duchowieństwo

wychodziło na spotkanie Jagiełły. Ale to, co Grzesiowi pomyślnym się wydawało, na złe mu wyszło.

Księża norbertanie i co żyło tu tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedne chłopię nikt nie spojrział.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zszedł, Grześ musiał z wiejską gawiedzią w tłumie stać i

woźnicę swego, który mógł mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tym tylko, że widział przeciągający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i

łśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało, aby królem mógł być.

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniale poprzyodziejwana, wozy wielkie ładowne i chłopskie pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc a koło nich ciurów z obuchami i halebardami mnóstwo.

Gdy Jagiełło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozplýwać począł, pomyślał Grześ o

sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo cisnących się odpędzali pacholko- wie, więc do nie dokończonego opactwa, które jeszcze murowano, usiłował się dostać.

Tu by mu pewnie innego czasu nie odmówiono gościny, ale teraz tak pełno było tych, co się na zamku nie mogli pomieścić, że Grześ do bramy się docisnąć nie umiał i musiał na miasteczko iść, do

mieszczanina gdzieś wprosić do szopki na siano.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było i od chaty do chaty chodząc trafił wreszcie na litościwą duszę. Starowina mieszczanin w pustym chlewku mu się przespąć pozwolił. Trochę słomy znalazłszy w kładzie, przeżegnał się Grześ, legł i zasnął tak, że go dopiero rzenie koni o białym dniu zbudziło.

Wyszedłszy z szopy zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego w ulicy człowieka, że król już w dalszą drogę do Krakowa na Wieliczkę pociągnął, nie tracąc czasu ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił

chlebem i serem bakałarza. Pierwszego, który suchym był, gdy mu go dano, byłby nie ukąsił wodą nie odwilżywszy, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował.

Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał, gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, naruszać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i podjadłszy trochę Grześ w dalszą puścił się drogę.

Tego dnia żaden wóz ani miłosierna ręka w pomoc mu nie przysłała. Musiał iść pieszo,

popijając wodę z ruczajów i studni, zmęczony przypadając pod wierzbami i w zaroślach przy gościńcu, i tak pod wieczór przywłókł się do kościelnej wsi, wprost kierując się na plebanię.

Szkoły tu żadnej nie było, kościołek drewniany, niewielki, stary, probostwo pod słomą, a w miejscu plebana wikary gospodarzył. Ten zrazu ostro i szorstko przyjął ubogiego chłopca, zowiąc go włóczęgą i szaloną pałką, a grożąc mu, że się zmarnuje itp., ale powoli odpowiedzi Grzesia roztropnych i pokornych wysłuchawszy, trochę się ksiądz udobruchał, odesłano go do starej gospodyni na kuchnię, a ta, choć także na darmożjadów i żebractwo wyrzekała, dała trochę ostygłej kaszy ze skwarkami, chleba kromkę i na siano do szopy spać wyprawiała gościa.

Gdy z rana zadzwonił dziać kościelny na mszę świętą, Grześ poszedł się też pomodlić, a że trafił na śpiewanie różańca, i on też głos podniósł. Pewnie z serca Bogu na chwałę nucił, ale i ze śpiewem rad się był popisać może, bo wiedział, że głos ma osobliwy, czysty, łagodny, przenikający.

Wszyscy ku niemu głowy poodwracali.

Po nabożeństwie już się miał tylko z wikariuszem pożegnać, gdy ten sam go zawołał,

pochwalił śpiew piękny i zaciągnął z sobą na plebanię. Tu na nowo badać go zaczął pilniej, a gdy chłopak pochwalił się, że i pisać umie niczego, i wiele modlitw w Sanoku dla księży i ludzi pobożnych przepisywał, wikariusz zażądał próby, zatrzymując go na ten dzień dla spoczynku u siebie. Nie opierał się Grześ, bo niewprawny jeszcze do chodu czuł się dosyć zmęczonym, i tak dnia tego, zamiast iść dalej, siadł dla wikarego na papierze wydartym z agendy kaligrafować pod dyktą Skład apostolski.

Nie spodziewał się widać księżyna takiego w młodym chłopięciu talentu, jaki Grześ okazał, i zdumiał się pisaniu więcej jeszcze niż śpiewowi. Rad by go może dłużej zatrzymać u siebie, przy kościele, ale chłopak miał mocne postanowienie dostać się do Krakowa i księdzu podziękowawszy, nakarmiony, z podwojoną odwagą następnego ranku wyruszył w drogę. Wikary litościwie świeżym go chlebem i sera gomółką opatrzył, a drogę mu do Wieliczki rozpowiedział tak dobrze,

nauczywszy, gdzie się miał zatrzymywać na spoczynki i noclegi, że Grześ prawie już nikogo o to pytać nie potrzebował.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi szczęściem różnym, a co

pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i oszczędzając je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i

uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którym łatwiej było zepsuć się niż czegoś nauczyć. Radzili mu niektórzy rzemiosło, nie wiedząc, że szlachcicem był, inni strofowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókl się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić, do Wieliczki.

Wiedział, że już stąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedzione miasto, około

którego ruch był większy daleko niż w Dukli, bo nieustannie stąd na wszystkie strony sól wywożono i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców, różność języków, bo Niemców i Żydów wałęsało się dużo, w początku Grzesia onieśmieliły. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a mięscina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospod, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się wydały, pod kościół więc podążył, gdzie na młodego wikariusza natrafił, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grześ taką twarz szczęśliwą, że na niej wypisane stały uczciwość i pojętność, a choć mu na męstwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go spod strzechy domowej wygnała.

Wikariusz rozpytawszy się chłopca wziął go do izby z sobą. Sam ubogiego sołtysa syn, o

własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego cisnęła, lepszego losu spodziewając, nie zdziwił się Grzesiowi ani mu męstwa nie odbierał.

Począł tylko po trosze wybadywać, co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go usposobionym nad spodziewanie, rokował najlepiej.

— Biedy juściż przycierpieć przyjdzie — rzekł — ale komu Bóg dał cierpliwość a

wytrwanie, wybrnie szczęśliwie. Z Wieliczki do Krakowa co dzień wozów tyle idzie z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo.

Przybywszy, trzeba do bakałarza i mistrza u Panny Marii zgłosić się, nikogo tam nie odpychają. Pan Bóg miłosierny. Gdyby u Panny Marii was nie przyjęto, jest ci oprócz tej szkół dosyć, u Św. Anny, przy kościele Bożego Ciała, u Św. Floriana, przy szpitalu Sw. Ducha...

Machnął ręką.

— Jest prawda i ubogich chłopiąt dosyć jak ty, ale jednym więcej nie ogłodzisz krakowian.

Wikariusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przenocować i nakarmił

go jak żaden jeszcze. W Wieliczce wszędzie dostatek widać było wielki, mieszczenie, robotnicy, gmin zażywno i wesoło wyglądali. Prawda, że i hałaśliwo też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy krzyki i śpiewanie się rozlegały. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ludzi tyle ścigało, woźnic, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano, po mszy świętej, wikary mając miłosierdzie nad Grzesiem naraił mu wóz,

który kupca z Krakowa tu przywiózł i tak jak próżno powracał. Pozwolono mu się przysiąść z tyłu, tak że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobić spodziewał.

Z bijącym sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okaże, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie żądał dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały.

Podróż na wozie nie tak jednak była pospieszną, jak się

Grześ spodziewał. Kupiecki woźnica żadnego szynku nie pomijał, stawał przed każdą

gospodą, zasiadał się w niej i pił, gdy konie głodne, z głowami spuszczoneymi razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napiły potem smagał je i ruszał z kopyta, ale byle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione, i on się zatrzymywał.

Grześ w końcu postrzegł się, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasku raz jeszcze stanąwszy na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grześ z wozu

zlazłszy wielkim gościńcem puścił się ku miastu, którego bliskość czuć było.

Coraz gęstszy przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pacholki, coraz też więcej budowli i szałasów nad drogą, sam gościniec kołami porznięty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny.

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzec się też czego, bo napiłych a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki też wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grześ dumając, gdzie dziś noc przepędzi. Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samym.

Myśląc tak i nie bardzo pospieszając, krok za krokiem szedł chłopak oglądając się, czy do kogo nie będzie mógł przypytać, gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tegoż co on wieku. Jeden z nich na plecach niósł wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie umiał

sobie Grześ wytłumaczyć. Nie było to ani siano, jakim bydło i konie karmią, ani też ziele, jakie gospodynie dla chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej kwiatów widać było niż liści.

Drugi przy nim idący, starszy trochę, także pęk ziela miał w ręku i nakopanych korzeni.

Strój obu tak był niemal ubogi jak Grzesia, kubraki wyszarżane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie strojąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciężyło im owe zielsko i rzuciwszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak zbliżający się powoli wpadł im w oko. Swój swego najłatwiej wszędzie dopatrzy.

Drewniana miseczka bakałarza, wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzyła swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

— Ani chybi — odezwał się — idziesz pewnie do szkoły.

— A dokądże by, jeśli nie do niej — odparł Grześ. — A juściz!

— Skąd?

— E, z daleka bardzo!

— Ano, nie z Tatarszczyzny pewnie? — zaśmiał się starszy.

— Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się. Niewiele myśląc Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Oba studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął:

— Bosy!

— A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? — przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

— Umieszże choć obiecadło? — zapytał.

— Nie bójcie się, jużem i Donata kosztował, i z parte-sów śpiewam, i z piórem się obchodzę, jak należy — rzekł Grześ z pewną dumą.

— Daj go katu! — rozśmiał się starszy. — A czegoż się tu myślisz uczyć?

— Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim bakałarzem albo i mistrzem zostanę — śmiało odparł Grześ.

— Ho, ho, wysoko patrzy bosonogi! — rzekł drugi. Śmieli się wszyscy, a Grześ z nimi.

— To mi sam Pan Bóg was w dobrą zesłał godzinę — odezwał się po małej chwili. — Nie odmówicie mi, głuptaszkowi, co ani miasta, ani ludzi nie znam, pomocy i rady...

Starszy w oczy mu zaczął patrzeć.

— Pójdiesz z nami — rzekł — nie na wiele my ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

— Przydacie mi się, byleście chcieli, na bardzo wiele — odparł Grześ — a Bóg wam zapłaci.

Wtem starszy spode łba zerknął.

— Nim Pan Bóg się rozrachuje z nami, gdybyś tak piwa albo podpiwku kazał dać, nie byłoby od rzeczy... Masz za co?

Zarumienił się Grześ mocno, bo kłamać nie chciał, a groszy jedynych, jakie miał od Żywczaka, bardzo mu żal było.

— Całe moje mienie dwa grosze w kalecie — rzekł wzdychając — dla siebie bym ich nie ruszył pewnie, ale dla was...

Starszy się namarszczył.

— Za podpiwek, cienkusz, nie zapłacisz wiele, a znajomość oblać potrzeba. Przyszedłszy do szkoły, będziesz i tak musiał zmienić swój skarb i wkupić się do trzody. Zrobim tutaj początek.

Rad nierad Grześ z węzełka u koszuli jednego groszaka dobył, a starszy z nim poszedł do bliskiego szynku po piwo, obiecując odnieść resztę pieniędzy.

Pozostawszy sam na sam z młodszym, zapytał Strzemińczyk, na co ziele to zbierali i dokąd je nieśli.

— Nie taki to łopuch i zielsko paskudne, jak się tobie zdaje — odpowiedział chłopak

śmiejąc się. — Masz wiedzieć, że to wszystko do leków i dla zdrowia ludzkiego przydatne będzie, gdy ks. kanonik Waclaw, dla którego my zbieramy kwiaty i korzonki, przyprawi je, jak należy.

Pokazał nam on, jakie rośliny mu są potrzebne, i dla niegośmy je wykopywali i zbierali. Są takie, których sam kwiat obrywać każe, innych korzonki kopać, innych samo liście osmykać.

Tu chłopak począł z kupy wyciągać, co niósł, i zdumionemu Grzesiowi ukazywać.

Tymczasem starszy, któremu imię było Dryszek, powrócił z piwem i pieniędzmi, wiernie

denarów resztę Grzesiowi oddając. Zasiedli do podpiwka i rozmowa się dalej toczyła. Z początku niewiele sobie przybysza tego wazyli, już poduczeni studenci, zwłaszcza że z takiego zapadłego kąta jak Sanok przybywał, ale gdy bliżej go poznali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grześ, nie mając się z czym chwalić, przyznał się, że na nim wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad nim dobrze przesiadywać było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

— Z tym się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie, w Krakowie też nie gorszym będzie — rzekł starszy. — Mistrze i bakałarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro rażno w ręku chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów albo i Priscjana przepisywał. Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą.

Grześ na to nie odpowiedział, nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc cienkusz dopiwszy, który ich pokrzepił, ziele zabrawszy, dalej do miasta ciągnęli. Nie sam więc i pod opieką rówieśników miał się do niego Grześ dostać, co mu śmiałości dodało.

Gdy wreszcie ukazał się oczom ich Wawel piętrzący się na wysokiej górze, wieże

kościółów, miasta mury i bramy a baszty potężne, a budowle w zielonych ogrodach rozsiadające się szeroko, chłopak nie mógł się wstrzymać od wykrzyku, zdjął czapkę, przeżegnał się i począł modlić.

Strach go ogarnął.

Uśmiechali się z niego Dryszek i Samek w początku, lecz i im na myśl przyszło, jak oni pierwszy raz tu się dostali i drżeli a płakali z wąpiwszy o sobie.

Gród wielki, który chłopak miał przed sobą, nie dawał się ani porównać do tego, co w życiu swym widział, do ubogiego Sanoka, większej już Dukli i Wieliczki, malejących wobec tego olbrzyma w zbroi kamiennej, wieżycami nasrożonej.

Z dala już dychało to miasto głośno i jakby zmordowane wyziewało dymy i opary. Dzwony wieczorne odzywały się nad nim jęcząco i wesoło. Wybiegające w niebo dzwonnice i wieże zdawały się stać na straży i w dal patrzeć. Gościniec pod wieczór, im bliżej ku wrotom, tym był pełniejszy.

— Cóż wy ze mną zrobicie? — zapytał ich Grześ. — Jak myślicie, gdzie by mi o nocleg prosić i gospody szukać?

— Na tę noc — rzekł Dryszek — chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno.

Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca nie ma, a gdyby było, mój stary niełatwo by nieznajomego wpuścił.

— Ja — dodał Samek — w komórcie u księdza Wacława nocuję, za co mu służyć muszę.

Ten także lada kogo nie przyjmie, a pod noc rozmówić się z nim niełatwo. Ze studentów wielu nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych szopkach. Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi gdzie przebyli!

— A gdzież was jutro napytam, ja, co miasta nie znam? — odezwał się Grześ.

Samek podumał.

— Idź ze mną — rzekł — przy ulicy Św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam

tarcice o parkan oparte, pod którymi na trawie jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę albo wy mnie koło szkoły Św. Anny.

Gwarząc tak pominęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka ziele przejąć i korzenie i nieść je za nim, bo starszy około Panny Marii u mieszczanina miał przytułek.

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzeć tego, co mu się nastroczało, i nieustannie Samka pytał, który śmiejąc się tłumaczył mu każdą rzecz, na pół po prawdzie, pół drwiąco. Bacznemu chłopcu nic nie uszło i straconym nie zostało.

Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dlań, aby się tu nie czuł obcym.

Po drodze do mieszkania ks. Wacława kanonika krakowskiego, Samek pokazał

towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić. Ale stało się inaczej...

Ziela i korzonków nakopanych nie mógł wszystkich do komory kanonika zanieść Samek,

Grześ je dźwigał za nim. Mieszkanie ks. Wacława na piąterku było. Weszli już na ciemne wschody niewygodne, których nie znając Grześ macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy szelest usłyszawszy niespokojny księżyna wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne połajac spóźnionego posłańca, gdy razem w oko mu wpadły i zioła,

których zapach aromatyczny do niego dochodził, i twarz piękna, z ciekawymi czarnymi oczyma nieznanego chłopaka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce,

zaczął rozpowiadać, gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia:

— A tyś skąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już z gadatliwością dziecinną paplał o

spotkaniu na gościńcu, a ksiądz, kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, przyglądał mu się ciekawie.

— No, i cóż ty myślisz! Gdzie będziesz nocował? — odezwał się kanonik.

— Pod tarcicami — odparł śmiało przybyły. Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do

Samka.

— Weź go na ten raz do siebie — rzekł — miejsca nie ma, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi, tylko żeby mi żadnej swawoli nie było.

Pogroził palcem. Grześ, nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w rękę pocałować.

Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby

dopilnować rozłożenia ich, i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fizjonomia przybłądy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał

dla indagacji. Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których chciwi umiejętności

ludzie chwyтали wszystko, co ich na drogę nowych odkryć lub dla przeświadczenia się o podaniach zawartych w pismach starożytnych mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyńmi różnymi, kośćmi, szczątkami zwierząt i nie znanymi narzędziami, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Stał z dala, pokornie u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej władzy. Naganił to chłopcu więcej z obowiązku niż z przekonania.

— Nauka, moje dziecko — rzekł w końcu — piękna rzecz, ale *ars longa, vita brevis*, to znaczy, że więcej jest do uczenia się, niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być poczciwym człowiekiem. Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumę wbija. Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie.

Samek niemal zazdrosnym był, że się tak Grzesiowi powiodło. Położyli się więc spać milczący, a choć biedny wędrowiec miał o czym myśleć, młodość zwyciężyła i, ledwie legli, zasnął mocno.

Rano obudził go Samek. Kanonik bowiem wstawał do dnia. Grześ razem z towarzyszem poszedł na mszę do Świętej Anny.

Tu wpadł niespodzianie między całą gromadę przyszłych współuczniów, którzy także na ranne nabożeństwo się stawili. Stał z boku nie śmiejąc się do nich przyłączyć, a wszystkich oczy skierowały się na niego. Wytrzymał te szyderskie i niezbyt przyjacielskie wejrzenia.

Wyglądał biednie i oszarpano, ale tego nie miał się co wstydzić. Inni też nie lepiej byli odziani. Wielu miało po- darte chodaki, kurtki i kubraki łatane, koszule nie bielone i twarze wynędzniałe. Niemal wszystkim jednak z oczów patrzyła odwaga, oswojenie się ze swym losem, pewność jakaś, której Grześ nie miał jeszcze.

Studenci zaczęli śpiewać pieśni pobożne w czasie mszy, znane dobrze Grzesiowi, nie miał za grzech i on głos podnieść. Być może, iż i tu rachował na ten swój śpiew w Sanoku sławiony.

Jakoż oglądano się na niego, ale i drudzy zawodzili nie gorzej a wprawniej i piękny głos jego zagłuszono.

Ubogich tych chłopców spora była gromadka, tak różnego wieku, że niektórzy pod wąsem już, dorośli, stali obok berbeciów, którzy im i do pasa nie dochodzili.

Zuchwale miny starszyny tej dowodziły, że ona tu przewodzić musiała. Wiedział z doświadczenia Grześ, iż wszędzie przybywający obcy i guzami, i pokorą opłacić się musiał, był do tego przygotowany. Reszta groszy od Żywczaka otrzymanych była już na to przeznaczoną, aby pierwszą burzę odwrócić.

Przy wyjściu z kościoła otoczyli go zaraz studenci, ale Samek im coś szepnął i dali powrócić do kanonika, który zapowiedział, że się z Grzesiem rozmówi, a poniekąd opiekę mu swą przyobiecał. Ciężka więc ta pierwsza godzina do przebycia odroczonej została.

Ks. Wacław powracał do mieszkania, a Grześ w ślad zanim dążył.

III

Dobłą godzinę stał ciekawy Samek pode drzwiami kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tym się tylko niepokoił, że badanie trwała zbyt długo.

Znając - Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwalił się z pismem nieborak, księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało.

Zasadził chłopca na próbę, a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter w rękopiśmie sobie ukazanych, narysował ich kilka bardzo zręcznie, ksiądz

Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło ani wzbijać w dumę, pochwalił chłodno. Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia korzystać.

Kilka odpowiedzi na zadane pytania z Donata i gramatyki dowiodły, jeśli nie wielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika, aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak nie chciał dla własnej wygody.

Ogólnymi więc słowy, poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprawił

z tym, żeby się szkoły Świętej Anny trzymał, gdzie indziej nie szukał pomieszczenia.

— A teraz pierwsza rzecz — dodał — kiedy z jałmużny żyć musisz, abys się do ojca zebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc kanonik drzwi otworzył i Samka chciał zawołać, a stało się to tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał ode drzwi odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Nadbiegł Samek przestraszony.

— Idź mi z nim do patra mendikantów (*pater mendican-tium*) — rzekł kanonik — powiedz mu, że ja go posyłam i że do szkoły przy świętej Annie ma chodzić. Niech go sobie zapisze i wyznaczy, kędy ma jałmużnę pobierać.

Odebrawszy rozkaz ten, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną.

Obawiał się współzawodnika.

Ledwie doszli na dół, gdy Samek nie wytrzymawszy zawołał srożąc się do wczorajszego przyjaciela:

— Ty! Lizunie jakiś! Już się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on dla ciebie mnie przepędzi, nie masz tu co popasać. Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

— Czego ty chcesz ode mnie? — odparł. — Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw.

— Chodź ze mną — dodał — kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do patra, ale pamiętaj!

Pogroził mu.

Owego ojca zebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy

Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nie tylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych co najmniej kilkaset chłopców się

znajdowało ubogich, pod zwierzchnością patra zostających. Wszyscy oni na jego skinienie gotowi byli, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego. On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny, czyli karceresu sadzić i niepoprawnych z miasta wyświecać.

Żurawek miał pewnie lat do trzydzieści, szkołę elementarną dawno skończył i zapomniał,

czego się w niej uczył, sam nie wiedział, jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, władzę przywłaszczoną zostawiono przy nim.

Chodził Żurawek, obyczajem wieku, w sukni klechy, niby duchownej, ale o powołaniu tym

wcale nie myślał ani o przyszłości, bo mu z tym ojcostwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby pauprom nie dozwalał znęcać się nad nimi,

mieszczanie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi nieraz się dopuszczali bójk z czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, utrzymać.

Choć w czarnej sukni kleryka chadzał, postawę miał wcale nie kleszą i więcej na pachółka lub wiertelnika wyglądał. Nie wolno było uczącym się nosić żadnego oręża i do sukni duchownej on nie przystawał, ale przez szpary patrzano na to, że Żurawek zawsze chadzał z obuszkim lub nawet kordem pod połą. Potrzebował on ich, bo często zwaśnionych gołymi rękami rozerwać nie było można, trzeba było bić kijem lub płazować.

Piecu szerokich, słuszny, kościsty, niskiego czoła, oczu wpadłych, twarzy zawsze

skrzywionej i nadąsanej, Żurawek strach wzbudzał w dzieciakach. Głos też miał taki, że gdy na Rynku krzyknął, niemal go u Floriańskiej Bramy słychać było.

Chodził poważnie, nie spiesząc, ale nogi mając długie dognał zawsze, kogo mu pochwycić było potrzeba.

Gdzie się żywił i czym odziewał, on sam wiedział tylko, nie stołował się nigdzie, ale głodny nie był, i na piwie, które lubił, nie zbywało. Karmili go i poili wszyscy, od Żydów począwszy do duchowieństwa.

Z podwładną sobie młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy (tak się nieprzyzwoicie wyrażał) zjadłyby go, gdyby ich nie karciał. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe.

Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszym spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można.

Nie folgował nikomu i wiadano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł o tym Grzesia, co go u Żurawka czekało, zły już na niego był i życzył mu, co ominąć nie mogło, aby pater zażył go z mańki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka, z obuchem w ręku i twarzą zarumienioną. Pospieszył więc biegiem naprzód, aby poselstwo sprawić od kanonika, i Grzesiowi wskazawszy patra, sam drapnął.

Namarszczony stał Żurawek, oczekując zapowiedzianego paupra. Począł ostro go pytać.

Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało, pater jeszcze mocniej się nasrożył słuchając.

— Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry! — zawołał Żurawek w końcu. —

Rozumiesz ty to? He? Zbiegłeś spod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał oczy spuściwszy.

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby. W

końcu nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby mu ukazać te domy i ulice, w których prosić o jałmużnę wolno było.

— A jak mi cię gdzie indziej złapią moje stare paupry — dodał — takie dostaniesz ciągi, że do sądnego dnia popamiętasz.

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony.

Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, ale ze złą wolą nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa wydobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprawił go z fukiem.

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którym go pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem

wczorajszy Dryszek nastreczył, który nic o losach jego nie wiedział. Poznał go zaraz, a bodaj piwo wczorajsze przyjaźnie go dlań usposobiło.

— Cóż się z tobą dzieje? — spytał. Grześ opowiadać mu zaczął.

Nie taił się z tym, że dużo z wczorajszej stracił odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, pater za to za Boże stworzenie nie miał.

Rozśmiał się Dryszek ramionami ruszając.

— Nie bój się — rzekł — więcej on burczy, niż kasa, a byłeś ze studentami się poznał i z nimi trzymał, nie robi ci nic. Że czasem za czuprynę pochwyci lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz ze studentami starszymi od Św. Anny pomoc zrobić znajomość.

Obyczaje i u pauprów już naówczas naśladować szkół wyższych tradycje, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod

pozorem okrzesywania nieuków zadawano nowicjuszom.

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym przybywającym rogi odpiłowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby ogłady nabrały.

W Grzesiu zapowiedź tych obrzędów wstręt i strach obudzła. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wzięwszy, chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie lekko.

Otrząsiny miały się odbyć nad wieczorem. Trzeba jeszcze było iść do preceptora zebrzących i temu się też stawić. Dryszek miejsce i godzinę wskazał. Rozstali się, na wieczór odkładając drugie spotkanie.

Grześ nieszczęśliwy, głodny, zmęczony, w końcu musiał pomyśleć o sobie i trafiwszy na owo schronienie pod tarcicami ostatki chleba i sera tam spożył.

Tu siadłszy sam, zadumał się smutnie, owo życie, którego pragnął, rozpoczynało się twardo i groźnie. Były to początki wprawdzie, ale nie rokowały one drogi łatwej.

Cofać się już nie czas było.

Czuł, że w Samku miał już nieprzyjaciela, a grozę, jaką obudzał ojciec, tu obcy budził w nim. Pomodlił się, łzy otarł, posiedział w kryjówce i dobył się z niej w końcu. Dnia tego miał

jeszcze zapoznanie się w gospodzie z towarzyszami i zaszeregowanie do tej gromady, której musiał być częścią posłuszną.

Dryszek był mu pomocą niemałą. Zarządził tak, aby dla starszych więcej piwa zostało, iż młodszych do gospody nie zawołano. Skończyło się na kilku poszturzańcach, na pytaniach

podstępnych, na nauce potem, jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i warzono w smole, nikomu nie powiadać, co się działo w szkole. Piwo i pocałunki braterskie dokończyły obrzędu, po którym Grześ wolniej odetchnął.

Samek, który się stawił na otrząsiny, dodał przestrożę od siebie, że gdyby broń Boże kanonikowi się przyliżał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi.

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

— Słuchaj no — rzekł — jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał. Zaprowadziłeś

mnie do niego. Nie będę się z tym tał, że mi kazał pokazać sobie, jak piszę, a pisanie mu się podobało... Jeżeli mi potem za opiekę nade mną każe sobie przepisywać, czym winien?

— A ja ci to tylko powiadam, słysz — przerwał Samek — że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł.

— Nie pójdę do niego, chyba mnie sam zawoła — rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czym innym, a Samek mruczając w kąt poszedł. O noclegu nie myślał dotąd

Grześ, albo pod tarcice znowu wleźć lub gdzie się pod kruchtę wcisnąć, zdawało mu łatwym.

Tymczasem godzina wieczornej zebrany nadeszła, głód dokuczał i trzeba było po raz pierwszy iść ode drzwi do drzwi z miseczką.

Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto w nich mieszkał i jakie go tam, nieznajomego, czekało przyjęcie, Bóg wiedział tylko.

Z bijącym sercem, miseczkę swą odjąwszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworku,

ale tak nieśmiało, że nikt go nie posłyszał, czekał długo, po faz wtóry uderzyć nie śmiał i odszedł z próżną miską.

W progu drugiego domostwa, patrząc na to, stała średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dziewczeczką za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącym, w

rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dzieweczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupcząca nóżkami, także przystrój ona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi z daleka i gdy z kolei zbliżył się do nich, zdejmując czap-czynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała i chcąc lepiej mu się przyglądać, pod brodę go wzięła.

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnymi oczyma uderzyła ją i litość wzbudziła.

Nim się odezwał, poczęła mówić żywo złamanym językiem, po czym poznał Grześ, że rodem Niemka była.

— A ty skąd? Jeszcze cię nigdy tu nie było...

Małe dziewczę śmiejąc się, pieszczoszka zuchwała, przyr bliżyła się także do Grzesia i

naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciło go za podbródek. Chłopak zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swych, pocałował ją, co w dziewczęciu śmiech głośny wzbudziło.

Matce oczy się zaświeciły.

— Cóżes ty za jeden? Mów!

Nim się na odpowiedź zdobył Grześ, mieszczka po namyśle skinęła na niego i za sobą

wprowadziła do dworku. Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, drzewo i mosiądz, cyna i szkło świeciło, jak by tylko co z rąk kunsztmistrza wyszło.

Woń jakaś zdrowa i miła nappełniała mieszkania.

W krótkich słowach, od pokłonu począwszy, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie

uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kuflem, podparty na łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna przysłuchiwał się też opowiadaniu.

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiast mało widywał i to takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z nimi obchodziły; łagodny głos i wyraz twarzy matki i dziecka serce mu otworzył, dobył z niego i uczuć, i słów wcale różnych od tych, którymi tłumaczył się przed innymi ludźmi.

Poskarżył się na swoją dolę.

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u

litościwych wypraszać ludzi.

Mieszczka słuchała, dziewczeczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad nim. Co

więcej, siedzący opasły nad kuflem mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś

niezrozumiałego.

Grześ stał ze swoją miseczką jeszcze, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i biegnąc a spiesząc się przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecię i opasły mężczyzna siedzący w czapce za stołem z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ, ośmielony, wesoło rozpowiadał o sobie. Dzieweczka,

niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co chłopiec mówił

o sobie.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swoim schronieniu pod tarcicami mówić zaczął, mieszczałka załamała ręce białe, a gruby milczący człek zza stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł w końcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie, jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

— Nie może być, abyś tak na podwórzu spał — rzekła. — Pan Bóg cię nam zesłał, trzeba ci dopomóc. Jest komórka u nas próżna, gdzie się przespać możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec jak dziękować. Zajęto się nim za- raz pilno. Dzieweczka równie, a może więcej od matki. Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której kilka próżnych fas stało, a knech Niemiec, przysadzisty, karłowaty, słomy mu w kątku posłał.

Izdebka była, prawda, przyciemna, z jednym okienkiem małym za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię lepszego kąta nie mógł chłopak pożądać. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł, rychło, a choć z nim dziwne marzenia, w których studenci mu dokuczali, przeleciały także, Grześ się przespał do rana i, jak tylko w podwórku ruszać się zaczęto, był na nogach.

Stara służąca zobaczywszy go wchodzącego, z polecenia swej pani, dała mu jeszcze kawałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele Św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i porządek robili, czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągać się powoli zaczęła; choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obeszło się bez potraçań i psot, bez pytań i śmiechów. Krakowskim pauprom ten przybłęda z Sanoka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydźili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stał już do mszy świętej w szeregu z innymi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli litościwsi od starszyzny.

Ze mszy wprost potoczyło się co żyło do szkoły, która podzielona była na kilka części, a do najostatniejszej ledwie Grzesia przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiędły, z gębą zaciśniętą, bezzębną i

policzkami wpađłymi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach ławeczki się mieściły, a w nich studenci. Grześ ledwie się do ostatniej docisnął.

Poczęła się nauka od modlitwy, po której rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasjusz senior, dojrzał nieznanego Grzesia. Po- wołano go na środek. Gotowali się towarzysze wyśmiać nieuka, ale sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasjusz tedy, przystąpić mu bliżej rozkazawszy, wziął się do indagacji. Okazało się naprzód, że chłopak czytać dobrze i pisać umiał lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Priscjana, których, że Grześ już parę razy przepisywał, umiał errpedite obu i z gramatyki wyszedł zwycięsko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milczeniem ponurym. Senior usta jeszcze mocniej zakąsił.

Dystychy Katona, z którymi ofiarował się popisać chłopak, do reszty towarzyszów jego przybiły.

Na wiek swój, nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemińczyk ubogi był cudownym dziecięciem. Zazdrość obudziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Preceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia, wyegzaminowawszy chłopca sięść mu kazał i spozierając na niego z dala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazał się dumnym, a przy wykładzie seniora pilno uszu nastawiał. Tym go sobie pozyskał.

- Godzina nauki przeszła ze zwykłymi epizodami kar, strofowania i powtarzanych lekcji, a gdy dzieci rozchodzić się rriiały, Blasjusz dał znak Grzesiowi, aby się zatrzymał. Poglądził go po głowie, pochwalił i z tym odprawił, że nazajutrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

W dziedzińcu pozostała gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go inaczej powitała. Nie szydzono sobie z niego, ale widocznie mu zazdrozczono. Samek koso nań patrzył.

Miał polecenie od kanonika Waclawa, aby go z sobą do niego przyprowadził! Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko *i* powzdychując żalił się na swój los, w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokoił go chłopak, jak mógł i umiał, zaręczając, że z niczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i sam by się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją Opatrzność cudownie naraiła.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego sta- rego księżyny śmiałość wielką i wszystko mu opowiadał, co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał:

— Panu Bogu dziękuj, panu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj.

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak Wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafię dziecka/wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust , pióra, pulpit, wzór, i stanąwszy za Grzesiem kazał mu w oczach swych modlitwę przywiezioną przez pewnego pątnika z Jerozolimy przepisywać.

Nie była ona długa ale ten, co ją kaligrafował wprawną ręką, nie załując *rubtum* i popisując się z rozmaitymi wykrętami, zrobił ją jakby popisowym dbrazkiem.

Grześ takich elegancji nie widział jako żywo, długo się naprzód przypatrywał, ale o sobie nie zwątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem z lekka pooznaczał miejsca, które na czerwone litery zostawić było potrzeba, wreszcie przeżegnawszy się zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tym wyraźniejszy, bo w XV w. już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenia się mnożyły, Grzesiowi, więc , łatwo przyszło wiernie powtórzyć, co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiątka wierszy niedługich. Około *Amen* piszący napłatał linii naśladowujących niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniejszym wydawać, a Grześ i z tego wyszedł zwycięsko i *rubrum* potem wzięwszy, czerwone litery podpisywał bardzo zręcznie.

Kanonik patrząc za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał:

— Chwatr Gracko! Daj go katu! - Wtem nagle zapytał:

— Wieleż liczysz lat?

— Liczyli mi dwanaście skończonych.

— *Mirdbile* ! — zamruczał ks. Wacław biorąc modlitwę do ręki. — Ucz się, ucz, chleb mieć będziesz.

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprząć, ale za modlitwę dał mu kilka pieniążków i kazał się dowiadywać do siebie.

— Ucz się łaciny — dodał — wyjdiesz na człowieka! Izba była pełna rękopismów u ks.

Wacława, wziął się więc je pokazywać Grzesiowi jedne po drugich, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Ale tu już były i takie, na które się chłopak wcale porywać nie mógł, bo i pierwsze ich karty, i nagłówki, i boki stały farbami cudnie malowane, jakby w kwiaty żywe, a wielkie litery tak były misternie budowane, że się w nich mieściły całe obrazy Boga Ojca z Duchem Świętym, krzyż synowski trzymającego na łonie, Zwiastowanie Bogarodzicy, Wniebowzięcie, Zesłanie Ducha Świętego itp.

Grześ podziwiał tę sztukę, z jaką miniaturzyści wszystko to w maleńkich rozmiarach tak ślicznie umieli pomieścić, nadając życie postaciom drobnym. Oprócz tego kunszt był nie mniejszy w złoceniu i malowaniu kwiatów i zwierząt takich, jakich żywych nigdy ludzkie oko nie widziało.

Z tych śliczności poznał dopiero Grześ, jak mu wiele brakło, aby się mógł zwać kaligrafem, a nawet w duszy przyznać musiał, że malować tak nie potrafi nigdy.

Nie zraziło go to jednak od pracy. Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał, Grześ choć z pewną trwogą pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miany był za bogatego i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowymi, sklep miał w Sukiennicach i ławnikiem był wybrany. Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkawszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka jedynaczka nauczyły się trochę po polsku. Stał on o to, aby języka nabył i sam choć łamaną mówił polszczyzną.

Jeszcze Grześ był od dworku Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dziewczeczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jak by się go spodziewała. Jakoż poznawszy, pobiegła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuszek chlebem przykryty, uśmiechając się do niego.

Balcera, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było, jejmość tylko i słudzy. W czasie gdy się posilał pauper, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczepiała go, dopóki nie począł z nią rozmowy.

Dziecko było jak piękne, tak rozumne, wesołe i śmiałe a gadatliwe. Szczebiotało nie gorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grzesiem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawiać ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono.

Takie były początki studenckiego życia Strzemieńczyka.

Nadzwyczajne zdolności bardzo wprędce dozwoliły mu się odznaczyć i zająć miejsce w szkole między najstarszymi, a być nawet pomocą nauczycielom. Rokowano mu wielką przyszłość,

tym bardziej że pokornym był i w dumę się nie wzbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu

dopiero. Sięgał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić. Chłopcy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i szkodzić byli radzi, uciekali się teraz o pomoc do niego, której im nie odmawiał.

Mało jednak z nich umieli mu być wdzięczni, był im solą w oku, bo seniorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

U Balcerów, choć im ciężarem nie chciał być, tak się złożyło, że mu już odejść nie dano.

Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego i matka, i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której stół się znalazł i ławka.

Ks. kanonik Wacław posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą

koszulę i suknię przenoszoną, którą przerobił krawiec na tak piękną, iż jej paupry zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej

przyzwyczajając. Uczył wciąż Grześ po polsku przy matce córkę, a stało się, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie począł po niemiecku szwargotać.

Miał i pamięć doskonałą, i łatwość uczenia się wielką, tak że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło rażno i *Dystychy Katona* przeszedłszy, dalej retoryki już począł

kosztować Grześ, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i przy kantorze stawał, młodszych musztrując.

I tu go podziwiano, a lubowano się dyskantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał jak błyskawica. Nie zmieniło się nic, oprócz że Grześ pewniejszym coraz był

siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Rad by był prędzej przebył tę przestrzeń, którą drudzy mozolnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tę

porywczosć młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i z wyrostków przystojnych czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie

wdzięcznego dopomagał. Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna, choć trwa tyle co

kwiatek i niewiele *wazyć* się zdaje, przecie serca i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzyły rozumem, miała wdzięk jakiś, którego sile nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na uczyty, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczym.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak że domownikiem ich stał się i jakby do rodziny należał.

Miseczkę drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował.

Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława zawsze jaką godzinę spędzał za pulpitem, coś mu przepisując, więc się do

coraz nowych charakterów przyzwyczajał, nabył wprawy jeszcze większej i nie tylko kopiował, co mu dano, ale począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Uparłszy się nawet, trudne i zawile znaki notarialne w dokumentach tak przerysowywał, iż ci, co je kładli, ze strachem się przyglądali ich powtórzeniu i krzywym okiem patrzali na chłopca, który, gdyby nie pieczęcie, każdy akt mógł tak naśladować, że najwprawniejsze oko fałszerstwa by nie odkryło.

Grześ jednak wcale o złym nie myślał i dla popisu tylko sztuki te okazywał.

Drugiego roku chłopak znowu podrośł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem

obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwytał od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym. Samo przepisywanie, gdy z łaciną coraz się więcej oswajał, szło mu na korzyść, bo choć nie wszystko rozumiał, gdy o objaśnienie zapytał

księdza, kanonik mu je chętnie dawał i miło mu było widzieć tę ciekawość amanuensa.

Lecz ks. Wacław też wpajał w niego, że natura pełną jest nie zbadanych tajemnic, i że

człowiek w jej wielkiej, żywej księdze zaledwie czytać się uczył, tyle tam było rzeczy zakrytych, których nigdy może rozumem swym do badać się nie potrafi.

Czasem, gdy się starowina rozgadał, a był usposobionym, poczynął Grzesiowi prawić o tych cudach, jakie w owych wiekach po księgach i w tradycjach obiegały, głoszone za prawdę. Więc smoki, gryfy, bazyliszek, inne stworzenia bajeczne, własności dziwne kamieni, istoty powstające *spon-te*, odradzające się na stosach jak feniks, przesuwały się w tych opowiadaniach, jak poemata przed

zasłuchanym w powieści starego Grzesiem. Świat ten nęcił go nadzwyczajnie, lecz wiedział, że nie był on dostępnym wszystkim i że arkana te tylko dla wybranych się otwierały. Jemu naprzód potrzeba było tych skrzydeł, które go podnieść miały tam, skąd dalekie mógł horyzonty oglądać.

Nauka języków była najpierwszą i najtrudniejszą. Jednego pisarza starożytnego poduczysz się rozumieć, z jego mową oswoiwszy, Grześ postrzegał, że gdy nie znanego potem wziął w rękę, na nowo jego język musiał sobie przyswajać. Gramatyka, co wszystkie wrota otwierać miała,

doprowadzała tylko do progu, Donat, Aleksander i Priscjan nie starczyli mu. Ale głowa się chłopcu otwierała, a im więcej się uczył, tym się nauki pożądlivszym stawał.

Kanonik patrzył nań z pociechą i z trwogą.

Przy takich zdolnościach i takiej chciwości wiedzy, zdawało się niewątpliwym, że chłopię to do innego stanu jak do duchownego przeznaczonym być nie mogło. Świeccy ludzie, w życiu

czynnym, które szło wybitymi kolejami, nauki w ogóle nie potrzebowali. Była ona wyłącznym monopolem duchowieństwa. Nie podlegało wątpliwości, że ów Grześ musiał w końcu księdzem

zostać, ale kanonik zagadując go o powołanie nie mógł w nim odkryć dotąd ani myśli, ani

szczególnej chęci obleczenia sukni duchownej. Grześ jakoś o przyszłości w ogóle wcale nie myślał

i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tym dziwniejszym.

W początkach po przybyciu do Krakowa niejedną raz myśl Strzemińczyka zwracała się ku

dworcowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nieludzko obchodzono, trochę serca przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którym naukę było czerpać łatwo.

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchał się o Niemczech dużo, o miastach, w których i bogactwa

wielkie, i nauki skarby były nagromadzone. Przybywali tu ludzie z daleka, powieści przylatywały z całego świata. Tu zasłyszał o Włoszech, do których jeżdżono po naukę i z Polski, o krajach na Zachodzie, z których do Polski wyroby tak piękne i misterne przywożono, jakich tu nikt robić nie umiał.

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanym krajach i gorącą chęć ich poznania. Na męstwie do rzucania się w podróż nie zbywało mu. Taił się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy w domu, w Krakowie *collegia* były otwarte, w których nauki wszelkie wykładano i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tym Grześ, a przecież myśl wędrowki go nęciła.

U Balcerów rozpowiadano o tym często, jak w Niemczech dla nauczycieli różnych młodzień od miasta do miasta wędrowała, od każdego z nich coś nowego się ucząc. Pełne były naówczas Niemcy tych ubogich pątników, których wagantami zwano, a że nie wszyscy trzeźwo żyli, bakchantami też ich szydersko mianowano.

Nie wiedział on, iż znaczniejsza część tych pielgrzymów, którym statku brakło i prawdziwej miłości nauki, włóczyła się od furty do furty, od gospody do gospody dla chleba, kradnąc gęsi po drodze i wyzyskując postrachem mieszczan i włościan, lecząc i czary odprawiając bałamutne.

Zdawało mu się, że ich taka żądza wiadomości gnała w świat, jaką on sam czuł w sobie.

Do tej wielkiej ochoty uskokczenia w świat przed nikim się nie przyznawał, choć ją w sobie żywił. W tej myśli też korzystał z pobytu w domu Balcerów, coraz się pilniej ucząc niemieckiego języka, który mu za Łabą miał służyć.

Gospodarzom swym nawet nie wyjawiał żądzy, która umysł jego opanowała.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa i szkołę trywialną Grześ

dawno skończywszy uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie, gdzie mógł, i zapas sobie przysposabiając na drogę.

W piętnastym roku wąż mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły

nabrał, a nic o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu.

Uciec jednak nie opowiedziawszy się nikomu, nie godziło się. Współuczniom, którzy

zawsze zawistnym nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał począć, ale Balcerów tak opuścić, kanonika porzucić, serce wdzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne go kochała, przywiązał się równie jak do starego Balcera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny.

Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grześ przyczynił się do ułatwienia tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy do mówienia po polsku, on ją na cytrze grać i śpiewać poduczył, jemu winną była, że ojcu mogła pomagać w rachunkach a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę nadzwyczaj było pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małym się ograniczały, naturalny rozum, dowcip, domyślność z tego ziarenka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązaną, boleśnie

przychodziło, ale też sama żądzą, co go wygnała z Sanoka, parła dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrowkę.

Pierwszemu z tą myślą zwierzył się kanonikowi Wacławowi, który przyjął zdumionym milczeniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że chłopaka przeznaczeniem było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania.

Mimowolnie zwilżyły mu się powieki, nie rzekł słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i w czoło pocałował. Chłopak przypadł mu do kolan.

— Jeżeli czujesz w tym wolę Bożą, idź — rzekł. — Szkoda mi ciebie, ale któż wie, może podróż ta będzie pomyślną, a ty z niej wrócisz, abyś był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Balcerom. Cicho naprzód

powiedział o tym samej jejmości. Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecię swe kochała więcej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego przywiązania ubogiego chłopca do swej jedynaczki. Nie bardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskim staraniu o wybór do tej podróży, na którą Grzesia chciała wyprawić zaopatrzonego we wszystko, co ją mogło ułatwiać.

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego

wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ spojrzawszy na wesołą dziewczę nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonemu dziecięciu, które wie, że mu nic odmówionym być nie może,

Lena zaczęła badać o przyczynę zachmurzenia.

— A — odezwał się chłopak — jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał precz stąd iść.

Lena poskoczyła w ręce uderzając.

— Dlaczego? Dokąd? — krzyknęła. — To być nie może!

— Być musi — rzekł smutnie Grześ — całym majątkiem to, co umiem i czego się nauczę, muszę więc w świat iść szukać mądrości.

Lenie łzy stanęły w oczach, nie mówiła nic, rękami tylko strzepując.

Grześ jako starszy począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie.

Dziewczę nie wiedząc, jak go przekonywać i od tego zamiaru odwodzić, na skargę pobiegło

do matki, ale znalazło ją już przygotowaną. Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała. Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała i nie mogła. Płakała w swej izdebce, a matka nie mogąc inaczej pocieszać ją tym, że dobry przyjaciel powróci.

W komórcie chłopaka leżały już węzélki gotowe, bielizna, trochę odzieży, żywność i kaletka z groszykami uzbieranymi. Grzesiowi ścisnęło się serce. Obawiał się pożegnania i własnej słabości i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka, w którym Sanok opuścił, wyszedł z tłumoczkim na plecach, z kijem w ręku, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze. Po cichu otworzył i zamknął drzwi za sobą. Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziami i budząc w sobie męstwo puścił się ulicami pustymi miasta ku Floriańskiej Bramie.

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy dostał się na przedmieścia.

Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemym pożegnaniem i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

— Powrócę! Powrócę!

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, wieść się zaraz rozeszła, że zbroiwszy coś uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV

W pięć lat po owej mniemanej Grzesia ucieczce, w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego suknie pyłem okryte, uznojona twarz, buty zbłocone i zbielałe od kurzu o długiej wędrówce powiadały.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak jak w Niemczech naówczas chadzano, nie wykwinicie, ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż, dowodziło, iż niezamownym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokaźne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wszakże twarz i postawa wędrowca kłam zadawały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny nie godził się z wyszarzanym kubrakiem.

Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się dziwnym uśmiechem ściągały.

Gospoda przedmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy i to, co w mieście albo się pokazać nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka.

Przed wiechą siedział ociemniały starzec na ziemi z wyciągniętą ręką i oczyma białymi podniesionymi do góry, głosem schrypłym nucąc pieśń jakąś. Przy nim małe chłopię, zwinięte i zgarbione ze znużenia, drzemało.

Dalej roztrucharze opatrywali konie chude, najpewniej gdzieś z paszy skradzione, które im obdarci ludzie narzucali za bezcen.

Z izby słyhać było buchający gwar pijanych i krzykliwe zawodzone śpiewy. W sionce ujawszy się pod boki niemłoda kobieta, z zarumienionymi mocno policzkami, przechylała się z nogi na nogę, jak by wzywała do płasów.

Wozy włościańskie zatrzymywały się na chwilę i kmiecie nie zsiadając wołali do gospodarza o piwo.

Gospodarz, człek wzrostu wielkiego, obrosły strasznie, z czarnymi oczyma, które patrząc bodły jak noże, wybiegał coraz, w niskich drzwiach się pochylając, to z drewnianym kubkiem, to z blaszaną miarą, wynosząc napój, a łając tych, co się po niego z wozów ruszać nie chcieli.

W koszuli, fartuchu, z nogami bosymi w chodakach odartych, zabrukany, karczmarz był niezmiernie czynnym. Oka jego nic nie uszło, a wszyscy, co się zatrzymywali pod wiechą jego, zdawali mu się być znajomi. Odzywał się wołając ich poufale po imieniu, naprędce dawał rady roztrucharzom, groził sprzedającym marchę, śmiał się z pijanych, a nie zapominał denary odbierać i wsypywać je do skórzanego worka, który mu wisiał u pasa.

Był to sławny Dziegiel, człek, którego za rany i sińce - wyświecono z miasta, znany gwałtownik. Przyjaciele i krewni jego wyrobili mu to, że choć w mieście się pokazywać nie mógł, tuż pod nim jednak trzymał gospodę, na co przez szpary patrzano.

Dziegiel już parę razy rzucił był okiem na podróżnego, który na przyźbie odpoczywał, a niczego od niego nie żądał.

Sądził, że się domyśli w końcu, siadłszy pod strzechą, zapłacić za gościnę czy napojem, czy jadłem.

Wprawdzie ostatniego u Dziegla było dostać trudno, bo tu ludzie więcej pili, niż jedli, ale chleb, ser i mleko było w komorze.

Podróżny zdawał się gospodarza nie widzieć wcale albo na niego nie zważać. Dziegiel miał już odejść skrzywiony, gdy w tej samej chwili konno od miasta nadciągnął wąsaty młodzian, z mieczykiem u pasa, wyglądający na miejskiego lub szlacheckiego sługę. Konia zatrzymał przed wiechą, pot otarł z czoła i pochylając się krzyknął:

— Dziegiel, piwa! Człowiek pod te gorąco beczkę by całą wychlał, gdyby mu ją nachylnono!

Głos ten usłyszawszy podróżny, który w inną stronę miał zwróconą głowę, drgnął i począł się przybyłemu przyglądać pilno.

Ten też, spostrzegłszy go, zdawał się zdumiony, niepewny, jak by sobie w nim jakąś starą przypomniął znajomość, konia trochę naprzód podpuściwszy, rękę przyłożył do czoła i mruzcąc coś zaczął.

Podróżny tymczasem z ławy wstał.

— Jak Bóg żyw — odezwał się po polsku, choć suknie miał niemieckie — toć Dryszek.

Ten posłyszawszy imię swe już ze szkapy się zsunął.

— Grześ Strzemieńczyk! — krzyknął. — Żyw więc jesteś, a my cię tu już pogrzebali...

Podali sobie ręce.

— Choć w ostatnie czasy nie byliśmy przyjaciółmi — począł Dryszek — boś ty nas

wszystkich twoją nauką zbłądził, ano miło mi, że cię żywym widzę! Kędyżeś bywał? Taż to pięć lat temu...

— Pięć lat, które mi przeszły jako pięć dni — rozśmiał się Grześ. — Kędym bywał, za

długo by było opowiadać. Prędzej ty pono powiesz mi, jakeś z ławki szkolnej dostał się na konia i do miecza przypasał. Toż ci się bakałarzem albo seniorem być chciało.

Dryszek się skrzywił i ręką w powietrzu zamachnął. Ponieważ Dziegiel właśnie mu piwo

podawał, nim się zebrał na odpowiedź, począł od wychylenia całego kubka tchem jednym; otarł

wąsy rękawem, rzucił na dłoń nastawioną gospodarza pieniądze i zwrócił się, dopiero do Grzesia.

— Ano, prawda — rzekł — chciało mi się bakałarzem być, ale nauka do łba nie laźła, ani

weź. W końcu mi się wąs sypał i wolę Bożą czuć zacząłem, a do *quadrivium* nie mogłem się dobić.

Tymczasem trafiła mi się bogatego sołtysa córka, dziewczka jak łania, wolałem ją niż cizjojany.

Komu co przeznaczono, nie minie. Gospodarzę przy ojczymie i drę z nim koty.

Ruszał ramionami i śmiał się.

— Teraz jak na papier spojrzę — dodał — ciarki po mnie chodzą, a jak wspomnę szkołę albo mi się ona przyśni, tom na cały dzień zły i kwaśny. A ty, z czym powracasz?

— Ja? — odparł Grześ pokazując mu węzełek pod strzechą leżący. — Ja wiozę pierwszego może Wirgiliusza do Krakowa.

— Cóż to za kat ten Wirgi... niesz? — odparł Dryszek. Grześ się rozśmiał.

— Wolę go niż twoją sołtysównę — rzekł wesoło. — Przez całe pięć lat uczyłem się a uczył wędrując. Porzedłem naprzód do Wrocławia, gdzie piwa, prawda, było podostatkiem, ale nauczycieli brakło, potem do Lipska. Było się i w Magdeburgu, i w Norymberdze, i dalej nad Renem aż po całych Niemcach.. A co to za osobliwy świat, a jacy ludzie!! Było na co patrzeć i czego się uczyć.

— No i sakwy pełne mądrości przynosisz z sobą — dodał szydersko Dryszek — a groszy dużo?

— Prawie tyle — odezwał się ramionami poruszając obojętnie Grześ — co naówczas, gdyście mnie z Sanoka idącego spotkali.

Dryszek pogardliwą zrobił minę.

— Miałeś po co chodzić tak daleko — zamruczał — goliznę miałeś i w Krakowie.

— Alem tego rozumu, com go nabył między ludźmi, nie miał — rzekł Grześ.

— I cóż z nim robić myślisz? — wtrącił szydersko Dryszek, oglądając się ku swemu

koniowi. — Pewnie na klechę kroisz? No, to by jeszcze było pół biedy, ale i ci panowie kolegiaci nasi, profesorowie i doktorowie, choć kapłani i mądrzy ludzie, chleba siła nie mają. Pójdź na ulicę Św. Anny, a choćby i do większego kolegium, zobacz, jak mieszkają i jedzą a jak pracują... Bóg z wami, ja wolę sołtysią córkę i moje gospodarstwo.

— Jak co komu służy! — rzekł Grześ.

Popatrzyli na się wzajemnie takimi oczyma, jak by sobie powiedzieć chcieli, że się pono

nigdy nie zrozumieją. Wtem Grześ żywo wtrącił:

— Żyw kanonik Waclaw?

Dryszek się musiał namyślać nad odpowiedzią, bo mało co się troszczył o tych ludzi, którzy Grzesia najczęściej obchodzili.

— Heę, medyk? — spytał. — Ano, żyw, postarzał trochę, suwa nogami, ziele zawsze zbiera, ludzi morzy i leczy.

— A z Samkiem co się stało?

Samek też wyszedł pono był z pamięci Dryszkowi, bo długo się namyślał, nim go sobie przypomniał.

— Ten już suknię kleszą nosi, ale mu święceń nie dają, bo nie umie, co potrzeba — rzekł po chwili.

Kilku współuczniów wspomniawszy, o których Dryszek niewiele wiedział, Grześ się w końcu nieśmiało jakoś, wahając, odważył spytać o to, co go najbardziej obchodziło.

— Cóż się z Balcerami dzieje? Dryszkowi oczy błysnęły złośliwie.

— Heę — zawołał — tożes się był powinien naprzód o nich pytać! Balcerom twoim wiedzie

się, jak się wiodło, pobogacieli tylko jeszcze. Kamienic Niemczysko nakupował wiele i utył tak od świdnickiego piwa, że brzuch przed sobą ledwie dźwiga. Sama Balcerowa też nie schudła, a córeczka ich wyrosła na najpiękniejszą laleczkę w mieście. Ludzie do niej idą jak do cudownego obrazu, bo prawda, że na podziw urodziwa, a mówią, że i rozumna. Przy tym jedyna u rodziców i wszystkie kamienice Balcera spadną na nią, więc tam bodaj pan i szlachcic gotów w swaty.

Grześ smutnie i na pozór obojętnie słuchał tego opowiadania; Dryszek jedno oko

przymrużywszy przypatrywał mu się. Zwrócił się potem oczyma ku niebu, aby się ze słońcem obrachować i w czas do domu dojechać.

— Jechać muszę — rzekł — a i wam też, nim wrota pozamykają, pospieszyć trzeba, aby na

Kleparzu nie nocować. Rad bym z wami gadał, ale gdy późno przyjadę, teść będzie łajał, a żonka posądzi, żem się z dziewczętami na Okółu zabawiał. Z nią sprawa nie osobliwa, wolę licha nie drażnić.

Zabierał się do siodła, rękę podawszy Grzesiowi.

— A cóżes się tak z żonką szczęśliwym mienił — odparł Strzemieńczyk — gdy ci się jej i

teścia obawiać trzeba?

Dryszek zrobił minę dziwną.

— Nie ma chleba bez ości, nie ma ryby bez kości — odparł cicho. — Wolę już, żeby mi żona nałajała i teść nagroził, niżbym głodem miał mrzeć i głowę łamać nad pisaniem. Bywaj zdrow!

Tak się rozstali. Grześ powrócił na przyzbę i dobywszy chleba z serem po staremu kazał do nich podać miarkę cienkusz, którym wieczерę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz porównywając pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do niego po latach ośmiu, ważył i rachował, co zyskał, a miał z tego powód być dumnym. Czuł, że czasu nie stracił i że jego węzełek, na który tak pogardliwie Dryszek spoglądał, więcej zawierał w sobie niż to, co tamten zyskał po dziewczynie w posagu. Przebył wiele, przemęczył się niemało wśród obcych, ale plon mu za to nagroził. Teraz już mógł śmiało do Akademii się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nauk tych świadomym.

Bakałarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegium zasiąść i młodzieży wykładać, co mozolnie zdobył.

„I suknię wdziać duchowną” myślał w duchu, a czoło mu się zachmurzyło. Piękna Lenka stanęła przed nim i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty.

Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klastrum nauki albo teatr czynnego żywota. Od dawna już walka tych dwóch niezbytch i niepojednanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała, a gdy śnił o tym, iż trzeba było jedno wybierać, w końcu odtrącał oboje, bo zawsze po czymś płakać by przyszło.

— Czasu mam dosyć — mówił sobie — Bóg wskaże, co czynić. Wiódł mnie dotąd, natchnie w chwili stanowczej.

Już na pacierze wieczorne dzwoniono do miasta, gdy Grześ przebywszy wrota wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zasianych pamiątkami tylą, rozweselił go.

Wracały mu żywo spędzone tu lata.

Ale na próżno zwracał oczy ciekawe ku ludziom, których spotykał, twarzy znajomych nie było. Nikt go tu nie witał, spoglądano jak na obcego. Na Floriańskiej Niemiec stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać nie było podobna. Odpowiedział niemczyzną taką, iż mu mieszczanin rękę podając do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną. Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamannika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemieńczyk też nie sądził potrzebnym wydawać się z tym, kim był, i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła.

Nie mógł zostawić w tym błędzie gospodarza Grześ i przyznał mu się, że na naukę do Akademii przybywał.

Nie było to już rzadkością w Krakowie podówczas, że cudzoziemcy tu do młodej Macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a Szkoła Jagiellońska zażywała w świecie sławy nie mniejszej od najstarszych sióstr swoich.

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznym kolegium, życie wielkie, gorące, młodzieńcze, czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już, ze świątobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostolskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamannik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się to osobliwym, iż z tak daleka się przywłókł.

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była wszędzie na- ówczas obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko. Rozповідаł im za to o dalekich krajach i o miastach, za którymi tęsknili.

Nazajutrz rano, tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko, zostawiwszy, przebrawszy się Grześ pospieszył naprzód do kościoła Św. Anny.

Tu już między studentami, po leciech pięciu, ani jednej znanej nie znalazł twarzy, bo

działwa powyrastała i zmieniała się, a starsi w świat poszli. Kościół za to pozostał nie zmieniony, jak gdyby Grześ z niego wyszedł wczora.

W progę zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława. Gdy zapukawszy do drzwi wsunął się na próg, staruszek siedzący w krześle nad ogromną księgą podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego i nie poznał.

Byłli temu winien uczeń, co się tak odmienił, czy źrenice, które tak osłabły?

Dopiero gdy do pocałowania ręki przybliżył się Grześ, odezwawszy ze zwykłym —

Laudetur, kanonik na obu poręczach się oparłszy, uradowany, porwał się na nogi.

— Grześ! — zawołał. — Bogu wielkiemu niech będą dzięki... Cały! Żyw! A zmężniałeś, a rozumułeś nabył, a nauki przysporzyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo.

Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z

pociechą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wyrwały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowymi.

Strzemieńczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić.

Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezja, zwłaszcza starożytne, najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał, co uczono z historii natury. Była to na nieszczęście nauka w kolebce, nie wchodząca w programy i Grześ tylko spotykając się z lekarzami mógł mało co zdobyć wiadomości, które się ograniczały do odgrzebanych z pisarzy starożytnych. Z tych zaś łacinnicy tylko byli przystępni znaczniejszej części uczonych, bo język grecki zaczynał dopiero poznawanym być lepiej i o Grekach wiedziano tyle, co się przez łacinników o nich dowiedzieć było można.

Kanonik zaś nie tyle teologią i historią, poezją i retoryką się zaprzętał, co rzeczami nauk przyrodzonych tyczącymi. Był to, jak dawniej ich zwano, człowiek ciekaw natury (*naturae curiosus*) w całym znaczeniu tego wyrazu.

Grześ też miał skłonność badać te tajemnice, ale dla niego kluczem do nich była nauka

języków, bo razem z wielu swojego czasu ludźmi pojmował, że naprzód należało przyswoić to sobie, co ludzkość od wieków zdobyła, aby iść dalej na drodze odkryć i postępu.

— Cóż teraz myślisz z sobą czynić? — zapytał w końcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

— Ojczy kochany — rzekł Grześ wahając się — spełna nie wiem, co uczynię. Poproszę

Boga o natchnienie jaką mam pójść drogą, to pewna, że się uczyć chcę, że się w naszej Akademii rozslucham i rozpatrzę, i dobijać się będę bakałarstwa a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

— Tak, tak, nie może być innym przeznaczenie twoje — rzekł ks. Wacław — musisz

przywdziać suknię naszą i będziesz filarem kiedyś tej Jagiellońskiej Szkoły, która światu zaświeci blaskiem wielkim. Nauka, kto z nią raz ślub wziął, staje mu się wierną do zgonu życia towarzyszką.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata, zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta

osobliwe, jakie mógł widzieć lub słyszeć o nich w podróżach. Lecz, pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanym było.

Miał za to Wirgilego, Owidiusza i Statusza w tłu- moczku, którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w średnich wiekach Wirgiliusz uchodził za czarnoksiężnika i świadomego wielkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy ze staruszką, ruszył się w końcu Grześ, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Była już naówczas, obyczajem w innych akademiach zwykłym, bursa Isnera , zwana

ubogich lub królewską jagiellońską, przy Wiślniej ulicy, o której pomyślał ks. Wacław, czyby w niej Grzesia nie umieścić, ale ta podczas, jak prawie zawsze, przepelnioną była, a Strzemińczyk też nadzieję miał, nikomu nie będąc ciężarem, przepisywaniem sobie zarabiać na życie.

Kunszt ten, z którym już na wędrowkę się puścił, w czasie niej doprowadził do takiej doskonałości, iż śmiało mógł z najpierwszymi kaligrafami ozdobnością pisma iść o lepsze.

Tak samo w muzyce uczynił postępy wielkie, a że pamięć miał nadzwyczajną, więc pieśni

kościelnych, sekwencji, hymnów, równie jak łacińskich i niemieckich piosnek wesołej treści, zapas z sobą wielki przynosił. Gra na cytrze i głos, który z wiekiem się zmienił, ale na brzmieniu nie stracił, czyniły go na owe czasy muzykiem niepoślednim. Na organach też umiał sobie

towarzyszyć. Z tymi wszystkimi talentami, umysłem żywym i byстрыm, odwagą i

powierzchnością ujmującą, ubogi szlachetka, któremu i pochodzenie ułatwiało zdobycie miejsca między ludźmi, mógłże zwątpić o sobie?

Wyszedłszy od kanonika, który żądał, aby rychło do niego powrócił, bo mu chciał miejsce

znaleźć przy sobie i izdebkę wyprosić w domu, który zajmował, Grześ miał postanowienie udać się do Balcerów.

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przecucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć.

Szedł i zwalniał kroku, zatrzymywał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu? Dawną towarzyszkę zabaw, którą siostrzyczką

nazywał, wypięknioną, dumną, zmienioną? Dryszek mu o niej mówił, że ludzie za nią biegali, aby na piękność jej popatrzeć!

Grześ może, sam o tym nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzeć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z jej obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na męstwo zebrał i skierował ku ich domowi.

Z dala widział dom, wcale nie zmieniony, taki, jakim był, gdy po cichu, rankiem wymknął

się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mogąc zrazu zrozumieć, wstrzymał się na chwilę. Na progach wszystkich dworców, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu śmiechu i radości pełno.

Z dala dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w bębenki, okrzyki jakieś i rąk klaskanie.

Oprócz tłumu ciekawych, który napełniał ulicę i chodniki, wpośród niego dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jubkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach spiczastych.

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko się to ściągało i skupiało, Grześ nie mógł się omylić, był dworek Balcerów.

Uderzyło go to i pobladł. Domyśleć się było łatwo, iż nic się tam innego tak wesołego odbywać nie mogło, chyba zaręczyny albo wesele, nie czyje inne jak Leny.

Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrękowiny lub ślub mógł się zebrać chyba człowiek

tak bogaty jak Balcer.

Stary to zwyczaj był, szlachecki równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak

najwspanialsze i trwać jak najdłużej. Ci, co nie dawali wiana za dziećmi, zmagali się na to, aby dzień ten uroczysty uczynić dla nich pamiętym.

Musiało już naówczas prawo zapobiegać, aby się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt

liczne, na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen! I trzeba było, aby los właśnie Grzesia sprowadził tego dnia i godziny, gdy się ono odbywało.

Stanął z rękami załamany biedny, a głos wewnętrzny mówił w nim:

— Tak chciał los twój, aby ci wskazał drogę i przeznaczenie!

Choć się nie przyznawał do tego sam sobie, Strzemieńczyk żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie, w zapale pierwszym wyrzekł się dla niej nauki, zdobywszy, jakie już zyskał, i przyszłości...

Wszakże Dryszek tak poświęcił wszystko dla sołtysównej!

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszystko było jakby zawczasu wyznaczonym dla niego, potęgą jakaś wska-zywała mu drogę, którą on iść musiał. Opierać się jej nie mógł.

Podniósł oczy i patrząc z dala na wesoły tłum oblegający dworek, wśród którego osób nie można było rozeznąć, ważył, czy powinien zejść na wesele, czy uciec od niego.

Lecz po co było uciekać? Wszakże zapomniano tam o nim i nikomu serce się nie krajało z

tęsknoty. Lenchen nauczyciela i towarzysza nie pamiętała wcale... A on? Miałże być słabszym od nich i jak dziecko płakać straconej zabawki.

Miał ważniejszy cel w życiu.

Tak myśląc Grześ powolnym krokiem zbliżać się począł do dworku Balcerów, powtarzając

sobie, iż było cudem Bożym zesłanie go w tym dniu i godzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał powołania usłuchać.

— Suknia klesza, cela klasztorna, samotne życie do zgonu, to przeznaczenie moje!

Szedł coraz większego śmiałka udając ku dworkowi, a choć gorzko mu było w duszy, jak by piołunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

— Grać im będę i śpiewać, i śmiać się, jak bym był najszczęśliwszym — mówił w duchu —
inaczej po co iść do nich.

Do progu dworku trudno się było docisnąć, wielka część gości stała na ganku i w sieni, a stąd widać było stoły zastawione, nawet na podwórku wewnętrznym, które oczyszczono i zielem pachnącym posypano. U progu stała muzyka przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale jej też nikt nie słuchał, bo podochoceni już goście nucili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostatnio z niemiecka był przyodziany i pięknie wyglądał, nie poznawał nikt.

Patrzano na niego dorozumiewając się przybysza. Balcer, Balcerowa i panna młoda byli

wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, jak obejrzała się przypadkiem, zobaczyła go, o:łupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była.

Nadbiegła na brzęk i szczęk Balcerowa, nie wiedząc, co się stało.. i ta poznała zaraz

Grzesia. Pobladła, zaniemiała, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy zbliżyła się do niego.

Strzemińczyk tymczasem robił, co mógł, aby twarz okazać wesołą.

Złożyło się tak, iż nim mieszczka mogła się docisnąć do tego tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do stołu na miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła... Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się pani młoda strwożyła. Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że na poły omdlała matka i pan młody ledwie od upadku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo, wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie.

Cudownie była wdzięczną i śliczną jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, którymi okryta była, podnosiły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych,

wyróżniającej się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

Obok niej domyślił się Grześ w młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku,

którego młodość i zdrowie, a jakaś dobroduszość twarzy wesołej i poczciwej, czyniły dosyć miłym,

przyszłego męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Szląsku, którego Frączkiem po imieniu zwano.

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo.

Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda zabobonnie się wydawała przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek już wiódł przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z Grzesia wejrzeniem, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła do stojącego u progu, z tak przymuszonym uśmiechem jak córka.

Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

— Chodźcież bliżej — rzekła wprowadzając go do środka. — Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego... Wiecież, myśmy tu was już za zginionego mieli. Chodziły wieści różne.

Zapewniano nas, że nieszczęście was spotkało... Lena nauczyciela swego opłakała... Wszak ci to pięć lat!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia cały był, jakby z łaźni wyszedł, czerwony i mokry. Szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony jak inni.

Student tymczasem ze wszech sił swych starał się okazać bardzo wesołym. Śmiał się głośno umyślnie, żartować po- czynął i udawał takiego lekkoducha włóczęgą, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo weselne po większej części się z Niemców składało, Grześ musiał ich języka używać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chciano, gdy się Polakiem opowiadał.

— Co dziwnego — wołał do Niemców otaczających — byłbym niezdara, gdybym pięć lat po Niemczech się włócząc, ich mowy sobie nie przyswoił. Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie...

Nierychło po tych pierwszych szarmyclach, ze drzwi Balcerowa podprowadziła Grzesia do pani młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma od dawna ścigała, a gdy podszedł, wyciągnęła rękę do niego, do męża się

odzywając:

— To mój nauczyciel, o którym wam rozpowiadałam, patrzcie, abyście sobie przyjaciółmi byli dobrymi.

Fraczek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściskać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem pocziwym i wyraził to z prosta, jak się cieszy, iż na wesele Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

— Bóg widzi — odezwał się Grześ, ciągle wesołość udając — że czyste losu zrządzenie mnie tu przyniosło, cudem prawie. Wszakże w ulicę wchodząc o weselu wcale nie wiedziałem, a Dryszek, którego wczoraj spotkałem na drodze, choćem go o państwa Balcerów pytał, nic mi o tym nie wspomniał.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nie opodał, dobre dając mu miejsce, z którego się pani młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna, ale to wiadoma rzecz, iż mężatka młoda na weselu swym zbytniej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało więc to nikogo. Fraczek za to, jak by go na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, nalewał, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze garścią sypał do nastawionych kołpaczków.

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w nim kilku znajdowało. Ci, dowiedziawszy się, kto był

Strzemieńczyk, i przypomniawszy, co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przyłgnęli. A że wina i miodu w bród było i w głowach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczyty przypomniano sobie śpiew Grzesia i głos jego.

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę. Cytra się znalazła pod ręką, wetknięto mu ją

gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, pani młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom.

Nakazano milczenie trefnisiom i muzyce, a Grześ palcami po strunach przebierając począł od niemieckiej piosnki.

Wybierał ją długo w myśli, bo miał z czego, nie chciał smutnej, nie mógł wesołej, zaśpiewał więc obojętną o siedmiu życzeniach:

Hdlit ich sieben Wünsch in meiner Gewalt...

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia nawet dla tych, co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław biegnąc bliżej, aby go lepiej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, z takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli osłupieli. Nikt tu, jak żyw, takiego śpiewu nie słyszał nigdy; wprawnego, śmiałego, długim doświadczeniem uczynionego posłusznym narzędziem pana.

Pieśń nie zdawała się nic kosztować tego, co ją nucił, przychodziła mu łatwo, bez wysiłku, jak ptakowi na gałęzi.

Gdy skończył swych życzeń siedm, pomiędzy którymi była i miłość pięknej kobiety, ale wciśnięta między takie pospolite życia potrzeby, że jej tam wstyd mieścić się było, niewiele zważając na słowa, podziwiali wszyscy śpiew cudowny.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać.

Nalegano na jedną z tych niemieckich pieśni miłosnych, które by do śmiechu i do rumieńców pobudziły. Grześ uległ, ale wybrał skromną i smutną, śpiewał ją z oczyma spuszczoneymi na cytrę i choć głos chwalono, żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta.

Oparł się temu.

— Wesolej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką, ale po łacinie. —

Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświeciły, usta gwałtem zmusił do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął silnie i silnym począł głosem:

Vinum bonum et suave, Bonis bonum, pravis prave. Cunctis dulcis sapor, ave Mundana laetitia!

Choć nie wszyscy rozumieli, wesola, szalona nuta starczyła za słowa, wszyscy poczęli wtórować Grzesiowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy.

Wtem nagle, jak by wysiłek ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napełniony wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniła się, udawaną radością się zadławił.

Poruszył się z ławy, chcąc wyniść, tłumacząc nużącą podróżą, skwarem i potrzebą

spoczynku.

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił z dala wejrzeniem tęsknym ku pannie młodej, jak by ją żegnał, wmieszał w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiadano, kiedy wysliznął się z domku Balcerów.

Tymczasem wesele z muzyką i piasami do białego dnia trwało.

V

W tych czasach, gdy Grześ przybył do Krakowa, w młodej Akademii sławił się starszy od niego wiele, ale rozkwitający do życia Ambroży Boner.

W dwudziestu kilku leciech zdobył sobie pierwszy laur akademicki i gdy inni rówieśnicy jego uczyli, się jeszcze, on już pisał komentarze nad Piotrem Lombardem.

Dziecię zamożnej rodziny, mógł się spodziewać, okazawszy chęć obleczenia sukni zakonnej, najwyższych dostojęstw w Kościele. Prorokowano mu nadzwyczajną przyszłość.

Świecił jak diament, nie tylko pomiędzy młodszymi, ale w gronie starych teologów.

Radzili się go doktorowie, podziwiali łatwość argumentowania, dialektykę i styl piękny wszyscy owych czasów styliści.

Z nauką, młodością swą, stosunkami rodziny, mógł sobie prędko obiecywać infułę, a nikt nie wątpił, że ona go czeka.

Lecz świetny ten początek cale co innego wróżył, dwudziestokilkoletni księżyna nagle zamknął się na Kazimierzu w klasztorze ks. augustianów eremitów, u Św. Katarzyny, przywdział habit, odbył nowicjat i objawił niezłomną chęć poświęcenia reszty życia na chwałę Bogu i usługę biednych ludzi.

Cudowny młodzian, który w zakonie nosił imię Izajasza, stał się jednym z tych mnichów, jakich tylko stare dzieje pierwotnych wieków znały.

Posty, modlitwy, włosiennica, nocne nabożeństwa, odwiedzanie chorych, grzebanie umarłych, posługa ubogim, pochłoneły całego. W chwilach odpoczynku zatapiał się w ascetycznych księgach. Z tego życia, którego celem było zapanowanie nad sobą i osiągnięcie

chrześcijańskiej doskonałości, nie go wyrwać nie mogło.

Uczony młodzian, którego umysł bystry i erudycja cudownie nabyta zawstydzają mądrych

profesorów, posiwiałych nad księgami, nie znalazł u augustianów ludzi, co by go ocenić umieli, przecież z pokorą wielką korzył się przed przełożonymi, rozumem i wolą. Był to wzór zakonnika i naówczas już widziano w nim za żywota ubłogosławionego.

Grześ w czasie pierwszego pobytu w Krakowie, gdy Izajasz zwał się Ambrożym i był

jeszcze świeckim kapłanem, widywał go i miał u niego łaskę.

Boner cenił żywy umysł chłopaka, pojęcie łatwe i posługiwał się nim do przepisywania.

Od tego czasu lat upłynęło kilka, Boner się zamknął w klasztorze.

Grześ powróciwszy nie słyszał o nim jeszcze, choć w całym Krakowie za wzór

świętobliwości go wskazywano.

Zaraz nazajutrz po weselu, gdy przechodził ulicą zadumany, ten traf, który w życiu

Strzemieńczyka grał tak opatrzna rolę, nastreczył mu Izajasz, który od grobu świętego Stanisława do swego klasztoru powracał. Miał on do świętego męczennika szczególne nabożeństwo.

Pod tą suknią nową nie byłby go Grześ poznał pewnie, zwłaszcza że i twarz, niedawno

rumiana i świeża, młodego Izajasza, umartwieniami, postem, dobrowolnymi męczeństwami,

nadzwyczaj zmienioną była.

Blady, z policzkami zapadłymi, w starym habicie wytartym, bosy, z nogami poranionymi,

nie zwrócił nawet na siebie uwagi zamyślnego studenta, który pogrążony był od wczora w

smutnych jakichś dumaniach o przyszłości, walcząc z sobą i wahając się jeszcze, co pocnie, ale

Boner z tym jasnowidzeniem dusz wybranych, które szukają wszędzie boleści, aby ją pocieszać, wątpliwości, by ją rozjaśnić, przypomniał go sobie, wyczytał w twarzy jego utrapienie, przystąpił

do niego i pozdrowił.

Grześ nie mógł go sobie przypomnieć. Głos i twarz były mu znane, ale człowiek wydawał

się obcym.

Mnich położył mu rękę na ramieniu i uśmiechając się łagodnie szepnął, iż był tym, dla

którego on przepisywał niegdyś wyjątki Boecjusza.

Strzemińczyk teraz dopiero poznał go i zawołał zdziwiony:

— Ale cóż z wami się stało? Ta suknia?

— Dała mi spokój, dobiłem do portu, jestem szczęśliwym — rzekł uśmiechając się Boner.

— Dwu panom służyć nie można, wybrałem więc tego, ku któremu wielka mnie miłość ciągnęła...
baranka skrwawionego na krzyżu.

Z zazdrością prawie i poszanowaniem skłonił przed nim głowę Grześ i westchnął.

— Widzę z twego oblicza smutnego — dodał ojciec Izajasz — żeś na rozdrożu, a w

niepewności dusza twoja. Chodź ze mną, zwierz mi się, azali nie przemówi przez niegodne usta Duch Święty, może ci pociechę dam, a przynajmniej zabojeję z tobą.

Szli tak razem ku klasztorowi Św. Katarzyny na Kaźmierz, 8 Grześ powoli opowiadał o
swych wędrówkach.

Choć się ze stanu duszy swej nie zwierzał przed Izajaszem, łatwo mu było z samej powieści go
odgadnąć. Milczał mnich nie przerywając. Razem weszli do celi mnicha.

O. Izajasz z umysłu zajmował i wyprosił sobie najędzniejszą, ciemną, wilgotną, małą, a
spojrzenie na nią malowało człowieka, który na świecie żył jeszcze, lecz już nie dla świata.

Nie było tu ani łoża, ani pościeli, bo asceta sypiał kilka godzin za ledwie, krzyżem leżąc na podłodze.

W kącie stał klęcznik twardy, a około niego zaschłej krwi krople rozprysły, świadczące o
biczowaniu. Krzyż i trupia głowa koronowały go.

Było to schronienie męczennika.

Z wesołą twarzą wprowadziwszy go, mnich zwrócił się do Grzesia.

— Tu szczęście moje — zawołał — nie ma go gdzie indziej!

Trwoga jakaś ogarniała studenta, który stał zaniemiał.

— Mów jako przed bratem, co cię boli — dodał zakonnik.

— Znacie trochę żywota mojego — począł Grześ. — Uszedłem z domu rodzicielskiego dla

nauki, bom do niej czuł popęd wielki, dla niej o głodzie i chłodzie włożyłem się po świecie. Nie
jestem syt, nie wszystka nauka słodką mi się wydaje. Powróciłem w rozterce z sobą samym. Mamli
wdziać suknię duchowną czy w życiu czynnym, do którego pochop też czuję, starać się służyć ludziom

i Bogu? Co zrobić, co przedsięwziąć, nie wiem. Świat mi się uśmiecha jeszcze, nie mam siły się go wyrzec, a potęga jakaś z góry zdaje się mnie popychać na inną drogę. Wy, ojczy, szczęśliwi jesteście, bo głos, który mówił do was, inne zagłuszył, a ja...

Izajasz słuchając go stał z rękami złożonymi do modlitwy i zdawał się więcej może modlić, niż słuchać go, prosić o natchnienie z góry.

— Cóżes przyniósł z tej wędrówki po obczyźnie? — spytał łagodnie.

— Ten sam niepokój, z jakim wyszedłem stąd, wątpliwości wielkie, niepewność

wszystkiego, do czego się dobijałem tak usilnie. W tej mądrości ludzkiej, którą zdobyć pragnąłem, zaledwie kielich jej ust moich dotknął, ambrozja się w żółć zmieniała. Co z dala jaśniało mi, z bliska wydaje się nikczemnym. Gdzieś się spodziewał ziarna, pustą znalazłem łupinę...

Izajasz milczał.

— Uczyć się pragnę zawsze, lecz są chwile, w których nauka wstrętną mi jest, bo ją czuję zawodną. Mamli wdziac suknię duchowną?

Mnich dumał, dał znak ręką i poszedł do klęcznika, padł na kolana, złożył dłonie, pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Grześ stał patrząc nań z podziwieniem i trwogą.

Na tej rozmowie z Bogiem Izajasz zdawał się o nim zapominać, nareszcie powstał z wolna.

Spojrzał na oczekującego miłosiernie.

— Nie spiesz z tym — rzekł — co powinno być dziełem przekonania i natchnienia. Walczą w tobie nie ukołysane żywioły, a walka ta, jak każda w życiu, może być płodną.

Ale w tym ducha stanie do boskich ołtarzy przybliżać się nie godzi. Pomnij, że pierwsi

chrześcijanie katechumenami długo stać musieli poza zgromadzeniem wiernych, niżeli do agapów byli przypuszczeni. Lepiej jest nie wchodzić tam, skąd wyjść się nie godzi, niż wnieść ze sobą, nie już zgorzenie, ale wątpliwość. Wzrok twój mgła ziemską jeszcze zaciemnia, nie widzisz jasno, módl się i pracuj. Gdy człowiek jest bezsilny, naówczas na godnego pomocy spływa łaska. Z łaską spokój ducha, a z nią spadają z oczów łuski.

— Nie, nie kwap się! — powtórzył Izajasz.

Grześ odetchnął swobodniej.

— Widzisz — dodał Boner — sam kapłan i zakonnik, nie ciągnę cię do tego, co dla mnie

portem jest i szczęśliwością, albowiem wyzuć się trzeba ze starego człowieka, aby nowym być, a w tobie kipi krew i bije serce.

— Skazany więc jestem — przerwał Grześ smutnie.

— Na walkę, jak wszyscy ludzie — odparł Boner. — Jedni z nich przez klasztor idą do nieba, inni przez świata drogi cierniste. I purpura bywa włosiennicą, i korona cierniem bywa.

Różnie powołuje Bóg i sobie służyć każe. Jak mądre dziewice, czekaj z lampą zapaloną, patrząc, aby ci ona nie zagasła.

Strzemieńczyk zbliżył się wzruszony i w rękę go pocałował. Boner zamilkł.

— Pozostaniesz w Krakowie? — zapytał po chwili.

— Sprzykrzyły mi się wędrówki — odparł Grześ — chcę słuchać nauk w Akademii naszej i jej służyć. Pozwolicie, ojcze, abym w godzinach zwątpienia i utrapienia o pociechę i pomoc was prosił?

— Widzisz — rzekł Boner — żem sam pierwszy zwrócił się do was. Jako służę wszystkim, tak i tobie radą a pocieszeniem chcę służyć. Idź z Bogiem w pokoju.

Uścisnął go zakonnik okazując mu jakby miłosierdzie wielkie, w czym Strzemieńczyk, choć widział pewną pociechę, czuł też przepowiednię ciężkich walk, jakie go na świecie czekały, a które błogosławiony mnich przeczuwał wcześniej.

Pokrzepiony wszakże radą tą i umocniony w postanowieniu czekania, aby się powołanie do stanu duchownego silniej w nim objawiło, wyszedł Grześ z klasztoru i powrócił do miasta.

Zostawało mu wiele do czynienia, a naprzód samo opatrzenie mieszkania, gdyż ks.

Wacławowi ciężarem być nie chciał.

W tych myślach na Rynek krakowski wchodził, gdy jednego z współbiesiadników

wczorajszych, dawniej też sobie znajomego syna kupieckiego, którego Gąską zwano, ujrzał w wesołym humorze, kroczącego ku Sukiennicom.

Poznał go z dala Gąska i stanął.

Z wczorajszego wesela i biesiady jeszcze mu cos dobrej myśli pozostało. Począł wabić ku sobie studenta.

— Toście wczoraj nam z pola zbiegli nie dotrzymawszy placu — rzekł wesoło. — Szukano was nadaremnie.

— Ani się dziwcie temu — odparł Grześ — com miał smutny i znużony robić między wesołymi?

— Bylibyśmy cię upoili i rozochocili.

— Albo ja was otrzeźwił i zasmucił. Trosk mam dosyć i do czynienia wiele.

— Kto by temu wierzył — rozśmiał się Gąska — albośmy to cię dawniej nie znali, żeście umieli podołać wszystkiemu, tak i dziś. Nie darmo macie głowę na karku.

— I głowa nie pomoże wiele, gdy rąk nie ma za co zaczepić — smutnie odezwał się Grześ.

— No, mówcież jaśniej, czym się tak frasujecie? Strzemińczyk z prawdziwej troski mu się spowiadać nie chciał, człowiek był nadto lekki, aby go zrozumiał, więc tłumacząc się od niechcienia rzekł, że nawet gospody sobie nie znalazł jeszcze.

— Tak że mów — przerwał Gąska — i chodź ze mną. Wiecie lub nie, zem po ojcu dom odziedziczył przy Grodzkiej, żyję w nim sam z matką, izb dosyć próżno stoi. Wybierzecie sobie, jaką zechcecie.

— Najmiecie mi ją?

— Dam lub najmę, jak wola — odezwał się Gąska. — Wiem to, że wy pisać musicie, a do pisma światła potrzeba, nad gankiem izdebka jest, wschodki do niej nieosobliwe, ale nogi masz młode.

— Chodźmy — rzekł Grześ.

Tak się mieszkanie znalazło rychło. Komora była prawie próżna, a służyła dotąd tylko znajomym gościom do Krakowa przybywającym.

Gąska nie żądał za nią wiele i dodał śmiejąc się, iż Grześ za komorne czasem mu pieśń zaśpiewa.

Zeszli potem na dół do staruszki matki Gąski, która w swej izbie siedziała, nie bardzo się już poruszać mogąc, bo niemoc w nogach miała i z krzesła służby i gospodarstwa do-zierała.

Pomimo wieku i osłabienia, babina wesołą była, nudziło się jej samej w domu z dziewczkami, syn

rzadko przesiadywał, powitała nowego komornika bardzo rada, że ich w domu więcej będzie.

Strzemieńczyk też miał to szczęście, że się powierzchownością niewiastom podobać umiał.

Stara jejmość dla gościa i dla syna, chcąc ich zatrzymać dłużej, wina zagrzać kazała.

— Chwalić Boga, że was mój Maciek złapał — rzekła — w domu nas więcej będzie. Nie

chce mi się zenić, choć go proszę i swatam, a ja stara już w domu podołać nie mogę. Pomożecie mi może, aby go do wesela namówić.

Tu babuś przerwała sobie.

— Nie napatrzyłeś tam kogo na weselu? — spytała i nie czekając odpowiedzi ciągnęła dalej:

— Ot i tę, Lenchen Bal-cerów, gdyby był jeno chciał, byłby miał, jak Bóg żyw, a dziewczę śliczne i wiano piękne...

— Ale, ale — przerwał Gaska — Balcerówniej dostać nie było łatwo. Prawda, że piękna i bogata, ale za mąż iść cale nie chciała i rodzice ledwie ia na pół uprosili, w pół zmusili...

— Cóż to jej było w głowie? — spytała stara.

— Pewnie sobie roiła panka. Wojewodzica czy kto ją wie kogo... — mówił Gaska. — A i to pewna, że choć mąż chłopak ładny i nieubogi i rodzina pocziwa, ledwie nieledwie ją matka skłoniła.

Staruszka kiwała głową.

— Drożyła się — wtrąciła — jak to one wszystkie; a takie małżeństwa przecie najlepsze bywają. Z wielkiej miłości zawczasu potem tylko kwasy i swary.

Grześ, który słuchał z uwagą, tknięty tym, iż o Balcerównie powiadano, jakoby za mąż iść nie chciała, poruszył się ciekawie.

— A skądże o Balcerównie wiecie, iż do kobierca ochoty nie miała? — zapytał.

— Całe miasto wie o tym — rzekł Gaska. — Osobliwa była dziewczyna, bo jej Pan Bóg

wszystko dał, a tak chodziła zawsze zatęskniona i smutna, jakby najniezwyklejszą była. W końcu kumoszki matce otworzyły oczy, że ją koniecznie za mąż wydać trzeba.

— No, i dobrze ją wydali — odezwała się matka Gaski. — Mąż, chłop dorodny, dobry, stateczny i szpetny nie jest.

Słuchający syn palcem się w czoło uderzył, babina to po-strzegła.

— To co — przerwała — albo ona za dwoje rozumu nie ma? Wszyscy przecie i o tym

wiedzą, że ona na kobietę aż nadto oleju ma w głowie. Nie wiem, czy nie kłamią, ale rozpowiadali, że pisać i czytać ktoś ją potajemnie nauczył.

Zarumienił się Grześ i spuścił oczy.

— A co jej po tym — dodał Gąska — wolałaby szyć i kuchni pilnować.

Matka nie zaprzeczała temu. Strzemińczyk się nie mieszał do rozmowy. Wtem gospodarz wstał i odezwał się:

— Nie pójdziecie dziś do Balcerów? Wesele trwa i pewnie jeszcze dni kilka się przeciągnie.

Ja zajrzę też, chodźcie ze mną.

Zawahał się Grześ, ciągnęło go tam bardzo, obawa jakaś odpychała. Iść tam, aby mu serce

bolało więcej? Nigdy on wprawdzie na wielkiej przyjaźni do swej uczennicy nadziei żadnych nie pokładał; wiedział, że ubogie chłopię, choć szlachectwo jego coś ważyło, do zamożnej kupcowej nie mógł się posunąć, a jednak teraz, gdy ją widział zamężną, zazdrość i jakieś uczucie

niewysłowionej boleści serce mu uciskało. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gąska nalegać począł mocniej.

— Chodź ze mną. Wczoraj za wami tam wszyscy się oglądali, będą wam radzi.

— Wyście też byli na weselu? — zapytała stara.

— A jakże! — rzekł Gąska. — Stary pono znajomy Balcerów i bardzo go tam witali serdecznie.

Strzemińczyk z gorzkim uśmiechem zwrócił się do gospodyni:

— Tak — rzekł — gdym pauprem przybył do Krakowa lat temu już sporo, pierwsi mnie żywili Balcerowie.

Staruszka potrząsnęła głową. Gąska tymczasem za rękaw go ciągnął i nalegał:

— Chodź ze mną!

Rozum iść nie kazał, a słabość ludzka ciągnęła. Grześ w końcu dał się skusić.

Dnia tego wprawdzie już wczorajszego ścisku i tłumy nie było, ale wewnątrz dworek pełniuteńki i muzyka, i ochota a okrzyki około stołów, z których miski i dzbany nie schodziły.

W progu ich powitała Balcerowa, z twarzą zmęczoną i posępną.

Grześ wsunął się nieznacznie, szukając pani młodej oczyma. Siedziała sama otoczona mężatkami, a mąż jej wesół w drugim końcu izby poił gości. Żona, jak matka, zdawała się znużoną, blada była jak wczoraj i roztargnionym wzrokiem toczyła po izbie, gdy niespodzianie Grześ się jej nastreczył.

Lekki rumieniec okrył jej twarzyczkę i jak by się lękała, aby gość ten jej nie uszedł znowu jak wczora, wstała żywo, śmiało się zbliżając ku niemu.

Uśmiezek zjawił się na jej ustach.

Strzemińczyk widząc ją wprost idącą ku sobie musiał też naprzeciw niej kilka zrobić kroków. Goście weselni, których pełno było, podweseleni, mało na co zważali, tak byli sobą zajęci.

Wśród nich więc mogli tak swobodnie rozmawiać, jak by się na osobności znajdowali.

— Długo, długo was w Krakowie nie było — poczęła cichym głosem Lena. — Wam w podróży czas biegł pewnie prędko, nam tutaj powoli. No, i wy mnie porzuciliście dzieckiem, a znaleźli w czepcu!

Westchnęła. Grześ się silił na wesołość.

— W sam czas przybyłem — rzekł — aby wam powinszować.

— Nie wiem, czy jest czego — przerwała — bo mnie się iść za mąż serdecznie nie chciało.

Ale ojciec kazał, matka prosiła i płakała...

Spuściła oczy, jak by je ukryć chciała.

— Zostaniesz w Krakowie? — spytała.

— Muszę — rzekł Grześ — powróciłem, jak wyszedłem, z sakwy próżnymi, pracować potrzeba, a między swymi lżej i ochotniej.

Oczy Leny podniosły się teraz i długo uparcie wlepione pozostały w Grzesiu. Zdawała się porównywać żywego z tym, który został w jej pamięci.

— Nie zapominajcież o nas — odezwała się spokojnie — gdyście, Bogu dzięki, wrócili.

Stara przyjaźń nie powinna umierać.

— Wdzięczność tym bardziej — przerwał Grześ. — U waszego progu pierwszy znalazłem chleba kawałek i miłosierną rękę.

Na tę rozmowę poczętą ledwie młody mąż Balcerówniej nadszedł, szukając jej niespokojny, wesołą twarzą witając wczorajszego gościa. Z drugiej strony przysunęła się matka, a tuż i niektórzy z gości, przypomniawszy śpiew Grzesia, targać go zaczęli, znowu się o pieśni dopominając.

Dlaczego Strzemińczyk znalazł się teraz usposobionym lepiej i prosić się nie dając wziął cytrę, sam on pono nie wiedział. Kołem otoczyli go wszyscy, cicho się w izbie zrobiło i miłosna pieśń stara niemiecka zabrzmiała. Grześ wprawdzie zdawał się na struny cytry patrzeć tylko, lecz ukradkiem wzrok jego biegał po izbie.

Smutek ranny, niepokój i zwątpienie, które go do celi Izajasza zawiodło, wszystko, co od niego słyszał, zapomniane zostało. Świat mu się wydał nie tak czarny, życie w nim nie tak utrapione, przyszłość nie tak groźna. Mógł z daleka patrzeć choć na cudze szczęście. Nie sami źli ludzie byli dokoła. Śpiew przynosił pociechę, a grzechem być nie mógł. Czemu nie miał pozostać takim śpiewakiem ptaszyną, co nucąc drugim i sobie żywot osładza?

W tych myślach dokończył piosenki i natychmiast drugą rozpoczął. Cały teraz był znów, jak nieraz w chwilach niedoli wędrownego życia, w pieśni, która go przenosiła jakby gdzie wyżej i dalej, a nie dała boleć nad tym, co było blisko.

Cudowna moc poezji i muzyki upajała jego samego powoli, a siła jej też ze śpiewaka promieniejąc, owładывała wszystkimi.

Kobiety miały na oczach łzy, mężczyźni dumali, wdychali starzy, rozmarzali się młodszy, on zapominał. Stąpano coraz ostrożniej, szeptano coraz ciszej i gdy on nareszcie zamilkł, długo jeszcze czekano, czy nie rozpocznie na nowo.

Wtem pani młoda, która z innymi razem zasłuchała się w pieśniach, jakby rozbudzona, poszła do stołu, nalała kubek i przyniosła zadumanemu śpiewakowi.

Grześ się porwał.

— Za zdrowie wasze, za szczęście! — zawołał głośno, ale ze drzeniem jakimś.

Obstąpili go wszyscy, rozmowa na chwilę przerwana stała się gwarną, a student korzystając z nowego napływu gości wysunął się do nowego swojego mieszkania.

W kilka dni potem był już obeznany ze wszystkimi i oswojony ze swym położeniem. Na tułactwie wiele rzeczy liznął i zakosztował, do wielu skarbnic zajrzał, nie miał czasu nigdzie czerpać do dna. Wszystkie strony słabe nauczania i nauki bystry wzrok jego pochwytał, a poważnych zaniedbał. Potrzeba było czas nie stracony, ale dopiero teraz mający się na korzyść obrócić, spożytkować, biorąc się do studiów gorliwie. Wiedział już Grześ, że łupin znajdzie wiele, że powłoki mu zaciężą, formy znużą, wywody zdadzą się niepożyteczne i długie, lecz rozumiał i to, że wykłady nie dla samych bystrych i pojętnych przeznaczone były, ale też dla nie rozbudzonych i leniwych, którzy nic o własnej sile nie mogli zdobyć, a wedle wyrażenia gminnego, wszystko im łopata w głowę kłaść było potrzeba.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszków, za protekcją kanonika Wacława, nietrudno mu było przyjętym zostać na słuchacza w kolegium mniejszym 86, które sam wybrał sobie.

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegia i Akademia rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy jeżeli głodem nie marli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom. W kolegium większym i najstarszym, na stół (*mensa vere philosophica*), którym się tylko filozofowie mogli zaspokajać, zbierano co tydzień grosz wdowi. Jadano razem i wesołość a chrześcijańska wstrzeźliwość stanowiły potraw ubogich przyprawę.

Mieszkali tu sami teologowie i filozofowie, a życie było istnie klasztorne i reguła surowa.

Kolegium mniejsze, w którym Grześ miał słuchać nauk, założone i wyposażone przez dobroczynnych ludzi, mieściło się w skromniejszym, drewnianym budynku, było uboższe jeszcze, ale życie w nim mnożyło się i rosło. Miłość nauki je ogrzewała i karmiła. Tu więcej i przeważniej zajmowano się poezją, retoryką, gramatyką. Wymowy profesorów płacił zapis Nowkona, astronoma Stobnera, a poetę Mężykowa, wojewodzina ruska. Inni profesorowie żyli prawdziwie laską Bożą i manną niebieską. Nikomu to wówczas nie zdawało się ani dziwnym, ani złym, ani uwłaczającym, owszem znajdowano, że zgodnie z powołaniem swym filozofowie i poeci, którym marność świata tego były obojętne, zatopieni w kontemplacji piękna i prawdy, łatwiej od innych bez chleba i dostatków obejść się mogli.

Było to logicznym, licowało z pojęciami wieku i nie od-stręczało wcale od nauki i poświęcenia się jej całkowitego.

Grześ nie potrzebował wkupiać się do gromadki studenckiej, która go znała i wiedziała, że wielokroć

wprzódki bea-nusa z niego otrząśnięto, rogi mu opiłowano, myto, golono i uczono partycypliów szczypaniem.

Tylko się bez uczy, propiny, nie obeszło, na którą Strze-mieńczyk zaprosił

współtowarzyszów i sam smutny dosyć, wesołością się ich cieszył. Położenie jego było zupełnie odrębne i wyjątkowe. Umiał więcej od wszystkich współucz-niów, a równo może z wielu

profesorami; nauka jego, pochwytna łatwo na rozdrożach, szerzej sięgała niż szczupłe zakresy programów ówczesnych, lecz jak w sakwach jego podróźnych leżał Wirgiliusz obok Stacjusza i Plaut z Gualterem de Vino Salvo, tak i w głowie młodej zapasy nie były uporządkowane.

Współuczniowie i profesorowie zarówno byli przybysza ciekawi, lecz Grześ w początku, z

wyjątkiem kanonika Waclawa, nie otwierał się nikomu. Chodził pilno do lektoriów, słuchał

uwaznie, a gdy stawało czasu, zbiegał i do kolegium większego, wciskając się między teologów, i do kolegium lekarskiego na ulicę Kanonną.

Z tego, co się w jego umyśle działo, z procesu ducha, który potrzebował owładnąć sobą i

przyjść do równowagi, nie spowiadał się nikomu.

Im więcej trapiły go wątpliwości, im mniej był zaspoko- jony pokarmem duchownym, jaki

mu z katedry podawano, tym uparciej milczał i z poszanowaniem przyjmował, co było na dziennym porządku.

W oczach jego tylko czasem bacniejszy postrzegacz mógłby był pochwycić coś jak ironię i zdumienie, jak rozczarowanie i czasem zwątpienie.

Niektórzy z nauczycieli, bystrzejsi, zdawali się przeczuwać w nim sceptycyzmi krytykę,

lecz nie wydał się przed nimi.

Składało się zresztą wszystko pomyślnie dla niego, nauka nie wymagała zbyt wiele czasu,

bo był do niej przygotowanym, resztę więc poświęcić mógł przepisywaniu, które się opłacało, a znużony grał i śpiewał, sobie lub drugim.

Śpiew był dla niego jakby napojem letejskim zapominał nucąc o tym, co mu ciążyło, w

świecie poezji chmury zwątpień znikwały przy jej słońcu.

Rozweselał się czasem aż do młodzieńczego szału, który trwał u niego niedługo. Jedno nic czyniło go poważnym i chłodnym.

Zapraszany do zamożnych mieszczańskich domów, ugaszczany dla głosu tego, ulubieniec kobiet, bo piękność jego zyskiwała mu serca równie jak talent, Grześ czasem dawał się wciągać między ludzi, a niekiedy zamykał i dziczył.

Pomimo zapraszań swej dawnej uczennicy Leny i jej męża, Strzemińczyk widocznie domu ich unikał i wyraźne chyba wezwanie na chwilę go tam sprowadzało.

W kilka miesięcy po przybyciu do Krakowa, dnia jednego wychodząc z kościoła, w którym na chórze śpiewał, spotkał Grześ u drzwi stojącą i jakby oczekującą na kogoś starą Balcerową. Byłby ją pomiął skłoniwszy się, bo mu pilno było, ale go sama zatrzymała.

— Patrzajcie niewdzięcznika — odezwała się do niego — żebyś to choć zajrzał do nas!

Grześ ruszył ramionami.

— Roboty mam siła — rzekł chłodno.

— Nie plótlbyś, kiedy wiem, że u innych gościsz, u Ke- czerów i Sówki godzinami siadujesz. Córka i zięć prosili cię, ja także i doprosić trudno. Masz co do nas?

— Uchowaj Boże! — zawołał Strzemińczyk zmieszany. — Byliście dla mnie jakby rodzice drudzy, sercem zachował wdzięczne.

— A okazać nam tego nie chcesz?

Grześ głowę spuścił. Przyparto go do ściany, zamyślił się i podniósłszy oczy śmiało spojrzął na Balcerowę.

— Byliście mi matką — rzekł poruszony — nic dla was tajnego mieć nie chcę. Nie przychodzę do was, aby sobie serca i Lenie nie rozraniać, albowiem nie wiecie, żem ją kochał i Kocham? Trudno miłość utaić, a ludzie są źli...

Balcerowa trochę się zmieszła.

— Kochaliście się dziećmi — rzekła powolnie i niewyraźnie — no, to cóż? Została przyjaźń. Lena za wami tęskni, ciągle was wygląda, przypomina i widzieć żąda. Bez złej myśli, jako przyjaciel i brat, czemu byście przyjść nie mogli?

Zatrzymała się trochę stara i dodała głosem cichszym jeszcze:

— Choruje, Bóg widzi, z tęsknoty za wami. Nie dziwaczkcie. Grześ jeszcze chciał coś mówić, ale stara go za rękę pochwyciła i dodała żywo:

— Przyjdźcie a prędko. Powinniście... I odwróciwszy się odeszła.

Grześ stał chwilę jak upojony i zebrawszy myśli nierychło, z głową zwieszoną do domu się powlókł.

Tego dnia jednak do Balcerów nie przyszedł. Nazajutrz w biały dzień, bo mu się to właściwszym zdało, zjawił się we dworku.

Zastał Lenę z matką, starego Balcera i męża nie było. Zobaczywszy go stara, aż do progu podeszła witać i usadowiwszy przy córce, sama z izby się wysunęła.

Z początku słowa do siebie przemówić nie mogli.

— Któraż was mieszcza oczarowała tak, że już o nas zapomnieliście? — odezwała się Lena.

— Bóg widzi, zem na te czary zbrojny i przystępu one do mnie nie mają — odparł Grześ. —

Albo w kolegium siedzę, lub w domu, rzadko mnie wyciągną z niego. Lena poczęła mu patrzeć w oczy.

— Czy dlatego, zem za mąż poszła — dodała — nie chcecie mnie znać? Ależ was pięć lat nie było i o was ani słuchu, ojciec naglił, matka prosiła, opierałam się długo. Wreściem musiała dla nich do ołtarza iść.

— Albożem ja mógł mieć jaką nadzieję? — przerwał Grześ smutnie. — Dlatego właśnie zeszedł wam z oczów, że jej nie miałem. Chcę widzieć was szczęśliwą i dlatego smutnej twarzy mojej tu nie przynoszę.

— Och — zawołała Lena — a ona przecie jedna rozweselić by mnie mogła! Dopóki was tu nie było, choć tęskniłam, alem znosiła lżej samotność, teraz, gdy o was wiem, słyszę, tom zazdrosna. Jam przy was wzrosła i żyć poczęła.

Głos jej drżał.

— Szczęśliwe to były czasy — rzekł student — a co dawniej było wolno, dziś wzbronione.

— Nie chcę o tym wiedzieć — przerwała kobieta gorąco. — Jakośmy byli, tak być

powinniśmy! Chcecie chyba, abym wam w oczach zmariała?

— A Frączek co powie? — zagadnął Grześ.

— Praczek — z lekceważeniem dodała Lena — to tylko powiedzieć może, co ja mu

pozwolę! Ani się go boję, ani się przed nim kryć myślę. Wie on dobrze, żeśmy przyjaciółmi byli, i musi was za mego przyjaciela przyjąć! Ja was widywać chcę i przychodzić musicie do mnie!

Rozkaz był stanowczy.

— A ludzie? — szepnął Grześ.

— Co mi do ludzi, a im do nas! — odparła Lena. Nadeszła na to Balcerowa na misce niosąc

wino i owoce, aby gościa jak najdłużej zatrzymała. Pod ręką trzymała cytrę, która też miała swe znaczenie.

— No, proszę dobrej myśli być, abyście mi Lenę rozweselili — rzekła. — Pij, zakasuj i

śpiewaj. Będziemy was we dwie słuchały.

Strzemieńczyk dłużej już nie walczył z sobą i nie opierał się. W istocie myśl dobra przyszła i śmiech na usta, proszony czy dobrowolny, poznać było trudno. Lenie też twarzyczka się zmieniła, pojaśniały oczy, zarumieniło lice, dziewczęcy humor, dawno nie widziany, powrócił. Z tej zmiany Balcerowa tak się czuła szczęśliwą, tak wdzięczną, że po pierwszej piosence pocałowała w czoło zawstydzonego Grzesia, a potem córkę.

Zapomniała o wszystkim zobaczywszy ją na chwilę szczęśliwą, odmłodzoną, taką, jaką od dawna nie była.

Od tego dnia Strzemieńczyk się nie mógł już obronić zaproszeniom do Balcerów i w końcu

się im nie opierał. Przychodziła po niego Balcerowa, czasem otyły kupiec przez nią wysłany, a nawet Frączek, który najnatarczywiej właśnie nalegał i tak był zawsze wesół, a wcale niezazdrosny, iż Grzesia zupełnie ośmielił.

Młode mieszczyki wprawdzie mówiły o tym dużo, śmiano się z Frączka, szeptano i

zazdroszczono Lenie śpiewaka, ale głośniejszy nikt nie ośmielił się złego rzec słowa.

Obyczaje tamtych czasów, wiele swobodniejsze, dopuszczały w stosunkach poufałości

większych, nie biorąc ich za złe. Grześ zresztą, jako śpiewak wszędzie chwytany i pożądany, miłością muzyki się tłumaczył. Ciągnęli go i panowie, i duchowni do chóru, a nawet na dwór królewski go ściągano.

Wśród współuczniów i w kolegium swym Strzemińczyk, jakeśmy mówili, stanowisko

sobie zdobył odrębne. Jeżeli spór i trudność jaka zachodziła, o których rozstrzygać było potrzeba, rzadko się obeszło, aby go starsi nie zapytali o zdanie. Grześ wstrzymywał się od zbyt rzeźkiego sądu, starał się pojednawczo występować, chociaż ludzie o ironię go posądzali.

Usta mu się czasem ściągają jakby do śmiechu, który hamował.

W wielu przedmiotach nieuka udawał, ażeby sporu uniknąć.

Po dwu leciech już mu bakalaureat przepowiadano rychły, ale on zdobyć go nie spieszył.

Postarzały ks. Wacław zajmował się nim szczególnie i ciągle nakłaniał, aby kleszą suknią, którą już nosić musiał jako student, na duchowną zamienił.

— Nie naglijcie, ojciec — odpowiadał Grześ. — Sam ja wiem i czuję, że ją wdziąć muszę,

ale zawczasu nie chcę, aby mi młodych ramion nie paliła. Bakalarstwa też dobijać się nie spieszę, dopóki nie zbadam wszystkiego, nie wysłucham do końca i nie uzbroję się w męstwo wielkie.

Kanonik patrzył ciekawie, niespełna rozumiejąc.

— Od wielu bakałarzy i mistrzów umiesz więcej — rzekł — a zdaje się, jak byś z nauką tań

się i zaczynał. Przecz to czynisz?

— Boć i obóz, do którego żołnierz się wpisuje — rzekł Grześ śmiejąc — i nieprzyjaciela, z którym się walczyć ma, dobrze poznać trzeba, nim się wyda wojna.

— Wojna? Komu? — zapytał ks. Wacław. Strzemińczyk się zawahał.

— Kto wie, z kim wojować przyjdzie. Może właśnie z tymi, których ręce żywiły i którym

wdzięczność należy.

— Nie rozumiem — odparł staruszek.

— Wszak ci — dodał Grześ — bakalarstwo jest ślubem i przysięgą prawdzie, której sprawy

bronić przeciw wszystkim obowiązkiem. Kogo tym laurem uświęcą, ten jak rycerz prawdzie służyć musi, choćby przeciw rodzonemu.

— Nie rozumiem! — powtórzył kanonik. — Sąż między nami prawdy nieprzyjaciele?

Uśmiechnął się Grześ.

— Są może tacy, co sądząc, że jej służą, męczą ją i katują! — zawołał. — Sądzicie, ojciec, że nauczanie u nas takim jest, jak by być powinno? Że ci, co oczy otwierają drugim, sami widzą?

Że nic nie trzeba naprawiać, nic burzyć i z żadną nieświadomością a przesądem walczyć?

Staruszek podniósł głowę i widać było, że się uląkł.

— A któż mówi ci, że ty jeden widzisz od wszystkich lepiej i że burząc, z gruzów potrafisz odbudować gmach nowy? Pomnij na to, że pod dziurawym dachem lepiej czasu słoty mieszkać, niż nie mieć żadnego. Cóż, gdy przed burzą dom wywrócisz?

Grześ stał zadumany gryząc usta.

— Dlatego też sięgnąć po bakalarstwo nie spieszę, ojciec mój. Mylić się mogę, zataić w sobie wątpliwość sumienie nie dozwala. Naówczas walka rozpoczęta posłuży na to, aby prawda zwyciężyła. Unikać jej grzechem by było.

Ks. Wacław zamilkł zwieszając głowę na piersi.

— Czyń więc — rzekł — jako cię natchnie duch Boży, a com naglił do pośpiechu, mówię ci teraz, rozmyślaj i rozważ, nim rozpoczniesz bój, bo w gmachy światła i pokoju wnieść pochodnię wojny odpowiedzialność wielka.

Grześ w rękę go, pochyliwszy się, pocałował i zamilkł, tak jak był zwykł dotąd milczeć wyzywany, aby myśli swych nie zdradzić.

I stał znowu posępny a uważny na każde słowo w lektoriach i gorliwiej niż kiedy uczęszczał na wykłady, a pytany odpowiadał chłodno i niejasno, jak by siebie niepewnym był.

— Zagadkowy człowiek! — mówili starzy profesorowie.

VI

Tak biegły lata, nadszedł wreszcie r. 1433, który w życiu Strzemieńczyka miał być tą chwilą przełomu, co jedną epokę zamyka, a drugą otwiera.

Sięgnął po dawno mu należny laur akademicki, po który schylić się tylko potrzebował.

Wszyscy wiedzieli, że otrzymać go był godnym, a jednak dysputa stanowcza, w której pokonał wszystkich swych przeciwników, napełniła ich zdumieniem, wprawiła niemal w osłupienie.

Młodzieniec ten milczący, pokorny, skromny, nagle zmienił się im w oczach w zuchwałego, wymównego, pewnego siły swej człowieka.

Przy rozprawach okazał taką umysłu dojrzałość, uczoność i samoistność przekonań, tak

nowe i śmiało rzucał zdania, że ludzie trwożliwych, szanujących tradycje, napełnił niewymowną trwogą.

Wybuchło to nagle jak lawa z wulkanu, która się w łonie jego od dawna zbierała.

Spodziewano się zawsze po nim wiele, ale nie tego nowatora, jakim się im teraz objawił.

Od lat dwóch pozyskał już był sobie sławę z pracowitości i erudycji, był wyrocznią w

kwestiach piśmiennictwa starożytnego, lecz nie wynosił się z tego i pytany odpowiadał treściwie i skromnie.

Wiedziano, że wiersz łaciński płynął mu spod pióra, jak by go nic nie kosztował, że

wyzwany mówił wytwornie i z łatwością, a pisarzy łacińskich nie tylko znał dobrze, ale ich prawie na pamięć umiał wszystkich.

Trafiało się dawniej, że wstrzemięźliwy w mowie i skromny, czasem jakby mimo woli

strzelił sarkazmem, rzucił słowo obosieczne, dowcipnym sądem rozstrzygnął zawile zadanie, ale natychmiast hamował się i w ostrożnym zamykał milczeniu.

Nikt wielkiej myśli nie umiał jak on w krótkich pomieścić wyrazach. Słowa jego były jak cięcia szabli, ostre i zabijające.

Ale dotąd nie szafował nimi.

Starsi, chociaż był dla nich z poszanowaniem, przeczuwali w nim wroga i patrzali nań z obawą, która się teraz usprawiedliwiła.

Laur akademicki uczynił go nowym człowiekiem, spadły zasłony, odkrył się cały, jakim był.

Wyglądał jak wyzwoleniec rzymski, gdy z niego zrzucono kajdany.

Wzrok, postawa, mowa, wszystko w nim było odmienne. Wczoraj jeszcze nieśmiały i

zamknięty w sobie, pokornie sądzący *in verba magistri* teraz z dziwną stanowczością mówił z siebie nie oglądając się na nic.

Zwykła wesoła biesiada, na którą młody bakałarz mistrzów swych zaprosił, dała miarę tego, czym być miał nowy profesor poetyki w kolegium mniejszym.

Przy miodzie i winie, które starym kolegiatom usta otworzyły, rozmowa wszczęła się żywą i poufną.

Spodziewano się, że wedle modły przyjętej wyklądać będzie jednego z tych poetów, którzy

w średnich wiekach niezasłużoną wziętość mieli, Statiusa lub Alana *De planctu na-turae*, opierając się na silnej podstawie gramatyki Aleksandra i Priscjana.

Na wspomnienie o gramatyce zaczął się Grześ uśmiechać.

— Nie godzi się nią pogardzać — odezwał się wesoło — ma i ona swą wagę a dobrą stronę, ale nią samą nauki języka ograniczać nie można. Co byśmy powiedzieli o człowieku, który bramę do miasta mając otwartą, drapałby się do niego przez mur wysoki? Zaprawdę gramatyka tym murem bywa, gdy poeci i pisarze są drzwiami. Przez nich do wnętrza mowy wnijść łatwiej.

Starzy pedagogowie spoglądali po sobie. Strzemińczyk mówił dalej:

— Z poetów też wybierać potrzeba takich, co w czasach, gdy naród żył, śpiewali, a nie pogrobowych lub tych, co łaciny się uczyli, gdy Latium i Romy nie stało.

— Więc kogo? — spytał nieco obrażony stary profesor, który słuchając usta wydymał.

— Niech na to odpowiedzą dzieje, nie ja — odezwał się Grześ. — Złotego wieku Augusta

poeci są najpiękniejszą literatury ozdobą, dalej, gdy państwo za cesarów pod ich purpurą krwawą chyli się do upadku, z obyczajami język się psuje. Jak w chorym człowieku ciało się wydyma, żółknie i marszczy, tak w chorym narodzie mowa się staje zgrzybiałą.

Potrząsano głowami, ale nikt zaprzeczać nie śmiał.

— Pytam — odezwał się po chwili stary — kogóż weźmiesz do wykładu?

Grześ milczał trochę, jak by nie namyślał się, ale ciekawość chciał tym większą rozbudzić.

Oglądał się i uśmiechał.

— Jak myślicie? — zapytał.

— Widzimy już — wtrącił drugi z panów kolegiat — że was, mości Grzegorzu, odgadnąć trudno. Pragniecie nowości i one wam smakują.

— Zaprawdę, pragnę ich tak jak nowych butów, gdy stare chodaki nogi cisnęły i podarły się na nich — odparł Strzemińczyk — nowość ma to do siebie, że umysły rozbudza i nęci. I to coś warto. Cóż dopiero, gdy jest prawdziwie piękną i pociągającą? Możeż piękniejszym językiem, wierszem dźwięczniejszym pisać kto, a raczej śpiewać, nad czarodzieja Wergila?

Szmer powitał to imię znane, lecz w szkołach nie upowszechnione. Nie czytano w nich ani

Sielanek, ni *Georgik*, ani się wazono pokusić o *Eneidę*.

Starsi ramionami ruszali. Czytać Wergila, była to niesłychana zuchwałość. Nowy bakałarz miał się li naprawdę porwać na tego poetę? Nie dowierzano.

Starym wygodniej było powtarzać to, co słyszeli, nie łamać sobie głowy nad trudnościami nowego wykładu.

— Od *Eklog* rozpocznę — odezwał się Grześ śmiało. — *Eklogi* i *Georgiki* w kraju rolniczym jak nasz łatwe będą do pojęcia i umiłowania. U nas też wieś i rola życie stanowią. Przez poezję tę trafię do gramatyki i obojga zrozumienie ułatwię.

W pierwszej chwili, przy biesiadzie, wzięto oświadczenie za przechwałkę. Za plecami Grzesia starsi ramionami ruszając wiary nie dawali jego obietnicom.

Lecz nie w tym jednym przedmiocie czasu pamiętnej wesołej biesiady Strzemińczyk zdumiał zuchwalstwem swym siwowłosych mistrzów.

Pomimo lat wielu nauki, które go ukołysać i obuzdać były powinny, świeżo uwieńczony bakałarz zdawał się młodo i nazbyt gorąco zapatrywać na wszystko, za mało okazywać poszanowania dla tych zasad i pewników, które miano za niewzruszone.

Wszczęła się u drugiego stoła dysputa filozoficzna, w której dwaj przeciwnicy zapuściwszy się w scholastyczne formuły poczęli sobie docinać boleśnie.

Szło o dystynkcje tak subtelne, o definicje tak wyrafinowane, o jakąś naturę, istotę, byt schwycone w chmurach, nie w rzeczywistości, że spór rozstrzygniętym być nie mógł, bo był

logomachią, któremu brakło rzeczywistej faktów podstawy.

Zamilkli wszyscy, podziwiając nieporównaną dialektykę dwóch filozofów teologów.

Grześ także słuchał, ale z szyderskim na ustach uśmiechem, jak by tę niezwykłej wagi kwestię miał za spór *de lana caprina*.

Nie śmiał głośno wyrazić zdania swojego o przedmiocie, dla którego samo nieposzanowanie mogło być za herezją poczytanym, ale twarz i rysy jego zdradzały, że mu się śmiać chciało.

Stojący przy nim młodzian trącił go, ciekaw będąc, czyją weźmie stronę. Zapytał go o to.

Grześ ramionami poruszył, schylił mu się do ucha i szepnął po łacinie:

— *Vigilantium somnia!* Sny na jawie! Omackiem szukają prawdy — dodał. — W tych

subtelnych myśli wywodach, jak pajęczyna cienkich i kruchych, nie ma nic, tylko to, co z siebie owe uczone pająki wysnuły. Nie patrzą oni na człowieka, ani na naturę, roją i marzą. Naukę ja inaczej rozumiem, potrzebuje ona podstawy doświadczeń i zbierania ich. Dopiero gdy ludzie nagromadzą dosyć danych, coś z nich na pożywienie wyciągnąć będzie można. Wiemyż my co?

Zdobyliśmy sami choćby ziarnko? Nawet z tych spichlerzów starych, które Grecy i Rzymianie nasypywali, myśmy zapasu gotowego nie wyczerpali. Bawim się, nie uczymy!

Młody słuchacz, może niedobrze rozumiejąc całe uchwalstwo tych twierdzeń, na ów czas zbyt śmiały, milczał niemal osłupiony.

— Czegóż i jak uczyć się waszym zdaniem potrzeba? — spytał nieśmiało

— Wszystkiego, co nas otacza — rzekł Grześ. — Żyjemy zamknięci w świecie bajecznym,

któryśmy sami stworzyli sobie, gardząc naturą i tym, co ona by nam łatwo dać mogła. Od mrówki do wielbłąda, wszystko to są przedmioty dla nauki. A i ten świat starożytny, co nas poprzedził, przysypany gruzami, które by odgarnąć potrzeba.

Wszystko, co dnia tego mówił bakałarz młody, tak nie licowało z tym, co zwykle było w

obiegu, iż po części na upojenie przy biesiadzie dziwne jego zdania składano, a niektórzy brali je za trefne żarty.

Jeden ze starszych mistrzów, który mistrza Wincentego (Kadłubka) czytał, począł się

rozwódzić nad pięknnością tej kroniki, błogosławionego i świętobliwego męża skreślonej ręką.

— Mąż świętobliwym był i przed jego pokorą zakonną a cnotą uchylić potrzeba czoło —

odezwał się Grześ — ale kronika, widzi mi się, do wykładu w szkołach nie bardzo się nadała.

Zmarszczyły się czoła, podniosły ręce. Napaść ta na czczonemu mistrza wydała się

targnięciem na sławę narodu i niemal zbrodnią.

— Łacina w kronice — rzekł Grześ — wzorową nie jest, styl napuszony, retoryka to nie

dzieje. Gorzej zaś nad to, że ucząc historii tej, bajek uczymy, które jawnie są zmyśleniem, bo rachuby czasu łamią. „To, co mistrz Wincenty w historii swej pisze o początkach narodu naszego, nie tylko bajecznym jest, ale poczwarnym. Wywodzi starożytne pochodzenie nasze od potopu, mieni nas być Scytami, którym Aleksander Wielki wojnę wydawał, a rzymskiego Grakcha chce mieć u nas grodu założycielem, marząc o powinowactwie z ubóstwionym Juliuszem, co ani z miejscem, ani z czasami, ani z rzeczami dokonany przez Rzymian i Aleksandra się nie godzi, a podobniejsze do babskich

bajek przy kądzieli..."

Poruszył ramionami.

Nastało milczenie groźne niemal. Sam bakałarz zmiarkował, że na początek zaszedł za daleko.

Staruszek ks. Wacław, tuż siedzący, podniósł głowę sędziwą.

— Wszystko to dobre jako igraszka — rzekł — lecz sądząc zbyt surowo, na wiele się oglądać należy. Nauczywszy się obalać i burzyć, przeczyć i negować, dojdziemy do tego, że będzie *tabula rasa*, nie pozostanie nic, oprócz uczucia nieświadomości i nicestwa.

— Młodym jesteś — dodał. — Nauki te, których treść ci się zdaje ułomną i jest nią może, są to przecie narzędzia, które umysły rozwijają, są to bodźce, co dają życie. A nauczy się kto bajki, jeśli razem posiadzie rozum i bystrość, z fałszu się łatwo otrzęsie.

Grześ nic nie odpowiedział. Starsi mistrzowie głośno ks. Wacławowi potakiwali. Jemu żal się zrobiło młodzieńca i wnet się poprawił.

— Rad bym od niepomiernego burzenia was powstrzymać — rzekł — ale tej żywości umysłu, jakiej dajecie dowody, nie powściągać. Chwalebna to kusić się o zdobycie prawdy, jak Tytani do niebios szturmowali, więc — tu podniósł kielich w górę — naszego Tytana prze zdrowie, a niech go Jowiszowe głązy nie strąca z wyżyny i nie biją.

Starsi radzi z tego pojednawczego głosu zwrócili się też ku bakałarzowi, który kłaniał się i dziękował, a ks. Wacława uścisnął.

Postarali się potem niektórzy biesiadnicy, aby rozmowa na te cierniami najeżone manowce nie zesłała powtórnie. Ten i ów wesołym żartem starał się dać jej obrót nowy, zawołano o pieśni, przyniesiono cytrę laureatowi, który ją wziął do ręki i przywiezione z Niemiec zanucił, nie znane tu jeszcze

Gaudeamus igitur...

Starsi słuchali tylko z uśmiechem na ustach. Była to pieśń młodości, która im stare dzieje, dawne czasy przypominać mogła. Po niej inne pieśni łacińskie się ozwały i wieczór skończył się w pokoju, zgodzie, chociaż odchodzący do domu kolegiaci wynieśli z niego przeczucie trosk, na jakie Strze-mieńczyk miał ich narazić.

Nigdy i nigdzie bez boleści nic nowego na świat nie przychodzi. Tu się zapowiadały drogi nowe, ruch i życie, którym staruszkom wydołać było trudno.

Pocieszano się tym, że co *inter pocula* młodzian wygłaszał, tego uspokojony, ochłoniwszy, do skutku nie przyprowadzi.

Stało się inaczej. Grześ spytany nazajutrz, czy w istocie *Eklogi* Wirgiliusza czytać zamierzał, potwierdził to, oświadczając, iż od nich rozpocznie.

Wiść o tym fakcie rozbiegła się nie tylko po uczęszczających do kolegium mniejszego,

zanesiono ją na ulicę Św. Anny, do kolegium nowego, prawniczego, a nawet lekarskiego. Imię łacińskiego poety nie było nikomu obcym, bo w średnich wiekach używało ono sławy wielkiej, nikt jednak go nie czytał i nie wykładał.

Zapowiedź była nowością ponętą, a że literatura łacińska naówczas była jedyną

europęjską, na to nazwanie zasługującą, chociaż z niej już wykluwały się inne, Wirgili w kolegium obudzał takie zajęcie, że ktokolwiek się poezją i literaturą zajmował, do wykształcenia rościł prawo, świeccy, duchowni, starzy, młodzi, wszyscy chcieli posłuchać tego wykładu pierwszego tu, niebywałego, nowością swą pociągającego.

Imię Grzegorza Strzemińczyka lub, jak go tu poufałej zwano, Grzegorza z Sanoka,

znalazło się na wszystkich ustach.

W ulicy spotykający się z sobą zapytywali:

— Kiedyż ten Wirgili zawita do nas? Gdzie? W kolegium mniejszym! Szkoda. Lektoria szczupłe, powinni by mu w większym kolegium salę *maioris* wyznaczyć!

— Zbiegowisko będzie wielkie, mało kogo zabraknie z tych, co tyle obiecującego młodzieńca radzi posłuchać. Dostojnicy miejsca zajmą, a inni za drzwiami zostaną.

W istocie wybierali się, kto żył, na to czytanie. Mogło to pochlebiać bakałarzowi, mógł

sobie życzyć popisu przed słuchaczami dostojnymi, a jednak skromnie się tak znalazł, iż o dniu nie głosząc, niespodzianie przed samymi studentami *Sielanki* Wirgilego czytać zaczął.

Po czasie już dowiedzieli się ciekawsi i sala szczupła napełniła się tak, że w końcu godziny dla nikogo więcej miejsca nie było.

Znaleźli się i starzy profesorowie, których zarówno ciekawość wiodła, jak nadzieja może, iż nowemu przedmiotowi niewprawy nauczyciel nie podoła.

Ale Grześ wystąpił z takim spokojem, a czytał z taką jasnością i talentem nauczania, iż

najmniej usposobieni z młodzieży rozumieli go doskonale,

Przy tym sam ów przedmiot tak świeży, tak poezją wsi, pól, lasów i pasterskiego życia

tchnący, przemawiał stokroć więcej do umysłów, do serc, niż napuszone deklamacje, niż przesadne pochwały Stacjusza, niż wszystko to, czym młódź dotąd karmiono.

Z Wirgilim powiał jakby ożywczy oddech wiosny na szkołę. Wleciała do niej ze złotymi

skrzydły poezja, wykwintna, strojna, wonna, trochę zalotnie utrefiona, lecz z piersią młodą, w której serce biło. Nie dziw też, że serca młode odpowiedziały jej współczuciem gorącym.

Nie było po odczycie jednego głosu, który by laureatowi szczędził pochwał i zaprzeczył nadzwyczajnych zdolności. Zazdrosnym zamknął usta.

Pierwsza ta lekcja poruszyła bardziej jeszcze ciekawość wszystkich. Mówiono o niej

wszędzie, u biskupa Zbyszka, na zamku u królowej, po pańskich dworach, po mieszczańskich domach, w celach zakonnych.

Kto tylko mógł, obiecywał sobie iść słuchać nagle sławnym już będącego Grzegorza z Sanoka.

Ci, co go nie znali wcale i nie słyszeli o nim, dopytywali ciekawie, co by za jeden był, skąd się wziął i jakiego był wieku. Nauczyciel budził zajęcie człowiekiem. Opowiadano, że chłopię ubogie, dziecię szlacheckie, zbiegło przed laty z miłości dla nauki z rodzicielskiego domu, tułało się po świecie i nadzwyczajnym obdarzone geniuszem o własnej sile zdobyło naukę zdumiewającą.

Wielu podobała się odwaga młodzieńca torującego drogi nowe, inni wątpliwie potrząsali głowami.

Na drugi odczyt zawczasu zgromadziło się tyle duchowieństwa, starszyny, ciekawych, że dla uczniów prawie miejsca nie stało.

I tym razem powszechny aplauz i pozyskał sobie bakałarz młody, a po lekcji zbliżył się doń dostojny kanclerz Akademii, opiekun, jej głowa, biskup Zbyszek, który był tu drugim królem, w kilku słowach uprzejmych winszując laureatowi powodzenia i zachęcając go do pracy.

Nierychło ruch ten i gorączkowe zaprzątnienie Wirgilim nieco się uspokajać zaczęło.

Słuchaczów nie brakło nigdy, bo i młódź cała napływała z wielką żądzą i miłością dla nauczyciela.

Wykład, jego nie był tak suchym i zimnym jak innych pedagogów. Z uśmiechem na

ustach, z tą swobodą, jaką mu ovladanie przedmiotem dawało, bez książki w ręku, z pamięci mówił

bakałarz, a przywodził i cytował dla porównania poetów innych, nie potrzebując do nich zaglądać.

Czasami żart jakiś wtrącił, porównanie rubaszne, które przedmiot najlepiej objaśnić mogło, naówczas oczy młodzieży pobłyskiwały, usta się otwierały i igraszka ta wrazała się w pamięć silniej niż poważne słowo.

Trzydziestokilkoletni już nasz Grzegorz, pomimo wieku, zachował całą świeżość młodości.

Nie zbywało mu na powadze w potrzebie, lecz się w nią nie lubił przyodziewać. Czuć w nim było zawsze obok uczonego — cytarzystę i śpiewaka.

Trwoga, która w początkach opanowała była starszyznę, obawiającą się zbytniego

nowatorstwa i nadto zuchwałych wystąpień młodzika, ustąpiła wkrótce, gdy się przekonano, jak we wszystkim miarą umiał zachować. Cieszyło się nim szczególnie kolegium mniejsze, któremu dodał

blasku, zazdrościli kolegiaci królewscy.

Razem z tym zaczęły się znowu odzywać głosy, wyzywające Strzemieńczyka do obrania

nareszcie tego stanu duchownego, któremu był przeznaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż pod sutanną skończyć musiał. Tymczasem nosił wprawdzie strój kleryków, jak wszyscy profesorowie i uczniowie, ale do święceń się nie kwapił.

Nie odpowiadał nawet, gdy go zagadywano, i milczeniem zbywał.

Z miasta przeniósł się teraz bakałarz nowy na mieszkanie wspólne do kolegium mniejszego

i zajął u stołu ostatnie miejsce, bo te po starszeństwie dawano.

Życie to niemal klasztorne, do którego wszyscy byli obowiązani, podlegało pewnym

prawidłom, urządzone było wedle godzin i odjęło Grzesiowi część dawnej jego swobody. Miało zarazem korzyści, bo zbliżało go do starszych i nastęrczało wymianę myśli, które, choć często na polemikę narażały, nie dawały zgnuśnić i usnąć.

W godzinach wolnych młody bakałarz nie mógł już teraz zajmować się przepisywaniem,

które lubił, zarzucano go bowiem robotami. Musiał pisać nagrobki i wiersze pochwalne wszystkim zmarłym znakomitościom, a niejedna redakcja dokumentu w sprawach publicznych o niego się oparła.

Gdy szło o piękną i poprawną łacinę, Grzegorz z Sanoka uchodził tu za najbieglejszego znawcę.

Posyłał mu z kancelarii akta biskup Zbyszek, radzili się inni. Wiersz szczególnie był jego największą

chlubą.

Wśród tych zaprzątnień, które mu przyszłość zapewniały, a sławę roznosiły coraz szerzej, Grześ po staremu wiernym został przyjaźni dla Balcerów.

Był tu, jak niegdyś dawniej, niby we własnym domu. Nigdy poczciwy Fraczek nie zmarszczył się zastając go przy żonie, a starzy Balcerowie jak rodzone dziecko kochali.

I Lena teraz uzdrowiona, spokojna, pewna, że przyjaciel młodości nie opuści jej, zdawała się szczęśliwą.

Równie nad mężem i nad bakałarzem panowała, a prawdę rzekłszy władała wszystkim i

wszystkimi w domu. Obcowanie z człowiekiem takim jak Strzemińczyk starczyło jej za naukę i książki. Uczyła się przy nim, oswajała z wielą przedmiotami innym kobietom obcymi i rozwijała w oczach na niewiastę męskiego umysłu i charakteru.

Ludzie, którzy przeciwko temu dziwnemu stosunkowi zamężnej niewiasty do młodego

nauczyciela sykali w początku, w końcu widząc, że jawnym był, nikogo nie gorszył, a Frączka wcale nie jątrzył, przyjęli go jako naturalny i godziwy.

Znajdowano go w domu Balcerów zastępującego niemal miejsce gospodarza i nikt się już temu nie dziwił.

Lena Frączkowa nie dopuszczała też, aby jej posądzaniem uwłaczano, niewiasta była jak rozumna i zręczna, tak dumna i wyniosłego umysłu. Nikt nie śmiał ją słowem dwuznacznym zadrasnąć, wiedząc, że za nie z nawiązką zapłacić potrafi.

W dworku Balcerów powodzenie, sława i triumfy Grzesia tak były witane radośnie, jak by

domowi zaszczyt czyniły. Chlubiła się tym przyjacielem Lena, miała go na ustach ciągle, ale też i rządziła nim despotycznie. Służyć jej musiał, jak kazała, na skinienie spełniać, co pożądała, i nieraz najpilniejszą pracę rzucić, gdy się jej podobało powołać go do siebie. Przeniesienie się do kolegium nie zmieniło tych poufanych stosunków. Co dzień musiał się Grześ stawić u Balcerów, często stół

wspólny zaniedbać, a niekiedy z chłopcem i latarką późno powracać, gdy się jejmości zatrzymać go podobało.

Umysłu w innych rzeczach niepodległego, Grześ w sprawach powszednich ulegał

niewieście, która nim jak dzieckiem rządziła. Piękna niegdyś, gdy dzieckiem była, pani Frączkowa po pójściu za mąż dopiero rozkwitła znowu w pełni wdzięku i słynęła w Krakowie jako z niewiast

najpiękniejsza. Coś dziewiczego w niej pozostało, ale zarazem powagą okrytego i zmuszającego ludzi do poszanowania. Przewaga, jaką miała nad umysłem Grzesia, tak była wielką, iż w największych i najmniejszych sprawach bez jej rady nic nie czynił.

Nie zadziwiła się więc, gdy jednego ranka wcześniej nadszedł niż zwykle i od progu począł się tłumaczyć, że ważna sprowadza go okoliczność.

— Zaprawdę — uśmiechnęła się wstając na powitanie Fraczkowa — czy o nowej sutannie myślicie i chcecie, abym wam wybrała flamskie sukno, albo o płaszczu?

Strzemińczyk zbyt był przejęty tym, z czym przychodził, aby żart mu smakował, namarszczył się.

— A, gosposiu moja — zawołał — idzie o daleko ważniejszą sprawę i gdybyś umiała po łacinie, powiedziałbym ci *paulo maiora canamus* .

— Powiedźcie mi to lepiej po polsku — odparła, wielkie swe oczy wlepiając w niego Lena.

— Cóż to tam takiego? Wyście zazwyczaj spokojni, widzę, poruszonym.

— Posłuchajcież — rzekł Grzegorz. — Już z mego stroju możecie wnieść, że gdym go w powszedni dzień włożył, to nie bez słusznej potrzeby.

— Widzę, suknia nowa — zawołała gosposia — trzewiki nowe, pan mój się wystroił jak na święto.

Grześ potarł się dłonią po czole.

— Nie wiem, co to znaczyć ma, dworzanin wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa przybył do mnie dziś rano, zapraszając w imieniu pana, abym go odwiedził w ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie. Ja sprawy ani z wojewodą, ani u wojewody żadnej nie mam. Akademia zostaje pod zwierzchnością ks. biskupa Zbyszka. Niepokój mnie ogarnął.

Lena głową potrząsała.

— Ja, równie jak wy, tego wezwania nie rozumiem — rzekła — ale nie widzę przyczyny, dlaczego by ono was niepokoić miało.

Pomyślała chwilę, palce do ust przyłożywszy, a oczy wlepiając w ziemię.

— Samiście mi mówili, że często was o napisy łacińskie i różne podobne roboty napastują.

Nic innego być nie może nad coś podobnego. Wojewoda pan możny, więc się to wam opłaci.

— Ale po cóż by mnie wzywał osobiście, gdyby szło tylko

O napis, który lada dworzanin mógł zamówić u mnie — rzekł Strzemieńczyk.

— Idźcie do niego, a wszystko się to wyjaśni — przerwała Lena.

— Mamli iść? — zapytał bakałarz. — Sługą pana wojewody nie jestem, ani mnie jak pachołka do siebie godziło się pozywać.

Z dumą szlachecką podniósł głowę Grześ. Lena poruszyła ramionami.

— Stary i poważny pan, senator, tyś młody — rzekła — nie ma obrazy w tym, jeżeli przez dworzanina grzecznie zaprosił. Idźcie!

Namyślał się jeszcze, gdy położywszy mu rękę na ramieniu piękna Lena popchnęła go z lekka ku drzwiom.

— Pycha nie w miejscu — szepnęła — idź, a z powrotem czekam na wyjaśnienie, bo chcę wiedzieć, jaką miał pan wojewoda sprawę do pana bakałarza.

Jak gdyby na jej rozstrzygnięcie czekał tylko, Strzemieńczyk nie wahając się już i sam pomiarkowawszy, że w istocie pycha chudemu pachołkowi nie przystała, szybkim krokiem poszedł do dworu wojewodzińskiego przy zamku stojącego.

Po panu krakowskim, wojewoda był tu najznaczniejszym dostojnikiem i miał władzę największą.

Lecz gdyby nawet Jan z Tarnowa nie zajmował tego stanowiska, samo jego imię, stosunki, zamożność, powaga wielka i osobiste przymioty dawałyby mu znaczenie wielkie.

Był to mąż w latach już podeszłych, lecz krzepki ciałem i umysłem, nieskwapliwy do

mówienia i szermowania słowy, ale gdy raz otworzył usta, nie oglądający się na żadne względy i rąbiący prawdę każdemu, choćby najwyżej po- żonemu. Mawiał ją tak nieraz samemu królowi i gdzie potrzeba było wystąpienia śmiałego, jego naprzód popychano, bo się nie uląkł niczego. Wiek dawał mu zimną krew i panowanie nad sobą. Nie zalecał się świetną wymową ani kunsztem

oratorskim, ale jasnością i wyrazistością słowa. Gdy drudzy już, w szkole ówczesnej wyćwiczeni, zręcznie umieli zawikłać myśl i sztucznie ją tak przedstawiać, aby silniejsze czyniła wrażenie, Tarnowski znajdował to niemęskim i nierycerskim, wyrażał się rubasznie, silnie a krótko.

Cechowało go to w radzie i w domu, że długo milczał, ale gdy się odezwał, zamykał rozprawy jakby ostatecznym wyrokiem.

Szanowali go wszyscy, bo oprócz tego był to prawy senator i radzca pański, który tylko dobro ogólne miał na oku, a osobistymi względami nie dawał się z prostej zbić drogi.

Pan możny, zmuszony dla dostojności ciągle się licznym otaczał dworem i występować z

pewną okazałością, nie lubił błyskotek marnych ani przepychu dla próżności, dom był pański i dostatni, ale nie tak czczo świetny i puszący się jak panów z Kurozwęk i innych, którzy świeżo się do dobrego bytu dobili. Pewna prostota starodawna zachowała się tu z czasów już zapomnianych i zatartych. Gdy inni przejmowali chętnie obyczaje cudzoziemskie, tu się ich wpływ dawał czuć jak najmniej.

Wojewoda sam wychował się w tych jeszcze latach, gdy rycerskie wykształcenie

zastępowało wszelkie inne. W obcowaniu z ludźmi nabył później wiadomości wiele i ogłady, ale zawsze wzdychał nad tym, gdy go senatorska dostojność do ocierania się o Niemców, Włochów, Węgrów, ba, Francuzów i innych narodowości ludzi zmuszała, gdy sprawy przychodziły, dla

których łacina urzędowym była językiem, że za młodu języków mało się uczył i kancelaryjnych talentów nie nabył.

W wielu też rodzinach naówczas u nas rozumiano to, że przyszły senator, choćby od siodła i koncerza poczynał, razem musiał też nad księgą się mozolić, aby nie potrzebował kanclerzów i tłumaczyw ciągnąć wszędzie za sobą, a w końcu na ich łasce i pod ich wpływem pozostać.

Owdowiały wojewoda, w czasie tym, miał pięciu synów, których wychowanie wielką dla

niego było troską; dwaj starsi, Jan Amor i Jan Gratus, już sporymi wyrostkami będąc, dopominali się, aby o ich przyszłości postanowiono.

Wojewoda, pobożny mąż, w duchu mówił sobie, iż z tych dzieci, którymi Pan Bóg

małżeństwo jego pobłogosławił, jedno, jako prawa dziesięcina, Jemu należało, ale żadnego z nich nie wyznaczał, pragnąc, aby się powołanie objawiło samo. Inni musieli naprzód rycersko służyć krajowi, potem zdobywszy zasługą stanowisko, radą i mieniem pomagać królowi.

W ganku dworu wojewodzińskiego, który o tej godzinie pełen był rycerstwa i szlachty, ten sam dworzanin, który przychodził z wezwaniem do bakałarza, zdawał się czekać na niego, bo zobaczywszy i poznawszy natychmiast się zbliżył i uprzejmie powitał, a z sobą do komory zaprosił, dopóki by wojewoda wolnym nie był.

Dworzanin, z uboższych Leliwitów, młody człek, który już jednak próbował zapasów rycerskich i miał chlubne po nich pamiątki na obliczu wskrós blizną różową przeciętym, był wesołego usposobienia, a łatwy do ludzi.

Z tego korzystając bakałarz nasz, po kilku słowach zręcznie go chciał wybadać, czyby nie wiedział, na co go tu potrzebowano.

— Widać, że wasza miłość naszego pana nie znacie, gdy się o to dopytujecie mnie, prostego posłańca, któremu wojewoda myśli swych nie powierza. Daleko poważniejsi mężowie też tym się pochłubić nie mogą. Słowa on próżnego nie rzecze nigdy, a co myśli, jeden tylko Bóg wie, ludzie zaś dopiero naówczas, gdy myśl czynem się staje.

Nie badał więc już ciekawy gość i czekał cierpliwie, aż go do wojewody wezwano.

Przyjął bakałarza stary i poważny mąż, ręką witając i słowem miłym, a mimo młodości, dla sukni duchownej, miejsce mu wskazując nie opodał od siebie.

Sami byli w izbie sypialnej wojewody, z taką prostotą i skromnością urządzonej, jak by możnemu panoszy przystała. Łoże było twarde, skórą okryte, stół dębowy kobiercem starym zasłany, a sprzęt dawny i niepokaźny.

Wojewoda też odziany był ciemno w długi żupan, czarnym pasem ściągnięty, a krom sygnetu z pieczęcią na palcu, żadnej nie miał na sobie błyskotki. Broda siwiejąca, ciemna, szeroka mu się na piersi rozkładała, włos spadał długi na ramiona.

— Wieleśmy o was słyszeli — odezwał się obracając do Grzegorza wojewoda — a wszyscy wam sprawiedliwość oddają, iż uczonością i dowcipem celujecie wśród kolegium. Wiem i to, żeście sami sobie winni to wychowanie. Ludzie was sławią, chciałem poznać bliżej tak wiele obiecującego na przyszłość męża.

Grzegorz dziękował krótko.

— W kolegium waszym — mówił wojewoda — pewnie bardzo pożytecznym młodzieży być możecie, ale dla siebie tam nie uczynicie wiele. Chudoście wyposażeni, głodem, słyszę, przymieracie.

— Praca to osładza — odparł Grześ.

— Piękną z niej czynicie ofiarę — mówił Jan z Tarnowa dalej — ale przy zdolnościach

waszych mogliście łatwo wyżej się wzbić, a około młodzieży zastąpiłby was choćby i mniej zdolny nauczyciel.

Jam o was pomyślał dla siebie i dla waszej przyszłości razem — dodał stary pan. — Mam synów, rad bym ich wychować tak, aby i Bogu, i królowi służyć mogli rozumnie i dzielnie. Cóż byście rzekli na to, gdybym wam zwierzyć chciał opiekę i władzę nad nimi?

Grześ, którego niespodzianie zaskoczyło to życzenie wojewody, zamilkł w początku chcąc zebrać myśli.

Pochlebny to było dla niego, wbijało go w dumę, lecz burzyło cały gmach, jaki on sobie sam budował, obierając zawód nauczycielski w Akademii.

Dozorca i bakałarz wojewodzińskich dzieci świetne miał przed sobą nadzieje, byt dostatni i swobodny, zapewnioną przyszłość, ale schodził z tej drogi, która w publicznym zawodzie wiodła do sławy i znaczenia w świecie uczonym. Mignęła mu ta myśl, że miał zaprzedać za miskę soczewicy dostojność swoją i prawa, jakie dawała nauka, że się sprzeniewierzał zawodowi.

Wojewoda, jak by odgadł znaczenie długiego milczenia, powolnie dalej ciągnął.

— Rozumiem ci to — rzekł — iż z katedry znijsć na bakałarstwo domowe, choćby u

krakowskiego wojewody, wydać się wam może uwłaczającym, ale zaprawdę ważyć powinniście, że gdy senatorskie dzieci na przyszłych radców królowi i krajowi wychowacie, w bojaźni Bożej i nauce ich doskonaląc, będziecie może większą mieli zasługę niż ubogich klechów ucząc łaciny.

Wszyscyśmy potrzebni na świecie, senatorowie i klechy, ale gdy u góry światła zabraknie, nie przyjdzie ono ze spodu.

Strzemińczyk milczał jeszcze.

— Rozważcie to sobie — dodał po chwili wojewoda — prędkiego rozstrzygnięcia nie

żądam, boć on o losie żywota waszego stanowić ma. Biorąc was do synów moich, dla których wy się poświęcicie, słuszna, abym też wam zapewnił nagrodę równą pracy. Powołanie wasze

duchowne ułatwi mi opatrzenie was, przy pomocy i łasce królewskiej.

Grześ podniósł oczy i chciał już się przyznać, że suknia, którą nosił, jeszcze go żadnym ślubem nie wiązała, lecz coś mu usta zamknęło. Skłonił głowę i po małym przestanku odezwał się:

— Nie mam co rzec na to, oprócz iż miłości waszej za zaufanie pokornie dziękować muszę.

Zaszczyt dla mnie i chluba, ale zarazem brzemię, którego na ramiona brać nie wiem, czym godzien.

Inna to rzecz, panie wojewodo, z katedry nauczać łaciny, poezji, retoryki, a choćby i filozofii, inna zaś podjąć się wykształcenia dzieci na ludzi. Nauka tu narzędziem i dodatkiem, a człowieczeństwo celem. Ludźmi, chrześcijanami i synami Korony tej być muszą, a niepoślednimi, gdy ich w spadku wielkie obowiązki czekają. Czy ja prosty bakałarz podołam temu?

— Z pomocą i pod okiem moim — zawołał wojewoda — dlaczegoż nie! Najlepszym dowodem, iż wychować potraficie, to, żeście sami siebie wychować byli zdolni.

Grześ westchnął.

— Tak, panie wojewodo, ale mnie niańczyła i kształciła największa w świecie mistrzyni, nędza i sieroctwo. Kto wie, czy nie łatwiej ubogiemu się wydobyć na wierzch, gdy go smaga los, niżeli pieszczonemu w pieluchach, którego szczęście usypia lub butnym zawczasu czyni i zuchwałym!

— Zaprawdę, pięknie mówicie — przerwał wojewoda — lecz nie wiecie o tym, iż ja trzymam z wami, a dzieci moje karnie i surowo prowadzę. Nie żądam też ani pozwolę, abyście im folgowali dlatego, że zrodzeni są w dostatku, owszem żądam, aby im nie pobłażano, gdy wykroczą. Młodości zbyt hamować nie godzi się, bo onieśmielona traci siłę, ale rozbijać się też nie można dozwolić, aby znała granice.

To mówiąc powstał wojewoda i uderzywszy w dłonie czekał na pacholę, które się we drzwiach ukazało.

— Amor, Gratus i Rafał niech tu przyjdą — rzekł i powrócił na siedzenie swoje.

Nie upłynęła chwila, gdy drugie drzwi otwarły się z wolna i troje pięknych chłopiąt, jednako w szare kaftany ubranych, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście, wsunęło się skromnie i cicho, skłonili się ojcu pokornie i po starszeństwie przyszli podaną im rękę rodzica całować.

Na dany znak powitali też z dala bakałarza, który się im ciekawie przypatrywał. Miło było spojrzeć na te zdrowe, "kraśne, rumiane, pełne życia oblicza, które bez nieśmiałości, ale z poszanowaniem zwracały się ku ojcu, jak by czekały rozkazów jego.

Amor i Gratus, starsi, podobni do siebie, wiekiem się niewiele różniący, już wyrostkami mieli w sobie coś rycerskiego. Rafał delikatniejszy, z wdziękiem niewieścim na ładnej i bladej twarzyczce, więcej od nich okazywał obawy i trzymał się, jak by ukryć pragnął za braćmi. Był też najmłodszym i dzieckiem prawie.

Wojewoda zapytał ich o to, czym się zajmowali, co na dziś im wyznaczonym było. Amor

odpowiedział na to w kilku słowach jasnych, z których zmiarkować mógł Grześ, że nauka zaledwie się rozpoczynała.

Niedługo ich zatrzymawszy wojewoda wskazał, że odejść mogą. Chłopcy, jakimś podejrzliwym okiem zmierzwszy siedzącego klechę i pozdrowiwszy go z dala, ucałowali znowu rękę ojca i wyszli.

Dopiero za drzwiami słychać było swobodne i żywe a pospieszne szeptanie uciekających i wyścigających się chłopaków.

— Chciałem, abyście ich widzieli — rzekł wojewoda. — Silni są, zdrowi, nie rozpieszczeni, alem zbyt zawczasu ich uczyć nie kazał, aby mogli wprzód urosnąć i skrzepić się. Teraz już im ława i siedzenie nad tablicą nie zaszkodzi.

Zapukano do drzwi. Wojewoda wstał zwracając się do bakałarza.

— Pomyślicie — rzekł — jutro lub pojutrze dacie mi odpowiedź. Nie chcę, abyście bez rozmysłu przyjęli obowiązek, a pragnę, aby wam słodkim był, i co w mej mocy dla osłodzenia go, uczynię.

Niewola to będzie — dodał z uśmiechem — ale któryż i kiedy człowiek jest wolnym? Ani królowie się tym poszczycić nie mogą, bo i ich obowiązek w żelaznych okowach trzyma.

Skłonił się Grzegorz obiecując prędką odpowiedź i jak upojony wyszedł z wojewodzińskiego dworu.

Stąd do Balcerów spiesząc tak w sobie zatopiony szedł, że ludzi nie widział i co około niego się działo, nie znał. Lena w oknie siedząc na niego czekała, a był tak pogrążony w myślach, iż dworek pominął i zawołać go musiała, dopiero się opamiętał.

Wyszła na próg do niego.

— Ciężkie jakieś brzemie niesiecie! — rzekła.

— Zaprawdę i takie, któregom się spodziewać nie mógł — odparł Grześ padając na ławę.

Tu począł opowiadanie o swej rozmowie z wojewodą, którego mu Frączkowa dokończyć nie dała, w ręce klaskając i wołając ojca, męża i matkę z uniesieniem, w jakie ją wprowadziła wiadomość o łasce pana wojewody.

Grześ stał trochę zdumiony, bo mu się to więcej ciężarem wydawało niż dobrodziejstwem,

— Niech będą Bogu dzięki, jeżeli to waszym pragnieniom i nadziejom odpowiada — rzekł

chłodno. — Tak, jutrenka ta błyska różowo, lecz sądzicież, iż życie przy dworze, w zgiełku i ruchu tym, kędy się krzyżują i ścierają żądze, ambicje, namiętności, szczęśliwszym będzie niż nasze w tych ubogich i cichych celach, w których się nabywa mądrości, pogardy świata, miłości Boga i nauki? Sądzicież, że tam wam łatwiej przyjdzie zachować cnotę, umysłu niepodległość i spokój ducha? Ja nie wiem.. Mówią nam o ptakach, co na falach burzliwych ścielą gniazda. Ja podziwiam cuda te przyrody, ale nie zazdroszczę im, tylko tym, co pod strzechą siedzą. I miłość nauki potrafficież zachować tam, gdzie od niej życie z pokusy swymi nieustannie was odrywać będzie?

Zamilkł starzec.

— Zaprawdę — dorzucił po chwili — gdyby najwięcej dali wam, nie zapłacą za to, co stracie! Wyście im potrzebni, a oni wam?

Po rozmowie z ks. Waławem tęsknota za życiem, którego się miał wyrzec, chwyciła go za serce, ale daleko silniej ciągnęło je jakieś nieokreślone pragnienie nie znanych, nowych, świetnych przeznaczeń.

W kolegium wiadomość o ustąpieniu Grzegorza z Sanoka uczyniła wrażenie dwoiste, uczniowie opłakiwali mistrza tego, towarzysze, starsi panowie kolegiaci czuli, jak by ciężar jakiś spadł im z ramion. Obawiali się tego popędliwego umysłu, pędzącego na nowe drogi, zmuszające trzebić, gdy tak wygodnie jest wybitymi iść kolejami. Winszowali szczęścia, nie powstrzymywali wcale, znajdowali, że Grzegorz zasłużył na to, co go spotkało, a następcą na katedrze zawrócił od Wirgilego do Alana i po staremu Donata zalecał, jako najpewniejsze do łaciny wrota.

VII

W kilka miesięcy potem skromnego bakałarza, który na dnie powszednie w wyszarzanej chadzał sukience, poznać było trudno w młodym nauczycielu wojewodziców. Powołanie nowe, świat, wśród którego się obracał, wymagania dworu, do którego się liczył, zmusiły go nawet powierzchownie się przeistoczyć. Pan wojewoda też od tego począł, iż dostarczył sukna i jedwabiu, aby bakałarz dzieci, co dzień z nimi chodzący na zamek do królowej jejmości i królewiczów, występował, jak przystało pańskim progom.

Królowa Sonka, wiadomym to było, sama lubiła strój wytworny i od tych, co ją otaczali, wymagała ubioru, który by oczu zaniedbaniem nie raził. Młodzi królewicze, oba zawsze występowali bardzo strojnie i wedle mody wieku.

Młodzi Tarnowscy, choć ojciec ich zbyt do błyskotliwych strojów nie chciał przyzwyczajać, musieli

po troszę do wy- magań królowej, której oka nic nie uchodziło, się zastosowywać. Gdy szli na zamek, ubierano ich pięknie.

Nauczyciel, który ich nigdy nie odstępował, musiał też kłaść suknie odświętne. Były to zawsze tylko czarne sutanny klechów, ale i tkaniną, i krojem dostatku dowodziły.

Nie zbywało też na innych wygodach we dworze pana wojewody, który zarówno zbytku, jak skąpstwa nie cierpiał. Trochę rubaszny i szorstki obyczaj studentów ubogich tu na inne obejście się z dziećmi pańskimi zmienić było potrzeba. Szczęściem dla bakałarza, jego młodzi uczniowie od razu do niego tak przyłgnęli, jak on do nich. Chłopcy byli •serdeczni, nie popsuci, a życia równie jak nauki chciwi.

Ale w obu starszych, bądź co bądź, przemagała krew rycerska. Posłuszni siadali do tabliczek, pisać się uczyli, łacinę przeżykali, ale dopiero gdy powieść jaka uderzyła o strunę wojenną, oczy im połyskiwały i rumieniły się policzki. Najmłodszy był spokojniejszego ducha, Amor i Gratus nie taili się z tym, że byle im pozwolono, chętnie by pióro na szablę zamienili.

Nie zapominano też przy nauce o kształceniu ich do przyszłego powołania. Pod okiem bakałarza przychodził stary żołnierz uczyć ich szablą władać, kawalkator dosiadać koników, łucznik strzelać do celu. Naówczas Grzegorz mógł się przekonać, że z nich pono uczonych nie potrafi uczynić, bo przez posłuszeństwo gotowi byli męczyć się nad pargaminem i papierem, ale życie w nich wstępowało dopiero na podwórku.

Oba pojęcie mieli bystre i pamięć dobrą, a Grzegorz nie był pedantem do form przywiązany i uczył więcej żywym słowem niż suchą literą.

Gdy się nad książką zdrzemali, naówczas z pamięci poczynął opowiadać rycerskie sprawy Aleksandra albo historią jednego z bajecznych bohaterów starożytności i słuchano go pilnie.

Godziny zabaw na zamku dla wszystkich były zarówno pożądane, królewicze i wojewodzice czekali na nie, a nie- mniej i panowie nauczyciele. Naówczas w wielkiej sali dolnej zamku rozpoczynały się igrzyska, w których pilny postrzegacz już mógł przyszłe wyrostków wykluwające się rozpoznać charaktery.

Gdy po raz pierwszy ze swymi wychowañcami zjawił się na królewskim, zamku Grzegorz, chociaż bojaźliwym z natury nie był, uczył, że mu przyjdzie chwilę ciężką przeżyć, wystawionemu na wejrzenia i pytania ciekawe.

Przy królewiczach, naznaczeni na zjeździe od szlachty, znajdowali się dwaj dozorczy i

nauczyciele, szlachcic niemłody już Piotr Ryterski i Wincenty Kot z Dębna duchowny, kustosz gnieźnieński. Z nich pierwszy miał pieczę nad ciałem więcej, drugi nad umysłem wyrostków, nad którymi nieustannie czuwała sama królowa Sonka, matka troskliwa, dla której dzieci były całym światem. Miała ona jednak oprócz nich do czuwania nad wielą sprawami i musiała zjednywać sobie serca panów rady, z których wielu Jagiellońskiemu rodowi było nieprzyjaźnych. Odzywały się ciągle jeszcze wspomnienia Piastów, ich praw i odwiecznego w tym królestwie panowania.

Władysław, starszy królewicz, dochodził do lat dziesiątka, młodszy o lat parę Kaźmirz był jeszcze prawie dziecięciem. Rówieśnicy Tarnowskich, oba nawykli byli z nimi poobiednie spędzać godziny.

Dawniej towarzyszył im tu stary sługa Strzemesz. Gdy raz pierwszy przyszedł z chłopcami

Grzegorz z Sanoka, nie obeszło się bez natrętnej ciekawości królewiczów i zapoznania się z ks.

Kotem. Poważny kustosz, który już słyszał o młodym bakałarzu i był ciekawym go poznać, chociaż dał mu uczuć wyższość swoją, przyjął go uprzejmie.

Mąż był światły, w wieku tym, który spokój daje umysłowi. Z pierwszych wyrazów

rozmowy poznał w Grzegorzu uczonego i rozumnego młodzieńca i z przyjemnością zawiązał z nim jakąś dysputę, która świetne przymioty bakałarza na jaw wyprowadziła.

Ryterski tymczasem naglądał na bawiących się chłopców, którzy po wielkiej sali wyprawiali hałaśliwe wyścigi. Starszy królewicz bywał zawsze wodzem tych wypraw wojennych, bo się inaczej jak w rycerstwo nie bawiono. Najmłodszy tylko Rafał dosyć bojaźliwie i niechętnie zaciągał się do tych szeregów, w których mały Każko stawał obok brata, mimo wzrostu i wieku.

Tego dnia, jak zwykle w ciągu zabawy, uchyliła drzwi naprzód, a potem weszła przypatrzeć się jej królowa Sonka.

Postrzegła ona postać nową i nie znaną sobie, która musiała obudzić ciekawość, gdyż zbliżyła się do ks. kustosza i dowiedziawszy się o bakałarzu kazała go sobie przedstawić.

Grzegorz był tak szczęśliwy, że powierzchowność jego dobrze o nim uprzedzała, oprócz tego udało mu się na kilka pytań królowej odpowiedzieć zręcznie i tak, że w nim umysł żywy a energiczny poznać mogła.

Po krótkiej rozmowie oddaliła się królowa, a i Tarnowscy odejść musieli do domu.

Co dzień potem prawie Grzegorz już śmielszy szedł z nimi na zamek, królewicze się z nim

nie tylko oswoili, ale polubili go, gdyż chętnie się mieszał do ich igrzysk i był w nich sędzią i rozjemcą. Ks. Kot, mający często zajęcia, poznawszy bliżej bakałarza, czasem odchodził na chwilę, zostawiając mu królewiczów razem z ich towarzyszami.

Parę razy zastała tak królowa ich samych z Grzegorzem i w dłuższą wciągnęła go rozmowę.

Jawnym było, że przybysz ten podobał się jej i że umiała go ocenić. Badała go nieznacznie o synów, wzywała rady i nawet stary Ryterski dostrzegł po jakimś czasie, iż bakałarz zyskał łaskę pani, czego mu powinszował.

Królowa miała ten instynkt ludzi wybranych, którym gdy samym sił brak do osiągnięcia wielkiego celu, umieją przybierać sobie pomocników, z wielką trafnością wydobytych z tłumu.

Grzegorz, który w początkach obawiał się zbliżenia do królowej, a z odgłosu powszechnego miał o niej wcale inne wyobrażenie, poznawszy ją lepiej, przekonał się, jak mało ocenić ją umiano i spotwarzono niegodnie.

Wzbudzała w nim poszanowanie i współczucie.

Miłość jej dla nauk, których sama nie posiadała, a miała tylko jakby ich przecucie, chętna pomoc uczonym, opiekowanie się młodzieżą ubogą, wszystko to zjednało jej część młodego

bakałarza i chęć służenia.

A że uczucia takie zawsze się zdradzają i najczęściej są opłacane, królowa też wyróżniała Grzegorza i zdawała się czekać tylko chwili, gdy go do służby swej zawezwie.

Były to ostatnie lata panowania zestarzałego króla, który jeszcze się podróżami i łowami zabawiał, ale rządy kraju były więcej niż kiedykolwiek w silnych rękach biskupa Zbyszka i jego rodziny.

Na zamku i u wojewody spotkał też Grzegorz wszechmocnego władcę, który okazywał mu dosyć życzliwości, szczególnie ceniąc jego łacinę i znajomość literatury.

Zbigniew z Oleśnicy zresztą był człowiekiem zbyt samoistnym i żądnym władzy, aby tych,

w których odkrył energią mogącą w przyszłości stanąć mu na przeszkodzie, pociągał ku sobie i torował im drogi.

Poczuł on w Grzegorzu z Sanoka człowieka, który cudzym być nie mógł narzędziem, nie

podawał mu więc ręki, spychając go jak Ciołka na podrzędne stanowisko stylisty i wierszopisa.

Nie starał się też bakałarz o pozyskanie sobie biskupa, ograniczając się tym, ażeby go nie mieć nieprzyjacielem.

Królowa zaś, właśnie ceniąc tę energię w nim, na której się może w przyszłości oprzeć spodziewała, nie spuszczała go z oka.

Ani ks. kustosz, ani p. Piotr Ryterski nie zazdrościli bakałarzowi jawnych łask królowej, zresztą ograniczających się tym, że czasu zabaw rozmawiała z nim prawie co dzień, coraz poufałej.

Grzegorz się z tego nie wynosił, ale przewidywał, iż to mu na przyszłość posłużyć może.

Tak stały rzeczy, gdy nagle jak piorun spadła na królowę i królestwo niespodziana wiadomość o chorobie, a prawie jednocześnie o śmierci Jagiełły.

Biskupa Zbyszka nie było naówczas w Krakowie, a na nim polegała Sonka, iż syna jej starszego na tronie osadzi. Poruszyło się po zgonie króla wszystko, co imię jego i powaga, długim panowaniem pozyskana, spójnym i spokojnym trzymały.

Wszystkie zachcianki, nadzieje, urojenia, zabiegi przyjaciół Piastów, mściwe zachody wrogów królowej wybuchły i zakłóciły spokój.

Sonka nie miała się kim posłużyć, komu zaufać, potrzebowała ludzi. W tej godzinie stanowczej już dawno napatrzo-ny Grzegorz z Sanoka na myśl jej przyszedł. Posłała do wo-

jewody i zażądała od niego, aby bakałarza swego odpuścił dla niej. Jan z Tarnowa zgodził się na chwilowe pofolgowanie mu w obowiązkach, ale nadto go umiał ocenić, aby się całkiem chciał z nim rozstać.

Grzegorz też, na teraz jeszcze pod żelazną ręką biskupa, nie bardzo życzył sobie być służką bez znaczenia i powagi.

Bakałarz czasowo przeszedł na zamek, dał się użyć jako poseł i pośrednik, ale nie rozstał się z Tarnowskimi. Aż do przybycia biskupa, który już do Bazylei nie jechał, bo pilniejsze nad sobór były sprawy królestwa, Grzegorz z Sanoka był na usługach królowej, chociaż niewidoczne i podrzędne zajmował na dworze stanowisko.

Była nawet mowa o tym, że go dodać miano posłom na sobór wyjeżdżać mającym, ale młody wiek jego i nie dość znane teologiczne wykształcenie, może żywość i śmiałość, wstrzymały tę podróż.

Przypadła mu za to ciężka praca czuwania nad królewiczem Władysławem i przysposobienie młodziuchnego chłopięcia do tych wystąpień, jakie go czekały.

Dawniej już Grzegorz umiał sobie wesołością, wymową, łagodnością zyskać wielką sympatię przyszłego króla. Nieraz Ryterski i ks. kustosz używali go nieznacznie do przełamania małego uporu, do namowy na jakieś ustępstwo. Grzegorz w sposób pełen uszanowania, ale żartobliwy i poufały, umiał królewicza skłonić, do czego było potrzeba.

Już w dziesięcioletnim panu przyszył jego zwiastował się charakter, który w wielu rysach ojca przypominał. Przede wszystkim był to krwią i wychowaniem rycerz już, który marzył o sławie, zdobyczach, o wielkich wojnach i czynach nadzwyczajnych. Z dziejów, które królewiczom czytano, Krzywousty był jego ulubieńcem i wzorem. Zazdrościł mu młodzieńczych wypraw, walk i całego żywota, opiewanego przez Galia. Na ustach miał ciągle: „Gdy dorosnę, a wyjdę na wojnę...”

Najmilszym strojem jego była mała zbroja lekka, którą dla niego naumyślnie zrobiono, najulubieńszą zabawką igrzyska na podobieństwo małych turniejów w podwórzu zamkowym.

Ryterski musiał go hamować, a ks. Kot gwałtem zasadzać do nauki i wabić do niej historiami bohaterów.

Drugą cechą młodzieńca, wziętą po matce i z obyczaju wieku, było upodobanie w wytwornym stroju i elegancji, w ogładzie europejskiej.

Książęta niemieccy przybywający do Krakowa, opowiadanie o dworze cesarza Zygmunta, niepokoiły Władysława, który chciał, aby polski dwór i zamek nie ustępowały tym, które przy nim sławiono.

Po ojcu wzięł królewicz nadzwyczajną ową jagiellońską hojność, która nigdy nikomu nie odmówić nie umiała. Często bardzo to, co miał najulubieńszego, przyjaciołom Tarnowskim, gdy się im podobało, natychmiast chciał oddawać, a że swej woli nie miał, biegł z tym do matki, która nigdy pozyskiwaniu sobie ludzi przez dzieci nie była przeciwną. Tak mało na kogo rachować mogła!

Wśród tych dni burzliwych, gdy aż do ostatniej godziny wichrzyciele chcieli koronacji

Władysława przeszkodzić i nie dopuścić, gdy królewiczowi nieustannie trzeba się było ukazywać, kłaniać, prosić i mieć przytomność umysłu starego a wytrawnego człowieka, Grzegorz z Sanoka stał przy nim ciągle ukryty, dodawał mu męstwa, budził w nim słabnącą na widok łez matki energię, rozśmieszał go, aby mu nie dopuścić się rozpłakać.

W dniu koronacji, gdy na sali łajano się od ostatnich słów, a godziny uchodziły i nie można było wiedzieć, czy obrzęd da się spełnić, gdy Władysław blady i strwożony stał w całym ubraniu królewsko-kapłańskim, czekając i drżąc, Grzegorz z Sanoka był u jego boku, udając wesołego i zapewniając biednego, że dziś włoży koronę na skronie.

Tych dni kilkanaście przebytych prawie bez przerwy na zamku przy Władysławie więcej do niego zbliżyły Grzegorza z Sanoka niż cały rok poprzedzający. Młody król był mu wdzięczny, spoufalił się z nim, nauczył ufać, nie taił z żadną myślą najskrytszą.

Gdy wreszcie ukoronowano młodego pana, a wszystko się szczęśliwie skończyło, Grzegorz nie czując się tu już potrzebnym pożegnał królowę i powrócił do swych wychowawców.

Za tę usługę niewidoczną w dniach ciężkich zaszczycono młodego bakałarza wezwaniem do napisania pochwalnego wiersza na cześć zmarłego króla.

Było to odznaczeniem go, ale razem zepchnięciem ze stanowiska, jakie by mógł osiągnąć.

Wytykano w ten sposób palcem, jako poetę i uczonego, który miał pozostać łacinnikiem tylko i poetą.

Grzegorz z Sanoka spełnił dane mu polecenie, nie dając poznać po sobie, iż mógłby był przydać się do czego innego. Napisał pochwałę zmarłego, zebrawszy do niej rysy

charakterystyczne, które dziś uderzają realizmem śmiałym i naiwnością swoją. Król chwalony wystąpił w nich, jakim był za żywota, z silnie oznaczoną indywidualnością. Apologia nie stworzyła ideału, który mógł przystać do tysiąca innych postaci, dała wizerunek zmarłego.

Jak wszystko, co pisał Strzemińczyk, wiersz ten obudził i podziwienie, i zdumienie. Tętniło w nim życie, do którego w poetach owego czasu ludzie nie byli nawykli.

Młody król tymczasem sposobił się do przyszłych rządów.

Biskup krakowski, panowie rady, a poza nimi królowa, zastępowali go w sprawach bieżących, które silnej dłoni potrzebowały.

Władysław w tej atmosferze, jaką stworzyła mu za wcześnie osiągnięta korona, dojrzewał szybko.

Przyszły władca miał już, pomimo czuwania matki, pochlebców, ulubieńców, zabiegających o jego łaski, posłuszne sługi, potajemnie rade serce jego pozyskać.

Szcęściem czuwało nad nim oko matki, a królowa Sonka, gdy nie wiedziała nawet, sercem macierzyńskim przewidywała niebezpieczeństwo.

Sklonności też młodego króla nie zagrażały jego przyszłości. Przede wszystkim był to

marzący o swym rycerskim powołaniu młodzian niecierpliwy, który potrzebował sobie jedną przyjaciół i zawsze się otaczać rówieśnikami.

Garnęli się też do niego chętnie starsi nawet, widząc w nim hojność ojcowską. Przeciwno

temu chórowi, który nigdy nie śmiał królowi w niczym się sprzeciwić, a wyprzedzał fantazje jego, trzeba było postawić jakiś samoistniejszy charakter, co by się nie wahał powiedzieć prawdy i nie dopuścić zbytnej samowoli.

Królowa, znająca już dobrze Grzegorza z Sanoka, nie schlebiającego nigdy, mającego w potrzebie odwagę sprzeciwienia się, zażądała go mieć przy synu.

Zawołany na dwór, został wpuszczony do królowej, która już na niego oczekiwała.

Podąła mu rękę do pocałowania, uśmiechając się.

— Mówiłam już z Tarnowskimi — odezwała się. — Jesteś wolnym, żądam, abyś na zamek się przeniósł i króla nie odstępował.

Grzegorz się pokłonił.

— Miłościwa pani, zaszczyt to dla mnie wielki, ale jakież ja tu zajmę stanowisko, komu mam być podległy, jakie będą obowiązki moje?

Królowa z pewną niecierpliwością i objawem rozdrażnienia spojrzała na bakalarza. Piękne jej, pełne wyrazu oczy, w których silna wola się malowała, chwilę mierzyły pytającego i przygotowywały do odpowiedzi.

— Pozostaniesz przy królu — rzekła — jako starszy przyjaciel jego, jako oko moje, jako stróż z ramienia matki. Nie będziesz podlegał nikomu oprócz mnie. O przyszłość swoją możesz być spokojnym.

— Nie troszczę się o nią, miłościwa pani — rzekł Grzegorz — ale o obowiązki, jakie będą włożone na mnie, abym mógł im podołać.

Królowa oblekła się powagą i podniosła głowę, namyślając chwilę.

— Obowiązkiem waszym będzie stać przy królu i mówić mu prawdę, tam gdzie wszyscy prawić będą pochlebstwa. Władysław dobry jest, ma najszlachetniejsze serce, ale młody,

rozmarzony, niedoświadczony, potrzebuje hamulca, królowi niełatwo kto ma się odwagę

sprzeciwić. Jam matka, nie zawsze przemówić mogę, nie wszystko mi się mówić godzi. Będziesz mieć odwagę za mnie?

Grzegorz myślał chwilę i rzekł z uroczystym namaszczeniem:

— Spełnię rozkazy wasze.

— Przenoście się na zamek, marszałek wskaże wam izby w bliskości królewskich.

Kończyła te słowa królowa, gdy z wesołą twarzą, strojny, piękny, wysmukły, z śniadą swą twarzyczką, ciemnymi oczyma, włosami w puklach spadającymi na ramiona, ukazał się Władysław.

Zobaczywszy Grzegorza, uśmiechnął mu się, witając matkę.

Oba oni, starszy i młodszy, nawykli byli nie tylko ją szanować, ale bez najmniejszego oporu spełniać każdą jej wolę. Sonka łagodną była dla nich, ale nigdy z rąk władzy macierzyńskiej nie wypuściła.

Chciał odchodzić Grzegorz, gdy skinienie pani wstrzymało go.

Wskazała synowi na stojącego bakałarza.

— Grzegorz z Sanoka pozostanie na dworze, chcę, byś go miał przy sobie, spodziewani się, że ci będzie miłym.

Król młody podał mu rękę.

— Nie wiem, czy kogo Kocham więcej nad niego — rzekł z uśmiechem — chociaż kłócimy się z nim bardzo często.

— A ja właśnie dlatego sprowadzam go na dwór, aby kłócił się z tobą — przerwała królowa Sonka. — Nadto ci się wszyscy kłaniają.

— Niech on mnie strofuje! Ja się go nie boję — odparł Władysław zawsze wesoło.

Odpuszczono nareszcie bakałarza, który poszedł pożegnać swych wychpwańców i wedle zwyczaju donieść pani Frączkowej o nowym szczęściu czy obrocie losu, jaki go spotkał.

Miał on wielkie znaczenie.

Zwlekane dotąd poświęcenie się stanowi duchownemu musiał Grzegorz stanowczym

krokiem zakończyć. Nosił suknię nie mając święceń, wahał się jeszcze. Dawano mu od dawna do

zrozumienia, że byłby mógł otrzymać beneficjum jakieś, probostwo lub kanonię, gdyby kapłanem został. Rozdawano je wprawdzie naówczas i długo potem jeszcze osobom świeckiego stanu, z obowiązkiem trzymania wikariu-szów, lecz było to wyjątkowym i przez duchowieństwo niedobrze widzianym. A Grzegorz nie czuł w sobie jeszcze tak jawnego powołania, aby się wyrzec na zawsze swobody życia i nadziei.

Pani Frączkowa też, która była jego Egerią, nie nalegała na pośpiech, choć przewidywała, że się na święceniu skończyć musi.

I tym razem Grzegorz poszedł do dworku Balcerów naprzód pochwalić się tym, co go nawiedziło. Spotkał w progu starą Balcerową.

— A co, matusiu — rzekł do niej wedle poufałego zwyczaju dawnych czasów. — Żle ze mną. Ludzie się Grzesiem waszym rzucają. Tarnowscy już mnie nie chcą. Wyrzekli się.

Widząc uśmiech na jego ustach, nie ulękła się jakoś Balcerowa.

— Cóż myślisz poczynać?

— Albo to człowiek ma w czym wolę swoją? — rzekł Grzegorz wchodząc za nią do izby.

— Teologowie i filozofowie powiadają o wolnej woli, ale bodaj tak świat widzieli! Mus jest we wszystkim, chcesz czy nie, konieczność ciągnie.

— Dokąd? — wtrąciła nadchodząca pani Frączkowa. Grzegorz witał się z nią i odparł obojętnie:

— Kazała mnie przywołać królowa dziś i poleciła przenieść się na zamek, a stać przy młodym królu.

Lena potrząsnęła głową.

— Skarżysz się na to? — zawołała.

— Jako żywo, bo ja na nic się nie zwykłem skarżyć, to raz, a po wtóre, skarga się nigdy na nic nie zdała i jest rzeczą dziecinną, ale czy to bardzo wygodne i zdrowe, nie wiem...

Westchnął.

— Lepiej było w kolegium? — zapytała Frączkowa. Wtem praktyczna Balcerowa wtrąciła:

— Cóż wam na zamku przeznaczono robić, bo już ciż miejsce dać musieli.

Grzegorz głową trząsnął.

— Dali mi miejsce Ezopa przy królu. Kobiety spojrzały po sobie nie rozumiejąc.

— Cóż to jest? — spytały. Śmiał się bakałarz.

— Trudno wytłumaczyć, mam królowi mówić prawdę, a tak słodką, aby ją przełykał — rzekł wreszcie. — Będę wisiał przy dworze, trochę więcej jak błaznem, a trochę mniej niż ochmistrem.

— Nie drwij — przerwała Lena, która nie lubiła, aby ją lekceważono.

— Mówię prawdę — ciągnął dalej Grzegorz. — Nie dano mi żadnego urzędu ani obowiązku, królowa chce, abym młodego pana miał na oku i ostrzegał go.

— Toć najlepszy sposób zbliżenia się, przywiązania do siebie i pozyskania...

— Nieprzyjaciela — dokończył Grzegorz. — Zbrzydzi mnie sobie.

Kobiety nie chciały tego zrozumieć.

— Druga konieczność — dodał Grzegorz — że wreszcie suknię, którą noszę, trzeba będzie dać pokropić święconą wodą i wygolić sobie koronę na głowie.

Westchnął. Fraczkowa się popatrzyła na niego i ramionami ruszyła.

— Nie chce mi się wierzyć w takiego księdza.

— Mnie też — dokończył Grzegorz — ale spieszyć nie będę.

Smutnie jakoś skończyła się rozmowa. Po chwili despotyczna pani Fraczkowa zawczasu zaczęła nad tym boleć, że Grzegorz na zamku zajęty o nich zapomni.

— A ja tego nie ścierpię — dodała. — Nie było nas do siebie przyzwyczajając, teraz chcesz czy nie chcesz, musisz służyć Fraczkowej.

— Tego się nie zarzekam — rzekł bakałarz. — Nie mam oprócz was na świecie nikogo.

W złą wyrzekł to godzinę.

Fraczkowa się nagle spieszniejszym krokiem zbliżyła do niego z dosyć zafrasowanym obliczem.

— Nie w porę wam to oznajmię — rzekła — ale zataić trudno. Właśnieście powiedzieli, że

nikogo nie macie, a bodajbyście nie woleli naprawdę nie mieć rodziny...

— Albo co? — przerwał zdziwiony Grzegorz. Kobiety się na siebie popatrzyły.

— Nie ma co taić — odezwała się Frączkowa. — Drugi już dzień, jak tu przychodzi

obdarty, pijanica, zawadiaka okrutny, a mieni się waszym bratem Zbilutem i szuka was. Nie chcieliśmy mu o was powiedzieć, abyście wstydu nie mieli.

Grzegorz pobladł i zerwał się na nogi, ręce łamiąc.

— Byćże to może! Zbilut tu... Rodzony mój, Boże wszechmocny! W tej chwili!

— Jeżeli go wiertelnicy pijanego gdzie nie pochwycili przy kościach, to tylko co go nie

widać — mówiła Frączkowa. — Uparł się tu chodzić, aby koniecznie wymóc na nas wiadomość, gdzie ma szukać brata. Ale strach spojrzeć na niego, a wam się serce zakrwawi, gdy go zobaczycie.

— Brat, brat! — powtarzał Grzegorz wzruszony. — Rodzony brat! Jakże ja go mogę

opuścić. Jego jednego w świecie mam! Może nędza do tego stanu biedaka przyprowadziła, może rozpacz każe mu szukać zapomnienia w pijaństwie. Brat! — powtarzał Grzegorz.

Wtem w sieniach dał się słyszeć głos chrypliwy.

— Puszczaj, nicponiu, bo ci łeb rozkwaczę! Słyszysz! Szlachcic jestem, ty łyku jakiś, rabie.

Frączkowa uszy zasłoniła sobie rękami i rzuciła się do drugiej izby, gdy Grzegorz

domyśliwszy się Zbiluta zapomniał o wszystkim i wybiegł naprzeciw niego wołając:

— Zbilut, brat!

Szedł z rękami otwartymi, aby go przycisnąć do piersi, ale na widok, jaki mu się

przedstawił, cofnął się z jękiem przerażony.

Przed nim stał młody jeszcze mężczyzna, w sukni zbłoconej, poszarpanej i odartej, w

czapczynie na tył głowy zarzuconej, z brodą zarosłą i rozczochraną, z włosami, w których słoma i śmiecie tkwiło. Twarz jego czerwona krwawo, zwierzęcego wyrazu, oczy zasze krwią, sińcami okryte i guzami czoło, brudne ręce, czyniły go obrzydliwym i strasznym.

Na widok Grzegorza, zaniemiawszy na chwilę Zbilut, ręką niepewną drżącą, sięgnął do

czapki i zamruczał:

— Czołem!

— Zbilut! — zawołał Grzegorz.

— Tak jest, Zbilut Strzemińczyk z Sanoka — odparł bełkocząc pijany. — Szukam brata

zgubionego. Ten, słyszę, tu opływa w dostatkach, a krew jego wszy jedzą. Taka sprawiedliwość na świecie...

Otarł rękawem zaślinione usta, splunął i począł niepewien jeszcze, kogo ma przed sobą, bo mu się w głowie mąciło, przyglądać się Grzegorzowi, który zawołał surowo:

— Chodźmy stąd!

W Grzegorzcu walczyło wzruszenie i odraza, a smutek, jakim go przejmował widok

pijanego, zezwierzęconego człowieka, w którym chciał widzieć brata. Zbilut nie okazując

najmniejszej czułości wpatrywał się oczyma załzawionymi od pijaństwa temu, w którym się

domyślał brata. Bakalarz wyszedłszy tarł czoło, myśląc, co pocnie z tym człowiekiem, z którym naprawdę wstyd było się pokazać w ulicy.

Potrzeba było mieć męstwo wielkie i miłość, jaką czuł Grzegorz, aby spełnić ciężki

obowiązek.

— Masz gdzie jakie przyporzysko, gospodę? — zapytał stojąc w ulicy.

Zbilut ruszył ramionami.

— Gdzie tu w tym przeklętym Krakowie znaleźć dziurę? Ludzie jak drapieżne zwierzęta!

Trzy razy mnie w szynkach pobito... Nie mam kąta, nie mam grosza... Ostatnią noc nie wiem, gdzie spał pod murem...

— Aleś pił i jesteś pijany?

— Co to pijany? Człowiek, gdy nie ma co jeść, musi pić! — krzyknął Zbilut. — Jeżeli jesteś moim bratem, no to prowadź mnie do siebie na gospodę... A jużci!

— Nie mogę — rzekł Grzegorz — ja mieszkam na zamku przy królu, a tam takich

obdartusów jak ty nie cierpią. Dostałbyś się do kuny.

— No, to gdzie chcesz mnie wsadzić, aby dach nad głową, jeść i pić w bród, bom głodny —

rzekł Zbilut — a nie, to po ulicach wywoływać będę, coś za brat. Wstydu narobię.

Wziął się w boki.

— Jam tu darmo z Sanoka na piechotę nie przywłókł się! Powiadali ojcu i mnie, że wy tu opływacie.

— Żyje ojciec? — przerwał Grzegorz.

— Nogami suwa, a ani go dobić! — odparł Zbilut. — I grosza mi już nie daje, a trzyma, *co ma*, pod sobą!

— Nie mogłeś to pracować? — zawołał surowo Grzegorz. Zbilut splunął.

— Ale! — wykrzyknął. — Boso, w tym kubraku, bez konia szlachcicowi służby szukać?

Stary nic dać nie chciał, on wszystkiemu winien.

Po krótkim namyśle Grzegorz nie przedłużając rozmowy począł iść w miasto. Nie mógł go

gdzie indziej umieścić, tylko pod dozorem człowieka, który by litość nad nim miał, a razem energię do powstrzymania go od pijaństwa.

Za czasów, gdy poczynał tu do szkół chodzić, bakałarz na jednej ławie siadywał z bardzo

biednym starszym od siebie wyrostkiem, którego przezywano nie wiedzieć skąd Grocho-winą.

Przydomek mu się ten pozostał. Grochowina, który uczyć się począł, gdy był pod wąsem, niedaleko zaszedł w szkole, porzucił ją potem i w mieście go do straży zaciągnięto. Był starszym nad częścią pachółków miejskich, wiertelników.

Choć sam nieuk, Grochowina miał wielkie poszanowanie dla ludzi stanu duchownego i

nauczycieli, chlubił się tym, że z Grzegorzem razem do szkoły chodził, a spotykając się z nim uśmiechał mu się i kłaniał. Był to człek dobry, ale nawykły do ocierania się ciąglego o gawieź

uliczną, do surowości wdrożony i nieubłagany dla hultajów.

Wiedział Grzegorz, że Grochowina mieszkał w lichej izbie u Floriańskich wrót i

spodziewając się go tam znaleźć bratu iść kazał za sobą. Zbilut mruczając ciągnął za nim.

Grochowina stał właśnie w furcie, gdy nadeszli, na wieczorny obchód swojego kwartału się sposobiać.

Pospieszył bakałarz przodem ku niemu, a poznawszy go zaledwie, drab zdjął kołpak z

głowy i począł się uśmiechać z dziecinną radością.

— Grochu mój — zawołał bakałarz — patrzaj na tego, którego z sobą przywiodłem,

pijanicę, co się tak zatacza! Jest to mój rodzony brat! Bieda go do tego doprowadziła.

Nie mam na razie co z nim począć. Miej nade mną miłosierdzie. Weź go do siebie do izby, nakarm, pić mu nie dawaj, włóczyć się nie pozwalaj.

Wyjął z kalety bakałarz garść denarów i wsypał je w szeroką dłoń Grochowiny.

— Nim się namyślę, co z nim począć, może się ustatkuje. Zatrzymaj go przy sobie, ale mu za próg nie daj wychodzić i pić nie dopuść!

Grochowina słuchał z uwagą, potrząsając głową.

— Jednak — dodał litując się bakałarz — nie bądź za surowym, obchodź się z nim łagodnie.

Jutro przyjdę, aby coś na przyszłość obmyśleć.

Zbilut stał tymczasem oglądając się dokoła.

— Słuchajcie — zawołał do brata razem i do nieznanego Grochowiny — a gdzie by tu się posilić? Pić mi się chce wściekle.

Targnął za rękaw Grzegorza.

— No, cóż będzie?

— Zostaniesz tu, dadzą ci pomieszczenie i strawę — rzekł bakałarz. — Naprzód ci się wyspać potrzeba, nim ja z tobą mówić będę.

— Cóż to to, przecie nie gospoda — odparł chmurząc się Zbilut — wygląda na więzienie...

— Izba jest jasna i dobra u mnie — przerwał z wolna go pod pachy biorąc Grochowina i popychając przed sobą na ciasne wschodki. — Idźmy...

Grzegorz poszedł też za nimi.

Weszli do komory sklepionej, dosyć obszernej, w której kątach był nagromadzony

rynsztunek wojenny. Parę okien kraciastych, niewiele światła dopuszczających, czyniły ją dosyć smutną. W kącie stał tarczan Grochowiny, a na stole w pośrodku postrzegłszy dzban i kubek, Zbilut wprost, nie pytając nikogo, chwycił się do nich. Ale oboje było próżne.

Z pogardą postawił je nazad i obejrzał się.

— Jeść — zawołał — i pić!

— Wszystko przyjdzie swego czasu — rzekł Grochowi- na — a mnie by *się* widziało, abyście naprzód na mój tarczan szli spocząć.

Bakałarz stał z niewymownym litości wyrazem przypatrując się odzyskanemu bratu.

— Zbilut — rzekł poważnie. — Chceszli, abym ci bratem był, stańże się takim, byś mi wstydu nie czynił. Będiesz miał wszystko, co ci potrzeba, oddam ostatnie, podzielę się z tobą, czym mogę, ale hultaja nie ścierpię.

Zbilut zdawał się słuchać, piąte przez dziesiąte rozumiejąc ledwie.

— Alboś ty mi brat, albo nie brat — odezwał się — a jeżeliś mi brat, to mi powinno być wszystko w bród. Za co ja mam nędzę cierpieć, kiedy ty w flamskim suknie paradujesz!

— Alem ja na nie zapracowałam! — odezwał się Grzegorz.

— To i ja z kordem w rękę, ino mi dać, co się należy, potrafię też po łbach ludzi walić, bo to jest szlachecka sprawa, a ja jestem szlachcic zawołania Strzemię. Klechę, jako żywo, nie będę, a w rycerskim rzemiośle nikt mi nie sprosta!

Wyciągnął pięść, ale zachwiał się na wąskiej ławie, na którą padł, i gdyby go nie pochwycił

Grochowina, na ziemię by się stoczył. Silny drab, raz go ująwszy, rzucił na tarczan i dał znak Grzegorzowi, aby był o niego spokojnym.

Zbilut, znalazłszy się na posłaniu, zabelkotał coś niewyraźnie, ale wypity trunek go rozmarzał i po chwili, choć rzucał się i chciał wstawać, sen nim owładnął.

Bakałarz spojrział z dala z politowaniem, poszeptał z Grochowiną i odszedł.

VIII

W tydzień potem pijanicy Zbiluta, którym brat się zajął serdecznie, poznać było trudno.

Naprzód od stóp do głów odział go swoim kosztem bakałarz, nakarmił, opatrzył, a gdy się

wytrzeźwił i oprzytomniał, wymógł na nim przyrzeczenie, że pić nie będzie, obiecując mu rycerską służbę dobrą wyrobić przy jakim pańskim dworze. Zbilut otrzeźwiony zdawał się na wszystko zgadzać, przyrzekał bratu poprawę, lecz czym był w dzieciennym wieku, pozostał i teraz, to jest najchytrzejszym i najzepsutszym z ludzi. Umiał się ułożyć tak i przybrać pokorną i powolną powierzchowność, że bakałarz mu uwierzył. Tłumaczył się rozpaczą, do której go nieludzkość ojca

doprowadziła.

Pobył u Grochowiny, trochę więzienny, nie podobał się Zbilutowi, obawiał się tego draba, który pilnie miał na niego oko, wyprosił się więc do jakiegoś mieszczanina, z którym zrobił znajomość.

Przez dni kilka układał się tak dla Grzegorza, aby go nigdy pijanym nie zastał. Późno potem w noc wykradał się do browaru i tam pił do upadłego; a że piwnice naówczas, zwłaszcza odleglejsze, pełne były kosterów, z nimi też kości rzucał i kilka guzów oberwał. Złożył je na jakiś przypadek, a przed bratem ciągle statecznego udawał, powtarzając:

— Ja teraz nic, tylko wodę, abym głodnym nie był!

Chcąc go w służbę wojskową dać, musiał Grzegorz o konia, o zbroję, o miecz, o koncerz, o suknie i o rząd się starać, tak że co miał tylko grosza, wydał na to. Zbilut przyjmował dosyć wdzięcznie, ale potrzeby coraz nowe wynajdował, a potem obiecywał pokazać dopiero, co umie.

Bakałarz, któremu o te czasy przypadło razem starać się w Akademii o nowy stopień

mistrza (*magister*), bo ten mu był do dalszego pomieszczenia się potrzebnym, stać u boku króla, nieraz potajemnie być wzywaniem do królowej, a razem brata tego na ludzi wyprowadzać, nie miał jednej chwili wolnej.

Przybycie Zbiluta zubożyło go. Oddał mu, nie jak postanawiał połowę tego, co miał, ale niemal wszystko, co uzbierał. Lecz nie było mu strasznym ubóstwo, bo dla siebie nie potrzebował wiele, a cieszył się tym, że brata wyrwie z błota.

Wychwalał się tą szczęśliwą przemianą przed Frączkową, która, jako kobieta nie tak łatwowierna, uśmiechała się tylko i głową trzęsła. Nie wierzyła w poprawę zawadiaki i pijaka.

Właśnie gdy już mistrzem mianowany Grzegorz z Sanoka dla odrodzonego brata

spodziewał się znaleźć pomieszczenie we dworze wojskowym wojewody sandomirskiego, jednego dnia dano mu znać z gospody, w której przebywał, że porąbany, pijany, odarty ze wszystkiego Zbilut leżał w krwawych chustach, potrzebując więcej lekarza niż służby.

Grzegorz pospieszył do niego.

Potłuczony Zbilut, który miał się czas wytrzeźwić, nie przyznał się do tego, że go przy

kosterstwie odarto i posieczono, ale zmyślił baśń, jak go nocą łotrzykowie napadli. Przysięgał się,

że całe pijanym nie był i że stał się ofiarą zbójów.

Okazało się, że i kupiony koń znikł, bo go wzięli roztrucharze, i zbroi nie było, i sukni nie stało. Słowem, cała ta wyprawa, na którą Grzegorz w pocie czoła zebrany grosz oddał, marnie przepadła. Uwierzyć niezręcznym kłamstwom Zbiluta nie było podobna. Wahał się jeszcze brat, mówiąc sobie, że nałogowy i popsuty człowiek nie od razu poprawionym być może, chciał go ratować, lecz w kilka dni potem polepionego plastrami łotra zastał bez zmysłów spitego.

Wstręt i odraza, mimo litości, oburzenie go opanowało. Podniósł ręce, zakrył sobie oczy i zawołał do gospodarza:

— Czyż z nim, co chcesz, ja więcej o nim wiedzieć nie chcę! Jego nie uratuję, a siebie zgubię!

Lecz łatwiej to było powiedzieć, niż skutecznić.

Zbilut wytrzeźwiony, wylizawszy się, począł od tego, że resztę rzeczy sprzedał i przepił, potem stanął około zamku na czatach i czyhał na brata.

Ze zwykłą logiką ludzi jemu podobnych wywoływał głośno:

— Co to on sobie myśli, że ja mu tu będę z głodu marł, kiedy on u króla je i pije! Albow brat, albow nie brat, musi mnie tak trzymać, jak mi się należy. Ja swoje prawa znam i nie popuszczę!

Grzegorz uwiadomiony o tej napaści, która się na niego gotowała, z rezygnacją

chrześcijańską zniósł ten krzyż pański. Dopóki miał nadzieję, że uratuje człowieka, gotów był na wszelkie ofiary, zrozpaczywszy o tym, postanowił nie uczynić już nic, a upokorzenie znieść stoicko.

Szczęśliwy traf wyzwolił go od tego, co by go niechybnie spotkało, gdyby królowa w tajemnym poselstwie nie kazała mu jechać do Węgier do cesarzowej Barbary.

Gdy Zbigniew Oleśnicki wewnętrzne sprawy państwa, spory ze Swidrygiełłą, Krzyżakami,

z warchołami husyckimi załatwiać musiał, królowa tymczasem, w części bez wiedzy jego lub wcale mu się nie zwierając, przewidywała zawichrzenia w Węgrzech i Czechach, po niewieściemu przygotowując się z nich korzystać.

Nie miała nawet wstrętu do husytów, których Zbyszek odpychał jako kacerzy,

przysposabiając pomiędzy nimi stronnictwo, które by Kaźmirza małego na tron wezwać mogło.

Tak samo z pomocą cesarzowej Barbary, co ledwie do prawdy zda się podobnym,

spodziewała się już Władysławowi węgierską zapewnić koronę.

Zygmunt cesarz chorzał, Barbara z zimną krwią i przewrotnością najzepsutszej kobiety

spiskowała z królową Sonką, czyniąc jej nadzieję, że zaślubi Władysława i uczyni go panem na Węgrzech.

Zabiegi te były naówczas jeszcze zaledwie rozpoczęte nieśmiało, nikt o tych marzeniach

królowej matki nie wiedział oprócz cesarzowej Barbary, tymczasem jednak pilno się starano o pozyskanie ludzi wpływowych w Węgrzech i Czechach.

Królowej Sonce nie dosyć było dla Władysława polskiej korony, a prawdopodobnego

wielkorządztwa na Litwie dla Kaźmirza, upajała się tą myślą dziwaczną, że jej synowie panować będą nad Polską, Węgrami i Czechami.

Potworna myśl przeszło pięćdziesiątletniej cesarzowej Barbary, poświęcenie syna tej

kobiecie, której życie swawolne i bezwstydne dla nikogo tajemnicą nie było, wszystkie trudności tego olbrzymiego i zuchwałego planu nie odstręczały królowej Sonki.

Wiedziała ona, że zwierzyć się z tym nikomu nie mogła, bo nikt by nie pobłążył myśli

dzikiej i wstrętnej, zdawało się jednak Sonce, że powinna była pracować dla zapewnienia synom wielkiej potęgi i w ciszy nie ustawała knować w Węgrzech i Czechach.

Zabiegi jej okrywała tajemnica największa, a Grzegorz z Sanoka, którego sądu obawiała się królowa, tak mało wiedział o tym, jak i drudzy, bo mu nic nie mówiono. Sonka tylko znając go wiernym sobie i królowi, rozumnym i zręcznym, posługiwała się nim jako narzędziem, gdy

potrzebowała listy przewieźć lub przeznaczone do Węgier i Czech pieniądze.

Nadzwyczaj czynna królowa umiała milczeć, a synów tak przysposabiała do ślepego dla

siebie posłuszeństwa, iż najmniejszego z ich strony oporu spodziewać się nie mogła.

Władza jej nad dziećmi była nieograniczoną. Król Władysław, choć dorastał i wkrótce być

miał usamowolnionym, przy matce czuł się chłopięciem tylko, które skinienia jej słuchać musiało.

Niewidoczna dłoń pani na dworze poruszała wszystkim, nadawała kierunek, usuwała i

ściągała ludzi.

Dzieci swe umiała zręcznie przygotowywać do tego, co wedle myśli spełniać mieli, budziła w obu ambicję wielką, żądzę sławy i panowania.

Starala się też, przypatrzawszy rządowi Jagiełły, który sam przez się mało lub nic nie czynił, zahartować ich charaktery, aby nad sobą nikomu przewodzić nie dali.

Z Władysławem, rozmarzonym rycerzem, szło jej po myśli, gdy go do wojen i zdobyczy

podzegała, ale energii w nim takiej, jakiej pożądała, wyrobić nie mogła. Jak Jagiełło dobrym był, łagodnym, hojnym i miękkim. Obok męstwa, które już w chłopięciu zapamiętało było i niczym nie dające się ustraszyć, Władysław serce miał prawie niewieście. Potrzebował, aby go kochano, nie dbał, by się go lękał kto inny, oprócz wroga na polu bitwy.

Każmirz, równe obiecujący męstwo, zdawał się skłonniejszym do zahartowania i więcej w sobie zamkniętym.

Grzegorz z Sanoka, obcujący z nimi, musiał wedle skazówek królowej wpływ na obu wywierać.

Niechętnie pozbywała go się Sonka od dzieci nawet na czas krótki, lecz gdzie tajemnicę

potrzeba było zachować i przewieźć jakie słowo, które do niczyjego po drodze ucha dostać się nie powinno, tam mistrz Grzegorz jechać musiał.

I teraz więc dnia jednego znikł on z Krakowa, a nikt nie umiał powiedzieć, dokąd się obrócił.

Właśnie gdy Zbilut czatował nań, zapijając się po browarach i odgrażając na brata, Grzegorz był na drodze do Węgier.

Los chciał, by w nocnej jakiejś rozterce z łotrami, z którymi Zbilut przestawał, nie on pobity został, ale przeciwników swych pokaleczył. Schwytany z kosterami już nie po raz pierwszy, dostał

się do miejskiego więzienia i tu go znalazł Grochowina. Ten, znając już dobrze człowieka, a wiedząc, ile strapienia przyczynił Grzegorzowi z Sanoka, postarał się o to, aby go bez zbytniego rozgłosu po prostu z miasta wyświecono. Na próżno niepocziwy człek odwoływał się do mistrza brata i do królowej, ponieważ niejedyn już raz poszlakowanym był, wywiedziono go precz za miasto, a Zbilut wiedział, co go czekało, gdyby, mimo zakazu, był pochwyconym.

Gdy spełniwszy posłannictwo swe wrócił mistrz Grzegorz do Krakowa, brata już tu nie

zastał. Frączkowa, która się niepokoiła tym zbójem i rada była widzieć go wygnanym, miała o tym wiadomość. Zjawił się u niej Grzegorz i od niej posłyszał o tym, co Grochowinie był winien.

Rad był może, iż pozbył się ciężaru, ale pocziwym sercem odbolał tę stratę. Ojciec stary, który, jak Zbilut mu opowiadał, dotąd nie przebaczył ucieczki, i ten niepoprawny łotr składali całą jego rodziną. Czuł się sierotą.

Wincenty Kot z Dębna, który był przy królewiczu, z nauczyciela jego postąpił na

kanclerstwo, to go odrywało od młodych wychowalców, tym większy więc ciężar spadł na

Grzegorza z Sanoka. Musiał on prawie nieodstępnie towarzyszyć królowi i podzielać zabawy jego i zajęcia.

Młodzi Tarnowscy Amor i Gratus, dawni uczniowie, znajdowali się także na dworze.

Wszystkim im, nie wyjmując Kazmirza, Grzegorz umiał być miłym i zjednać ich sobie, chociaż żadnym pochlebstwem się o to nie dobijał. Owszem mówił im często prawdę, ale zarazem wesoło, dobrymi słowy, z serca płynącymi.

Królowa równie z niego była rada, chociaż surowego jego sądu obawiała się nieco i nie

zwierzała mu z tego, czego była pewną, że pochwalić nie mógł. Odznaczał się tym, że przekonanych dla przypodobania się nikomu nie zrzekał. Jak w Akademii gorszył starszych pomysłami nowymi, tak na dworze nieraz mu uniżający się i płaszcący ludzie nie mogli darować tego, iż niepodległym się okazywał. Lecz wiedziano, że na niego, raz go pozyskawszy, rachować było można.

Życie na dworze i przy królu wcale nie przeszkadzało Grzegorzowi po nocach ślęczyć nad

księgami. Właściwie, dzień dla niego był służbą, noc życiem prawdziwym, bo naówczas przy lampce zasiadał do obcowania z nieśmiertelnymi duchami swych ulubionych poetów i wczytywał

się w Plauta, którego naśladować usiłował. Żałował teraz i bolał, że za młodu przedsięwziąwszy wędrowkę nie przeciągnął jej za Alpy, do Italii tej, z której płynęły drogocenne rękopisma, słynące skarbnicami swymi.

Goszcząc raz na zamku biskup Zbyszek, który piękną łaciną Grzegorza cenił wielce i

przystając z nim, umyślnie może rozmowę zwracał na piśmiennictwo, aby go w inne nie

wtajemniczać sprawy, usłyszał to życzenie a raczej żal, iż mu nie dano było gościć we Włoszech.

Zmarszczył czoło i spojrzał bystro na młodego mistrza.

— Dziwnie się to składa — rzekł — bo życzenie wasze schodzi się z moją pilną potrzebą

wysłania zaufanego męża na dwór Ojca św. do Rzymu. Gdyby królowa jejmość i młody pan

zgodzili się na to, chętnie bym wam powierzył poselstwo moje. Nie od rzeczy by też było może, abyście suknię nosząc duchowną i święcenia kapłańskie otrzymali, a te z łatwością byście tam uzyskali.

Myśl ta uśmiechała się wielce Grzegorzowi, lecz nigdy się nie spodziewając, aby ją mógł

przyprawić do skutku, gdy nagle ujrzał bliską urzeczywistnienia, oniemiał prawie z podziwienia i radości. Okazywać jej jednak nie śmiał, bo będąc na usługach królowej nie wiedział, czy go odpuścić zechce. Wszystko więc pozostawił biskupowi Zbyszkowi.

Ile razy znajdował się w takim położeniu, w którym człowiek szuka kogoś, aby się z nim myślą i uczuciem podzielić, Grzegorz nawykł był zwracać się do dworku Balcerów.

Fraczkowa, prawda, była kobietą nieuczoną, jednakże przy tym mistrzu nabyła, przyswoiła sobie zdrowy sąd nawet w tych rzeczach, o których otwarcie powiadała, że się na nich nie znała i nie rozumiała. Słuchała Grzegorza i często zdumiewała go sądem zdrowym. Z nią zresztą mówił jakby sam z sobą, tak znajdował jej wyobrażenia pokrewnymi swoim.

I tym więc razem, rozkołysany myślą, że podróż do Italii przyjść może do skutku, poszedł się podzielić z Frączkową swoją nadzieją.

Już w progu, znając go dobrze jejmość, na twarzy wyczytała, że coś pomyślnego przynosił, bo mu się oblicze uśmiechało.

Nie spieszył jednak z dobrą wieścią.

— Cóż mi tam przynosicie — zapytała Lena siadając naprzeciw niego — bo czuję i widzę, żeście nie przyszli z próżnymi rękami.

— Otóżcie się omylili — rozśmiał się mistrz — bo na- prawdę tylko wiatr i dym przynoszą w nich! Nadziei wszelkich inaczej nazywać się nie godzi.

— A z jakąż nadzieją przychodzicie? — nalegała Frączkowa.

Grzegorz się wstrzymał trochę z przyznaniem do niej, przypomniał sobie, że jejmość nie była rada, gdy podróżował.

— Dawnom marzył — odezwał się w końcu — aby się do Italii dostać, bo to królestwo

ksiąg i nieprzebrane źródło nauki. Otóż, otóż się tak składa, że ks. biskup potrzebuje posła do Rzymu, a po drodze bym i o Bononię, i Padwę zawadził.

Skrzywiła się Frączkowa.

— Ks. biskup — zapytała głową potrząsając znacząco i ironicznie się uśmiechnęła — a wy, człowiecze dobroduszny, cieszyście się z tego?

Zdumiał się Grzegorz.

— A dlaczegóż radować bym się nie miał? — odparł niemal obrażony.

— Dlatego — poczęła Lena — że on by was rad ode dworu, króla i królowej oddalić, bo może wam rosnącego wpływu zazdrości, może się go obawia!

Grzegorz na chwilę się zadumał, ale gdy podniósł rozumne i spokojne wejrzenie na siedzącą naprzeciw Frączkową, która triumfowała ze swojej przenikliwości, wzrok jego niemal ją upokorzył, oznaczał on politowanie jakiegoś, miał siłę i wyższość, którą uczuła Lena.

— Przyjaciółko moja dobra — rzekł powoli — zaprawdę, zaprawdę w troskliwości waszej o

mnie wy nigdy wszelako nie zrozumiecie, do czego ja dążę i czego pragnę! Sądźcie, że wysokie stanowisko przy królu, że stanowczy głos w radzie, że udział w rządzie, mogą być dla mnie celem pożądanym i że ja o nie dobijać się myślę. Tak nie jest! Marne to są sprawy, które za sobą wloką troski wielkie, walkę i odpowiedzialność. Nie pragnę, a niech mnie Bóg strzeże, abym miał

wyřęczać lub zastępować biskupa Zbyszka. Panować nie chcę! Władzy nie pożadam, za mądrością gonię i jej szukam, a spokoju. Księga nowa, światło nowe, które pozyskam, droższe mi są niż dostojęstwa i skarby.

Na chwilę zatrzymał się, zamilkł, jak by chciał, aby słuchająca dobrze wagę słów jego pojęła.

— Tak — dodał — a jeżeliście mnie widzieli rzucającego cichy kąk w kolegium dla

zyskowniejszego stanowiska u Tarnowskich, potem od nich przechodzącego w służbę królowej, nie sądzicie, abym to czynił dla władzy i marzeń o dostojęństwie. Wszystko, nawet mądrość kupować potrzeba. Chciałem mieć za co nabyć sobie Plauta i Terencjusza, a na później, na starość zabezpieczyć kąk i strzechę, pod którą bym nie łaknąc chleba powszedniego mógł ich czytać i rozmyślać nad nimi. Nie troszcz się więc, dobra przyjaciółko moja, o los Grzegorza, który sam o niego inaczej się nie troska, tylko aby mu dał spokój do pracy.

Lena założywszy ręce na piersiach milczała i patrzyła nań.

— Rozumiem i nie rozumiem — odpowiedziała po chwili. — Można juści marnościami

świata pogardzać, ale gdy tym światem ku lepszemu pokierować człowiek ma zręczność, czemu by z niej nie korzystał. Nie dla siebie, a dla świata!

— Jejmość moja — śmiejąc się odparł Grzegorz — ostrożnie, abyśmy nie zabłądzili oboje

na manowce filozoficzne! Sądzisz, że kto oprócz Pana Boga i jego wyroków kieruje światem.

Sądziysz, że Zbyszek, któremu się zda, że prawa dyktuje, jest czym innym, jak narzędziem w ręku Opatrzności. Mylisz się! Każdy powinien czynić, do czego się czuje powołanym, a o resztę się nie troszczyć. Mnie do Włoch woła poządliwość ksiąg i światła, pójdę za nią, a Bóg sprawi, że moja praca na użytek powszechny się obróci.

Frączkowa tą nauką daną sobie trochę się czuła może obrażoną i odparła żywo:

— Sądziysz więc, że ja się mylę i że Zbyszek nie ma na myśli cię odepchnąć?

— Owszem — obojętnie rzekł Grzegorz — przyjmuję to przypuszczenie jako możliwe i

trafne, ale wzruszam ramionami na to. Obawia się biskup właśnie tego, co mu najmniej grozi.

Współzawodnikiem jego być nie myślę.

— A oddalenie się od młodego króla — przerwała żywo Lena — nie dozwoliż innym was z

jego łaski wyrugować, a samym się w nie wcisnąć?

— Nie sądzę — spokojnie rzekł Grzegorz — lecz gdyby tak było nawet, nie smuciłbym się

zbyt. Król młodym jest, wszystko co może zawinić, spadnie na doradców i przyjaciół jego, nie chcę za niego odpowiadać.

— Jam zawsze co najmniej marzyła dla was o kanclerstwie — westchnęła Lena — ale

widzę...

— Że ja probostwem się zaspokoję! Dobra prebenda starczy! — zamknął Grzegorz z

Sanoka.

— I pojedziesz do Italii?

— Z wielką radością — odparł prędko Grzegorz. — Pomyślcie ino, nie mamy w Krakowie

dotąd jednego całego Cicerona braknie nam wielu pisarzy łacińskich, bez których kalekami jesteśmy. Natomiast traktatów o filozofii, która jest bałamuctwem złożonym z formulek

dziecinnych, aż nadto. Czas radzić, aby przyszłe pokolenia nie ogłupiały!

To, co mówił Grzegorz, zdawało się przechodzić granice wiedzy i pojęć Frączkowej, lecz

choć może niejasnym dla niej było, tyle razy toż samo powtarzane słyszała z ust mistrza, iż jej to nie było obcym.

Dała głową znak potakujący, jak by mówiła:

— Powtarzasz mi starą piosenkę. Ale twarz jej smutkiem się oblekła.

— Podróż za góry — westchnęła — pełna niebezpieczeństw i trudności.

— Dla tych, co ją odbywają z trzosem nabitym, bo ich hultaje na drodze obdzierają a pod czas i zabijają, ale ja mamony z sobą wieść nie będę i zaśpiewam zbójom, to mnie puszcza.

Choć mistrz rozmowę starał się wesołą uczynić, Fraczkowa się zasepiła. Wołałaby była, ażeby nie jechał.

Nazajutrz powołano go do królowej, która go byстрыm wejrzeniem zmierzyła.

— Czyście wy się sami nastęczyli biskupowi do poselstwa? — spytała.

— Nie — rzekł Grzegorz — bom o potrzebie wyprawienia posła nie wiedział, ale przyznać się muszę miłości waszej, że gdybym był zawiadomiony, byłbym popełnił ten grzech, bom z dawna do Rzymu i Włoch wzdychał.

— Ale wy mi możecie być lada chwila bardzo potrzebni — odezwała się królowa głos zniżając i krokiem poważnym, ale żywym, jak zawsze parę razy przesunęła się po izbie zadumana.

Zwróciła się potem do Grzegorza.

— Nie chciałabym, aby biskup zawczasu wiedział, że ja na was rachuję, więc i od tej podróży nie będę was odciągała. Jedźcie.

Tu stanęła bliżej i palec podnosząc dodała:

— Jedźcie, lecz nie bawcie tam. Poselstwo sprawcie prędko. Ojciec św., gdy zażądacie, da wam odprawę rychło. Ja tu na was rachuję. Jesteście mi przy Władysławie potrzebni, a kto wie — szepnęła tajemniczo — może i gdzie indziej. Gdzie indziej! — powtórzyła z naciskiem. — Nie będziecie żalowali służby waszej u mnie.

Grzegorz się skłonił, a królowa po chwili dokończyła patrząc nań, aby wiedzieć, jakie to na nim uczyni wrażenie.

— Probostwo w Wieliczce pono opróżnione, postaram się, aby wam je dano. Będziecie je mieć, ale do czasu milczcie.

Grzegorz ucałował wzruszony rękę królowej, która żywo powtórzyła:

— Wracajcie szybko. Ja tu nikogo nie mam, komu bym się zupełnie zwierzyć mogła...

Chciała mówić wyraźniej i zawahała się nieco.

— Nie skarżę się na zdradę — ciągnęła dalej — ale nie wszystko, co czynię, chciałabym rozgłaszać przed światem, a nawet przed tymi, co jak biskup dobrze mi życzą.

Na twarzy królowej Sonki błysnął przelotny promyk dumy i pewności siebie.

— Ja kobietą jestem i po kobiecemu to czynię, co inni po męsku może by w różny sposób od mojego chcieli zdobyć. Okaże się, komu się lepiej poszczęści!

Uśmiechnęła się królowa ironicznie trochę i natychmiast wróciła do powagi zwykłej.

— Jedźcie, gdy potrzeba — rzekła — bo biskupowi odmawiać nie możecie, ale pamiętajcie, że powracać wam należy szybko, jeśli mnie służyć chcecie. O probostwie w Wieliczce nie mówcie nikomu, ja wam je przyrzekam i mieć je będziecie.

Dzień to był, w którym nie dano Grzegorzowi spoczynku. Biskup Zbyszek wzywał go do siebie. Podróż do Włoch była postanowioną. Pisano listy do papieża, biskup ustnie dawał instrukcje. Sobór bazyilejski i wszystkie spory i trudności, jakie wywoływał, były przedmiotem głównym poselstwa. Sprawy kościoła polskiego, obsadzenie katedr, stanowiły także ważne zadanie, które biskup Zbyszek chciał powagą Stolicy Apostolskiej rozstrzygnąć.

Wszystko to miał przedstawić w Rzymie Grzegorz z Sanoka, ale dla niego Padwa i Bolonia, skarby, które się spodziewał zdobyć, stanowiły największą tej podróży ponętę.

Jak wszystkie umysły mające przecucie i przekonanie, że nauki postępu uczynić nie będą mogły, dopóki nie przejmą spuścizny po starożytnym świecie, Grzegorz z Sanoka w pisarzach dawnych widział kierowników odrodzenia i przyszłości. Równie z nim namiętnie inni też uczeni poczynali poszukiwać zaginionych pomników. Z nich mówił jakby głos zamilkły długo, który miał być hasłem dla postępu. Może w tych chwilach rozbudzenia czci dla pogańskich pisarzy i mądrości bałwochwalstwo dla nich było przesadzonym, może ono z trudnością dawało się pogodzić z nauką chrześcijańską, lecz w przekonaniu tych pierwszych karczowników, odgrzebujących gruzy, dobywających arcydzieła, świat pogrzebiony powinien być z żywym się przejednać, a wnuki przyznać do praojców.

Z tym gorącym pragnieniem światła Grzegorz z Sanoka, o którego podróży celu mało kto był uwiadomionym, wybierał się z Krakowa.

Król Władysław nie wiedział dotąd o niej. Nie mówiła mu o niej matka, biskup nie znajdował potrzebnym wtajemniczać go w te sprawy.

Młodego pana dotąd kształcono rycersko, dawano mu się zabawiać z rówieśnikami, lecz zawczasu nie obciążano go zawikłanymi interesami kraju. Biskup zawiadamiał go tylko o głównych wypadkach i tłumaczył mu je tak, aby zdanie jego i rady sobie przyswoił. Władysław też wcale nie pragnął mieszać się do tego, co za niego matka i biskup szczęśliwie spełniali. Rwał się tylko do wojny, resztę chętnie by był zdał na innych. Matka i Zbyszek tak go przyzwyczaili do tego, aby się nimi wyręczał, iż Władysław wcale jeszcze woli swej nie miał. Wszystkie młodości upodobania i żądze przedwcześnie dojrzewającego pochłaniały. Matka czuwając, nie stawała im na przeszkodzie.

Wśród najprzykrzejszych zajść na Litwie, układów z przewrotnymi Krzyżakami, młody pan mógł swobodnie zajmować się swymi końmi, zbrojami, ludźmi, których dla siebie jako straż wybierał i stroił, turniejami, wyścigami i wesołymi zabawami z Tarnowskimi.

Matka dawała czasem wskazówkę, niekiedy surowsze napomnienie. Król naówczas ręce jej całował, rzucał się jej do kolan lub na szyję i odchodził szczęśliwy, że ją widział weselszą.

Nauki matki wszystkie jedno żywiły uczucie, ambicję bohaterstwa i panowania, zdobyczy ogromnych państw, znaczenia i sławy.

Królowa Sonka nie wahała się nawet po cichu boleć przed synem, iż nieboszczyk Jagiełło nie umiał korzystać z tego, co mu się niemal narzucało. Władysław obiecywał jej śmiejąc się, że pójdzie choćby na skraj świata zdobywać, wrogów gromić i ziemie zagarniać.

Wśród wrzawy na pokojach młody pan próbował przywiezionej zbroi, którą Tarnowscy i kilku dworzan oglądali na nim i wychwalali, gdy wszedł Grzegorz z Sanoka.

Poważnej jego postaci i sukni Władysław wcale się nie obawiał. Kazał mu więc przypatrzeć się sobie i powiedzieć, jak zbroję a szczególnie szyszak znajduje, na którym lew i orzeł osadzeni byli. Jaskrawo wyszywane i wystrzygane misternie wiesidła spadały po obu stronach i leżały na ziemi teraz (lambrekiny), bo uzbrojenie do konia przeznaczone było. Królowi pięknie było w tym stroju, a spod otwartego hełmu śmiała się młoda twarz pełna ognia i życia.

— Mistrzu, co mówisz na moją zbroję? — wołał król.

— Że się na niej nie znam i gdybym ją pochwalił — rzekł Grzegorz — moja pochwała nic by nie była warta.

— Tak jak moja, gdybyś mi czytał twojego ulubionego poetę — odparł król.

— Jeszcze mniej — rzekł Grzegorz.

Z oczów mistrza wyczytał pewnie Władysław, że nie darmo przychodził, i że coś mu miał do zwierzenia, a że się domyślał poselstwa matki, zwrócił się doń szepcząc:

— Masz co do mnie?

— Chcę waszą miłość pożegnać — rzekł cicho Grzegorz. Król posłyszawszy to, prędko

oburącz uwolnił się naprzód od hełmu, który śmiejąc się obok stojącemu Amorowi wcisnął na głowę, potem począł zbroję ściągać, do czego mu inni dopomogli, i z Grzesiem poszedł w drugi koniec izby.

— Dokąd jedziesz? — zapytał.

— O podróży tej albo biskup Zbyszek, lub królowa lepiej zawiadomią waszą miłość — rzekł Grzegorz. — Jadę, bo mnie posyłają.

Król się zmarszczył.

— A jam temu nierad — rzekł — bo mi was brak będzie. Wy jesteście moim rozumem i gdy mi zabraknie własnego, zwracam się do was jak do dzbana, kiedy kubek próżny.

Obie ręce położył młody król na ramionach ulubionego mistrza i serdecznie spojrzał nań łagodnymi oczyma swymi.

— Jedziesz — rzekł — jedź, gdy trzeba, ale wracaj do mnie prędko.

Tu zniżył głos.

— Nie chcę, aby mi tu was jaki inny zastąpił, z którym by mi nie było tak dobrze jak z wami.

Tak był nawykły Władysław do posłuszeństwa rozkazom matki, że więcej dopytywać nie chciał. W tej chwili tylko myśl mu przyszła.

— Nie wiem, dokąd cię ślą, może to być tajemnicą, ale jeżeli będziesz w jakim kraju, gdzie oręż i

zbroje są piękne, kup ich dla mnie.

Grzegorz głową skinął na znak zgody.

— Jeżeli się na nich poznać potrafię — dodał.

— Ty! — wtrącił król. — Ty znasz się na wszystkim! Wyszedł mistrz i tegoż wieczora już go nie było w Krakowie.

Są ludzie tacy, mało na pozór znaczni, których gdy zabraknie, pozostawiają po sobie niezapelnioną próżnię. Grzegorz należał do nich. Nie występował on nigdy naprzód ani myślał o narzucaniu się ludziom, a mimo to trudno się bez niego obejść było. Każdy w nim czuł rozum, pojęcie bystre i szanował jego zdanie. Gdzie zachodziła wątpliwość, nawet w rzeczach obcych na pozór jego powołaniu, odwoływano się do niego.

Zabrakło go na zamku krakowskim, a już o tym, jak brak było codziennego gościa w dworze Balcerów, mówić nie potrzebujemy. Frączkowa chodziła milcząca i zafrasowana, a stara Balcerowa nic nie mówiąc śledziła jej kroki i pieśczośliwie głaskała pod brodę.

W kolegiach też, choć Grzegorz nie nauczał, nieraz za nim zatęskniono. Tu wszelki spór zwykle, jeżeli nie poddawano rozstrzygnięciu jego, przynajmniej bez zasiągnięcia zdania się nie obszedł.

Z powołania nie teolog, wcale w filozofią scholastyczną nie wtajemniczony, bo się z niej wyśmiewał zuchwale, choć nigdy wyłącznie się nie zaimował ani nauką natury, ni le- kami, ni matematyką, miał Grzegorz we wszystkim dość wiadomości i rozeznania, aby dojrzeć i rozeznąć fałsz od prawdy. Na swój czas zdumiewające były i rażące zdania jego, które wyprzedzały o wiele przyjęte naukowe :aksjoma-ta. Nie rozumiano go często, oburzano się czasami, lecz żywsze umysły miały jasnowidzenie, że prawdę głosił. Obawiano go się i szanowano.

W Akademii więc tęskniono za mistrzem Grzegorzem. i W tych tęsknotach i wyglądaniu niemal cały rok upłynął. Listy naówczas tak chodziły powoli, jak ludzie. Powierzano je podróżnym, kupcom, z rąk do rąk przechodziły, ginęły, a gdy się dostały do swego przeznaczenia, częstokroć ten, co je pisał, sam już także przybył z powrotem. Ta cisza głucha oczekiwanie' czyniła tęskniejszym, można się było dorozumiewać wszystkiego złego i roić najstraszniejsze katastrofy.

Łatwo więc pojąć radość tych, co po kilku miesiącach trwogi witali wędrowca z powrotem.

Grzegorz z Sanoka zjawił się naprzód na zamku, aby sakwy podróżne złożyć w starym mieszkaniu, potem szedł do dworu biskupa zdać mu sprawę z tego, co widział, słyszał i co mu zlecono w Rzymie. Zbyszek zatrzymał go wieczór cały i część nocy. Oprócz listów, świadek naoczny

przywoził papieskie życzenia i rozkazy. Położenie Ojca św. wobec soboru i zawikłanych spraw, które się rozstrzygały, było trudnym a nawet groźnym. Biskup Zbyszek odczuwał to mocno, bo mu na powadze Stolicy Apostolskiej wiele zależało, a lękał się, aby sobór nią nie zachwiał.

Późno w noc ledwie mógł powrócić na zamek Grzegorz, gdzie już i królowa, i młody król, dowiedziawszy się o przybyciu, dopominali się o niego.

Nazajutrz dopiero, po rannej mszy, mógł się królowej pokłonić. Nie spytała o nic, rada tylko była, że go miała z powrotem.

Pierwsze słowo, które mu rzekła, było:

— Gotujcie się do nowej podróży, będzie ona potrzebną rychło.

Król Władysław na szyję mu się rzucił radośnie, Grzegorz po kilku miesiącach niewidzenia ze zdumieniem postrzegł, że urósł znacznie.

— Przywiozłeś mi zbroję, mieczyk, tulich?

— Miłościwy panie! — rzekł mistrz wesoło. — Wiadoma to rzecz, że się w podarku tym,

których się miłuje, nie daje żelaza ani ostrza. Ledwie jedną tarczę i szyszak zdobył, ale się ich nie powstydzę.

Niecierpliwy król natychmiast pachołków posłał po obiecany gościniec.

Hełm był przedziwnej roboty, ale tarcza krągła pik niejsza jeszcze.

Pierwszy wyrobem włoskim był, wielce kunsztownym, lecz nikał przy tarczy krągłej,

przywiezionej ze Wschodu złotem dźwirowanej, nasadzonej kulami złocistymi, wokoło której jak wieniec tajemniczy okręcał się napis niezrozumiały.

Król jak dziecię się nią zabawiał.

Grzegorz mógł teraz już pójść tam, gdzie mu najpilniej było, do dworku Balcerów, niosąc pod suknią poświęcane różańce i sznury koraliki dla obu jejmości.

Tu jeszcze nie doszła była wieść o jego powrocie. Frączkowa od miesiąca w łóżku leżała chora.

Nie wiedziała sama, co jej było, nie rozumiała choroby i matka Balcerowa, ale sił brakło i ochoty do życia. Pobladła i wychudła biedna, a mąż na próżno lekarzy i jadła najwymyślniejsze sprowadzał dla niej.

Gdy w pierwszej izbie wchodzący się Grzegorz ukazał, a Balcerowa radośnie wykrzyknęła,

tak że w sypialni aż głos jej słychać było, stał się cud prawie, Frączkowa, która z łóżka się nie mogła podnieść wczoraj, narzuciła na siebie suknię i chustę, i nim się przybyły z matką rozmówił, wybiegła z krzykiem radosnym, obiema rękami chwytając odzyskanego.

Ale wnet, jak by ją ten wysiłek wyczerpał, wpółomdląła zawisła na rękach matki.

Mdłość ta nie trwała długo, otworzyła oczy jasne i nowym blaskiem ożywione, a Grzegorz posadziwszy ją w krześle podróż swą opowiadać zaczął, dobywając podarki.

Stary Balcer i Frączek znaleźli się tu wnet także na powitanie wędrowca. Znajdowano go opalonym, przychudłym, ale jakby pokrzepionym tą pielgrzymką.

— Teraz już nie pragnę nic — rzekł — bo chyba bym do Grobu Pańskiego jeszcze mógł

tęsknić. Widziałem Rzym i zwiedziłem te stare gniazda, w których się nauka pielęgnuje. A nie powróciłem bez zdobyczy i owoców. Czegom kupić nie mógł, tom nocami przepisywał, a czegom nie zdołał skopiować, dobrzy ludzie powierzyli mi lub dla mnie odpisywać kazali. Na całe więc życie moje mam nad czym ślęczyć, a czegóż mi więcej potrzeba.

— I dosyć już tych podróży! — zawołała Frączkowa. Mistrz westchnął.

— Dla mnie byłoby ich już dosyć — rzekł — alem sługą, a zatem niewolnikiem. Wszyscy poczęli go zarzucać pytaniami, a było opowiadać

O czym, począwszy od kraju, którego niebo i słońce, rośliny i zwierzęta wydawały się jakby z czarodziejskiej baśni wyjęte mieszkańcom Północy, aż do gmachów, o jakich tu nie miano pojęcia, ludzi i obyczaju osobliwego. Grzegorz mówił z żywością młodzieńczą o wszystkim, słuchano go z poszanowaniem.

Tegoż dnia witał w kolegium mniejszym dawnych towarzyszków przywożąc im apostolskie błogosławieństwo.

Tu badano go chciwiej jeszcze, ale właśnie na te pytania, których odpowiedź była

najpożądaną, Grzegorz miał usta zamknięte. Natomiast z zapalem prawił o rękopismach, o pisarzach, komentatorach, o wszystkim, co w Bolonii i Padwie oglądał i czego się tam nauczył.

Twarz jego promieniała, gdy się o tym rozwodził, a starzy nauczyciele ze złożonymi wtórowali mu rękami.

Jednych Kościół, drugich nauka ciągnęły do tych Włoch, które przestawszy panować światu

mieczem, królowały mu duchem i stanowiły jakby zadzierzgnięty węzeł, który miał całą ludzkość jednoczyć.

IX Nadchodziła jesień i mistrz Grzegorz cieszył się dłuższymi wieczorami, które wcześniej dozwalały zamknąć się przy lampce nad księgami. W zamku i w mieście dzień kończący się rychlej do spoczynku napędzał, zabawy przerywał, a jemu dawał wolność usunięcia się do komory, w której obcował z duchami przeszłości.

Biskup Zbyszek, chociaż przyjazny i życzliwość okazujący towarzyszowi króla, nie odrywał

go bynajmniej ani od jego nadzorczych obowiązków, ani od ślęczenia nad ulubionym Plautem i Wergilim. Posługiwał się czasami łaciną łatwą i piękną Grzegorza, ale go do tajemnic kancelarii swej nie przypuszczał. Znaćca ludzi, otaczał się chętniej takimi, którzy mu ślepo będąc posłuszni nie mogli być niebezpiecznymi. W Grzegorzu z Sanoka, gdyby do spraw rządowych był użytym, biskup słusznie obawiał się niezależności, z którą walczyć by musiał. Nigdy też uczony nasz nie okazał najmniejszej chęci mieszania się do tych ciężkich zadań, jakie na biskupa ramionach leżały.

Stał na uboczu, hamując zbyt żywe porywy rycerskie młodego króla, posługując królowej, gdy rady jego i pomocy potrzebowała.

Właśnie może ta wstrzeźliwość i pomiarkowanie Grzegorza jednały mu królowę Sonkę.

Nie było dnia, ażeby go nie powoływała, dając skazówki co do postępowania z Władysławem.

Mistrz słuchał ich, nie sprzeciwiając się, chociaż nieraz w duchu się im dziwić musiał.

Niespokojna o przyszłość matka zdawała się głównie dzieci chcieć natchnąć żądzą panowania, wielkości, podbojów, co według Grzegorza na umysły młode niebezpiecznie działać mogło.

Od powrotu z Włoch, nie wtajemniczony w to, co się knuło na dworze i w otoczeniu Sonki,

Grzegorz widział jakiś ruch, niepokój, krzątanie się gorączkowe, których celu pojąć nie mógł.

Szczególniej uderzały go nieustanne przesyłki, posły i listy, które z Krakowa do

Wyszehradu, Budy i Pragi biegały.

Stąd też przybywali często ludzie, którzy choć usiłowali grać rolę mało znaczących,

kupców, klechów, rycerzy najemnych, wydawali się mimo woli postawą i obejściem, jako mężowie znaczenia i dostojęstwa wielkiego. Tych z najrozmaitszymi ostrożnościami, pod różnymi

pozorami, zwykle przyprowadzano tajemnie do królowej, która miewała z nimi narady.

Ponieważ biskup Zbyszek albo wcale o tym nie wiedział, albo nie chciał dać poznać po

sobie, że był wtajemniczony, cała ta jakaś robota skryta zdawała się dziełem królowej.

Ilekoć się trafiło, że podobny przybysz ukazał się w Krakowie, poznać było można po królowej, iż ważne jakieś przywoził wieści. Była zajęta, niespokojna, uradowana albo gniewna.

Grzegorza z Sanoka dotąd nie wzywano nigdy ani do narad, ani do pomocy; a wysyłając go z pismami poufnymi na Węgry, królowa nie zwierzyła mu, ani co zawierały, ani nawet, dla kogo były przeznaczone.

Tak samo jak z Wyszehradem i Budą, ciągle się z bliższą Pragą znoszono. Tu czujnego oka

biskupa Zbyszka starano się widocznie uniknąć, a Grzegorz łatwo rozumiał przyczynę. Biskup wcale mieć nie chciał do czynienia z kacerzami, za jakich uważał nawet tych husytów, dla których sobór bazylejski skłaniał się do powolności. Nawet korzyści państwowe, jakie Polska wyciągnąć mogła, stając po stronie nowatorów, nie zdołały biskupa pociągnąć i przejednać. Dla niego jedność i zgoda z Rzymem, posłuszeństwo Stolicy Apo- stolskiej, było pierwszym warunkiem

zapewniającym przyszłość Polski.

Ci, co z Czech przybywali do królowej, po pewnych znakach łatwo się kazali domyślać, iż do katolickiego obozu nie należeli.

Z rozmów z królową, jakkolwiek ostrożną, gdy one o religię potraçały, Grzegorz z dawna

wyrozumiał, iż Sonka do kacerstwa wielkiej nie przywiązywała wagi i gotową była podać mu rękę, byle ono synom jej zapewniło wpływ lub owładanie Czechami. Zdradzała się czasem z tą myślą, że tron czeski przysłałby młodszemu Kazimierzowi.

Mistrz nie objawiał wcale swojego zdania w tych sprawach, słucał i badał, lecz stał

zupełnie na stronie. Nie okazywał też takiej zażartości przeciwko husytom w ogóle, jak biskup Zbyszek, który na wspomnienie ich burzył się, dowodząc, że z tego nasienia wyrosnie chwast, którego wieki wyplenić nie potrafią. Szczęśliwym był Grzegorz, iż mógł nie mieszać się wcale w tę walkę, nad którą ubolewał.

Ten pozorny chłód jego i obojętność, a wypróbowana wiara, sprawiły, że królowa się nim chętnie posługiwała, gdzie trzeba było, nie pytając, coś spełnić i zachować tajemnicę.

Jednego jesiennoego wieczora, gdy młody król już znużony przejażdżką poszedł na

sposzynek, a Grzegorz zabierał się do pracy i lampkę swą włoską zapalał, pacholik z komorników królowej przyszedł go wezwać do niej.

Godzina była trochę spóźniona, sprawa więc pilną być musiała.

Gdy mistrz zjawił się na progu komnaty, królowej, znalazł ją siedzącą u stołu i spieszenie kartę jakąś chowającą za suknię.

Słynna ta niegdyś piękność, była dotąd jeszcze niewiastą pełną majestatycznego wdzięku, oczy jej cały dawny blask zachowały, ale dziś była to nie owa urocza Sonka, która wszystkich, co się do niej zbliżali, czarowała, matka tylko i królowa. Stroiła się zawsze i lubiła, aby jej okazywano cześć, a wrażenie, jakie czyniła na ludziach, szmer godzi- wienia i zachwyty nie był jej obojętnym, ale teraz ta władza, jaką mogła mieć nad nimi, służyła za narzędzie tylko do wyższych celów.

Gorączka jakaś trawiła ją i nie dawała spoczynku.

Lękała się widocznie, ażeby biskup i syn nie usunęli jej od udziału i wpływu w rządach, nie chciała z rąk puścić tego, co raz pochwyciła. Z biskupem potrzeba było postępować ostrożnie, z synem tak, aby się spod władzy nie wyzwolił. Ta nieustanna potrzeba baczości, ta obawa ciągła, nie dawały jej spoczynku.

W wewnętrznym zarządzie krajami Korony i Litwy królowa za ledwie mogła ogłędnie

bardzo dopilnować, aby nie przyjaciele jej nie zdobyli stanowisk ważnych, za ledwie śmiała biskupowi podszeptać lub przez jego przyjaciół poddać, kogo życzyła, a kogo się obawiała. Za to cała jej czynność i zabiegiwość zwracała się ku stosunkom zewnętrznym. Tu pragnęła okazać całą swą przebiegłość i umiejętność, tu na sercu jej leżało dokazać cudów i zdumieć wszystkich.

Ni mniej, ni więcej szło o zawładanie Węgrami i Czechami, chociaż żył jeszcze cesarz

Zygmunt i córka jego, której mąż był naturalnym spadkobiercą praw Luksemburczyka.

W Pradze i na Węgrzech zawiązywano stosunki, jednano przyjaciół i cesarzowa Barbara

rozniewana na zięcia i córkę własną, z pomocą brata hr. Cilly i synowca, zdawała się nieobcą zuchwałym planom królowej Sonki.

Tajemnice tych knoń nie były jeszcze zdradzone. W tym roku właśnie ukoronowano

Barbarę w Pradze, ale cesarz, mąż jej, zapadał na zdrowiu. Szemrano, że mu długiego życia obiecywać nie było można. Cesarzowa już rachowała na to i potajemnie skupiała około siebie zwolenników.

Gdy Grzegorz z Sanoka wpadł, zwróciła się żywo królowa ku niemu.

— Potrzebuję was — rzekła. — Nie pytajcie mnie o cel podróży, spełnijcie tylko, co wam

polecę. Nieprawdaż, iż na wierność waszą rachować mogę? Jest tu Czech, który was przeprowadzi.

Pojedziecie z nim do Pragi, nie wiem zresztą, dokąd wypadnie. Oddacie listy hrabiemu Fryderykowi Cilly, bratu cesarzowej, nie potrzeba, aby was tam widziano i znano jako mojego posła. Królowa mówiła pospiesznie, żywo, jak by długo wprzód nagromadziwszy to, co miała powiedzieć, a mimowolnie teraz gorączkowo, starając się do razu całą myśl swą wyrzec i wrażenie jej pochwycić. Wlepiła oczy w słuchającego z powagą i chłodem Grzegorza.

Ten milczał jeszcze, Sonka wstała z siedzenia i zbliżyła się ku niemu.

— Pojedziecie do Pragi, zdacie mi sprawę z tego, co tam będziecie widzieli i słyszeli. Być może, iż Cilly powoła was potajemnie do cesarzowej, że ona pytać będzie o mnie,

O syna...

Tu zarumieniła się królowa, srom ją jakiś ogarnął. Nie chciała przyznać, co miała w myśli.

— Miłościwa pani — rzekł Grzegorz — spełnię wiernie, co mi polecicie, lecz że nie dość jestem świadomym kraju i ludzi, trzeba by się upewnić o przewodniku, abym ja za jego niezręczność nie odpowiadał, jeżeli w tym tajemnica jest potrzebna.

— Tajemnica — przerwała gorąco królowa — tajemnica jest wszystkim! Nikt z otoczenia cesarskiego wiedzieć o was ani się domyślać nie powinien.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — wydaje mi się to trudnym bardzo, gdyż cesarz, jak głoszą, chory jest i cesarzowa Barbara przy nim być musi.

Sonka wzruszyła ramionami, oczy jej błysnęły.

— Cilly i cesarzowa — rzekła — stanowią jedno, Zygmunt drugie. Sprawa ta wcale cesarza nie tyczy i on o niej wiedzieć nie ma. Nie wchodźcie w to więcej, dowiedcie się, gdy przyjdzie czas.

Mistrz skłonił głowę.

— Zastosuję się do woli miłości waszej — rzekł pokornie.

— Czech Biedrzyk, którego wam daję — dołożyła królowa — świadom jest tam wszystkiego, zręczny i przebiegły, możecie mu zaufać, bo wam przystęp do Cillego ułatwi.

Przeszła się, dłoń przykładając do gorącego czoła, i poczęła dalej:

— Jeżeliby cesarz zachorował niebezpieczniej albo się gorszego czego spodziewać można, naówczas pospiesznie dacie mi znać.

To mówiąc Sonka dobytego już zapieczętowanego listu i wręczyła go Grzegorzowi. Ręka jej drżała.

— Me omylcie się — rzekła — list jest do Fryderyka Cilly, a dwu ich tam znajdziecie.

Jeżeli cesarzowa wezwie was do siebie, a pytać będzie o króla...

Tu głos jej zadrżał.

— Powiecie, że jest ślicznym młodzieńcem, że żadnego z rycerskich przymiotów mu nie braknie.

Grzegorz słuchał i na myśl mu tylko przyszło, iż z którą pokrewną cesarzowej młodego Władysława swatać chciano.

— Miłościwa pani — odważył się wtrącić — łącno domyśleć się, iż widoki, dla przyszłości króla naszego kochanego, swatać go każą, lecz lepiej by stokroć było tę myśl za wczesną małżeństwa oddalić, młody jest...

Sonka wstrząsnęła ramionami niecierpliwie.

— Królowie — rzekła żywo — rządzić się muszą innymi względami i poświęcać dla nich.

Gdy idzie o zdobycie panowania, co znaczy jakieś małżeństwo, wczesne czy późne, z starszą lub młodszą niewiastą.

Grzegorz mimo całej powolności swej dla królowej nie mógł stłumić w sobie żalu, jaki go ogarnął. Kochał króla.

— Miłościwa pani — odparł — po cóż królowi starać się o rozleglejsze królestwo i większe troski? Nie masz on dosyć ziem i ludzi?

— Królowi żadnemu nigdy dosyć być nie powinno! — zawołała nakazująco i prawie gniewnie królowa.

Wzrok jej dopowiedział reszty.

Zamilkł Grzegorz z Sanoka, królowa przechadzać się zaczęła.

— Jutro rano przyjdzie zabrać was z sobą Biedrzyk — rzekła — ale nie potrzeba, ażeby was z sobą widziano ani mówiono o tym, z kim i dokąd jedziecie.

Wysłuchawszy urywanych przestróg i zaleceń królowej, Grzegorz nareszcie komnaty jej

opuścił, zadumany i smutny. Wiedział już i przeczuwał, że jego ulubiony pan młody, zaledwie się rozwijający do życia, poświęcony zostanie jakimś rachubom politycznym. Trapiło go to, chociaż nie przypuszczał całej poczwarności planu, który knowano.

Zamiast zasiąść przy lampce do książki, musiał myśleć

O tym, jak się do tajemniczej przygotować podróży. Spokojnej izby i życia żał mu było.

Rozglądał się jeszcze dokoła, gdy do drzwi zapukano i nieznajomy zupełnie człowiek

wsunął się z pokłonem, ciekawie wlepiając oczy w mistrza. Łatwo się było w nim domyśleć

zapowiedzianego na dzień jutrzejszy Biedrzyka i z cicha przedstawił się gospodarzowi, jako przez królowę przysłany.

Do tej roli, jaką odegrywał, lepiej dobrać nie było można człowieka. Ów Biedrzyk

podobnym był tak do tysiąca innych ludzi, twarzą, postawą i dobraną do nich odzieżą, tak się wydawał pospolitym, nie znaczącym, tak trudno było w nim pochwycić jakieś znamię zdradzające, kim był i czym się zajmował, że Grzegorz chwilę stał zdumiony, nie mogąc nawet oznaczyć, jak się miał do niego odezwać i z nim obchodzić.

Nie czekając zaproszenia, przybyły Czech naprzód zajął miejsce przy stole, na którym

złożył czapkę i rękawice, potoczył dokoła oczyma i głosem równie obojętnym, bez dźwięku, cicho zaczął mówić do Grzegorza:

— Królowa oddała wam listy? Jesteśmy więc w gotowości, ja dziś jeszcze wyniosę się do gospody, a jutro do dnia z ludźmi moimi czekać na was będę za wrotami miasta.

Przyszedłem tylko pokazać się wam, abyście mnie poznać mogli, a ja was.

Zadumał się trochę, wlepiając oczy w stół, przy którym siedział.

— Nie obojętna to rzecz — dodał — jak się przysposobicie do podróży, dla ludzi, co na siebie oczów ściągają nie chcą, i suknia wiele znaczy.

— Duchowna przecie a skromna — odparł Grzegorz — nie zadziwi nikogo. Jest nas

wszędzie klechów i włoków dosyć. Gdy podszarzaną włożyę...

Biedrzyk głowę pochylał.

— Jeżeli chcecie suknie wasze zatrzymać — rzekł — weźcie takie, aby nie oznaczały stanu, a wprawiały w wątpliwość. Najstarsze, najmniej pokaźne, najlepsze będą. Musimy się przesuwać nie postrzeżeni.

Napomknąwszy jeszcze o potrzebnych do podróży przyborach, o skrzętnym przechowaniu listów, aby na wszelki wypadek łatwo znalezionymi być nie mogły, Biedrzyk pokłonił się i zniknął.

Krótką z nim rozmowa i to, co słyszał od królowej, wprawiły Grzegorza w niemąłą troskę, widział teraz, że poselstwo jego było niebezpiecznym i trudnym, a sama tajemnica, którą się otaczało, była mu wstrętną. Cieszył się tym tylko, że nie wtajemniczony, sumieniem swym nie odpowiadał za czynności, których był posłusznym narzędziem.

Do dnia otwarto bramę wyjeżdżającemu z zamku i oprócz stróżów nikt go nie widział. O

mroku przebył puste ulice i w miejscu oznaczonym zastał już Biedrzyka w kilka koni oczekującego za miastem. Orszak składał się z tak dobranych ludzi, że w nich pana od sług rozpoznać było trudno. Nie można też było oznaczyć — kupcy, mieszczanie czy ubogie rycerstwo jechało, a suknie tak miały krój i barwę nie oznaczoną i startą wszelką cechą miejscową, że po nich narodowości się domyśleć nikt nie mógł.

Z drogami Biedrzyk i jego ludzie byli tak dobrze obeznani, że nie trzymając się głównego gościńca bocznymi szlaki jechali, nie rozpytujac nikogo. Czech niewiele mówił.

Drugiego dnia wszakże, jak by lepiej oswoiwszy się z Grzegorzem i mniej go obawiając,

Czech otwartym być począł.

Utyskiwał on nad wojnami, które kraje niszczyły z przyczyny wiary, wzdychając do tego, aby pod lepszym panowaniem pokój powrócił. Z kilku słów domyśleć się było można człowieka, który z husytami trzymał. Grzegorz nie chciał się z nim w żadną wdawać dysputę, odpowiadał ogólnikami.

— Wy Polacy z nami Czechami powinniście się połączyć i podać nam rękę — mówił

Biedrzyk — nie obcy jesteśmy sobie, boć język tego dowodzi. Królowie nas rozłączyli, król jeden powinien złączyć. Z Niemcami my nigdy nie przyjdziemy do ładu. Wszystkim się o to starać potrzeba. Jest nas dosyć, aby się ostać i obronić.

Nie przeczył Grzegorz, ale przypominał, że Zygmunta w Pradze przyjęli, uznali,

ukoronowali jego i żonę, więc sami mu się w ręce oddali.

— Oho — przerwał Biedrzyk — nie wszyscy! Zresztą cesarz Zygmunt niedługo wieczny, a cesarzowa...

Tu uśmiechając się spojrzął z porozumieniem na Grzegorza, który odparł:

— Córkę ma, która pewnie z mężem weźmie po ojcu spuściznę.

Okiem pomrugując, Czech się uśmiechnął i nie mówił więcej.

Zbliżając się do Pragi, Biedrzyk na noclegu zatrzymał, wysłał przodem człowieka, który powrócił nad ranem. Grzegorz spał jeszcze, gdy Czech przyszedł go budzić.

— Wstawajcie — rzekł — trochę będziemy musieli z drogi się zbić, mam wiadomość o cesarzowej. Jedzie ona wezwana do chorego męża do Pragi, Zygmunt źle jest bardzo, ogień piekielny wdał mu się w ciało. Palce u nogi już mu odciąć musiano, ale to nie pomoże, kto raz dostał spalenizny tej, nie wyjdzie z niej i umierać musi.

Z mowy Biedrzyka widać było, że wcale Zygmunta nie żałował i że przeciwnie wiadomość o ogniu prawie go uradowała.

— Cesarzowa spieszy do Pragi i dziś tam ma przybyć. Nam się trzeba tak zwrócić, aby jej zabiec drogę i poselstwo sprawić, nim dojedzie do męża — mówił Biedrzyk. — Łatwiej też nam będzie nie postrzeżonym w jej orszaku, który liczny być musi, wśliznąć się do Pragi.

Natychmiast ruszyło się wszystko z noclegu, a Grzegorz też rad był, że mu się łatwiej składało spełnienie polecenia królowej.

Posępny dzień jesienny, smutny a mglisty z początku, dżdżysty potem, nie wstrzymał ich w pospiesznej jeździe po manowcach i przed wieczorem jeszcze napędzili cesarzową Barbarę.

Jechała ona otoczona wielkim i okazałym dworem Węgrów i Czechów, a poczty brata jej hrabiego Cilly i synowca dodawały świetności orszakowi.

Sama prawie młodzież urodziwa, strojna, butna, wesoła otaczała kolebkę i składała dwór prawdziwie cesarskim odznaczający się przepychem. Wszyscy aż do kapelanów i kanclerza cesarzowej Barbary byli w wieku kwitnącym, bo niemłoda już pani wcale nie taiła swych upodobań i

fantazji, dwór dobierając z ulubieńców.

Pośpiech do chorego małżonka i cel podróży niewesoły wcale się nie zdawały wpływać na humor pańskiego dworu, który jechał ze śmiechami, okrzykami, harując swobodnie i zbytnią nie hamowany karnością.

Biedrzyk, który zdawał się tu znać wszystkich i być poufałym, posunął się przodem, dostał aż do kolebki złocistej, w której cesarzowa dla deszczu się schroniła, i wśród gościńca, w gołym polu cały pochód się zatrzymał.

Po krótkiej oczekiwania chwili Czech przybiegł do Grzegorza z Sanoka i tak jak stał kazał mu iść z listem do cesarzowej, która na niego już oczekiwała. Widać było nawet z dala, jak rozsunięta skórzane zasłony kolebki i wyglądała oznajmionego jej posła.

Wszystkich oczy zwrócone na niego były. Zsiadł z konia Grzegorz i przybliżył się do powozu. Tuż przy nim stali we zbrojach, na koniach rycerstwo, dumnie po pańsku spoglądający dwaj hrabiowie Cilly, brat i synowiec Barbary. Nie miał czasu się im przypatrywać ani ich pozdrawiać mistrz, bo wyciągnięta ręka już na list, który podać miał, oczekiwała.

Twarcę cesarzowej, która powinna była obudzić poszanowanie, wejrzenie jej zuchwałe i wyzywające, odrazę jakąś i obawę sprawiły przystępującemu do kolebki Grzegorzowi. Lice stare, zwiędłe, z podbitymi oczyma, pofałdowane marszczkami, całe umalowane i ubielone, miało wyraz tak cyniczny i bezwstydnny, tak gminny i nieszlachetny, że poseł zawahał się chwilę z uznaniem w niej tej pani, której dostojność inaczej wyobrażał sobie.

Życie, charakter, obyczaj piętnowały się tak wyraziście na obliczu, jak gdyby nie chciała sobie nawet zadawać pracy, aby się wydać inną. Głosem krzykliwym, z jakimś śmiechem

niezdrowym, odezwała się kilka słów niezrozumiałych, mierząc oczyma postać męską Grzegorza.

Smutku i niepokoju z powodu niebezpiecznej choroby męża wcale na niej widać nie było,

zdawała się tylko niecierpliwą i podrażnioną.

List przywieziony wziął z rozkazu jej starszy hrabia Cilly, a Grzegorzowi polecono jechać razem z orszakiem do Pragi.

Wszystko odbyło się pospiesznie, wśród wrzawy i Grzegorz ledwie się opamiętał, gdy mu

Biedrzyk konia podać rozkazał, a sam wiodąc go z sobą miejsce w orszaku naznaczył. Było ono dosyć oddalone od kolebki cesarzowej i przedniejszego dworu, tak że on i Czech prawie w końcu długiego sznura wyciągniętego na gościńcu pośród pośledniej czeladzi jechać musieli, ale tu tak

utonęli i wmieszali się w tłum, jak gdyby do niego należeli.

Spoglądano z ukosa na przybyszów, lecz wkrótce dawna wesołość wróciła i Grzegorz

znalazł się wśród gawiedzi rozpasanej, z którą nie miał ochoty ani znajomości zabierać, ni rozmowy poczynać.

Szybko ze dworem cesarzowej posuwali się ku Pradze, której mury i wieże za zasłoną szarą deszczu wkrótce się ukazały. Biedrzyk podszeptał towarzyszowi, iż gdy raz do miasta i na gród się dostaną, on mu w pobliżu pomieszczenie opatrzy.

Zdawało się, iż w Pradze już na cesarzowej przybycie oczekiwano i spodziewano go się

dnia tego, gdyż znaczny poczet rycerski wyjechał na jej spotkanie. Na czele jego, jak Biedrzyk objaśnił, wysłany był Węgier, ulubieniec cesarski, Michał Orszag. Widok jego nie zdawał się wielkiej sprawiać przyjemności hrabiom Cilly, którzy go sztywno i dumnie przywitani.

Kazała go do siebie powołać cesarzowa, aby o zdrowie małżonka zapytać. Odpowiedź

rozeszła się zaraz z ust do ust podawana. Mówiono, że Zygmunt był bardzo źle i że lekarze najmniejszej życia nie czynili nadziei. Wiadomość ta na cesarzowej nie zrobiła żadnego wrażenia, skrzywiła tylko usta i rzuciła ręką.

Orszag dodał, że Zygmunt wezwał do siebie córkę i zięcia.

Usłyszawszy to cesarzowa nagle zapuściła zasłonę kolebki i dano rozkaz do dalszej

podróży. U obu Cillych liczniejszy, niż było potrzeba dla uczczenia przybywającej cesarzowej, poczet wojskowy, który otoczył kolebkę i jezdnych, jak by ich chciał pilnować i zaprzec im drogę, wywołał niepokój pewien. Zaczęli coś szeptać z sobą, lecz jechali dalej, większą jeszcze okazując butę.

W bramach miasta zwykłym obyczajem mieszczaństwo witało cesarzową, która się śmiejąc

i dziękując ze zbytnią grzecznością i uprzejmością wychyliła ku nim.

Na Biedrzyku wojskowy oddział w początku zrobił wrażenie nieprzyjemne, zbladł trochę i począł się oglądać niespokojnie, ale przyjęcie w bramach miasta rozproszyło tę troskę.

Grzegorz, czując się już spokojniejszym, bo całe swe posłannictwo spełnił, mógł się

swobodnie rozpatrywać po mieście i ludziach. Świeże Włoch wspomnienie pięknie zamurowaną Pragę mniej może wspaniałą w oczach jego czyniło, ale pobyt cesarski, który ją napełniał

rycerstwem i mnóstwem pocztów możnych panów i magnatów, dodawał blasku miastu, które na

przyjęcie Zygmunta się przystroiło odświętnie.

Wśród tych tłumów widać było niezwykle ruch, zajęcie wielkie, niepokój i krzątanie, którą przybycie cesarzowej zwiększyło jeszcze.

W ulicach przejazd był trudny; konni, piesi, wozy, jedni przeciągali, drudzy szukali pomieszczenia.

Z orszaku cesarzowej wylatywały pytania ciągle o cesarza, na które jednostajnie odpowiadano groźnymi wykrzykami i niemniej znaczącymi ruchy.

W ścisłości tym, wśród ogólnego zajęcia chorym Luksemburczykiem i przybywającą żoną

jego, Grzegorz z Sanoka zginawszy wśród natłoku, nie widziany, nie spostrzeżony, mógł się przypatrzyć i przysłuchiwać wszystkiemu, co się działo wokoło niego. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że przybył tu może, aby być świadkiem końca tego człowieka, który wplótł się tak smutnymi wspomnieniami w dzieje Polski.

Czoło to, na którym teraz spoczywała cesarska korona, niegdyś miała uwieńczyć

Bolesławowska. Zygmunt nigdy nie zapomniał o tym i mścił się za pierwszy w życiu doznany zawód do końca. Przyjaciół pozorny, a wróg nieprzejednany, utrzymywał nieustanny niepokój w kraju, który rozszarpać pragnął i osłabić. Posługiwał się Polakami, nie spuszczał z oka żadnej złości wmięszania się w polskie sprawy, podżegania nieprzyjaciół, wyzyskiwania wszelkich słabości, omyłek i zrzędzeń losu. Nie zwyciężył wprawdzie i nie przywiódł Polski do tego stanu bezsilności, jaki wchodził w jego rachuby, ale ciężko dał się we znaki tym, co go niegdyś wywiedli do granic, prosząc, aby więcej nie powracał.

Życie jego pełne zmian i gorączkowych porywów, wysiłków, przebiegłości, zamachów,

zamykało się wprawdzie z blaskiem najwyższego dostojęstwa, ale z łuną pożarów, które na grobie zapłonąć miały. Córka i posłuszny zięć mieli wziąć po nim w spadku tę szatę Nessusa.

Grzegorz dumiał nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchając objadających się o uszy jego najsprzecznějších wykrzyków.

Jedni ubolewali nad Zygmuntem, drudzy szydzili z niego i cesarzowej. Dostawało się i przeciągającemu jej dworowi po drodze, witanemu grubiańskim wołaniem.

Biedrzyk zajął się swym gościem i razem z nim pomieścił się pod samym grodem, w którym cesarz leżał chory.

Zaledwie kąś znaleźć tu mogli i jakiegokolwiek pożywienie. Mieszczanie, dwór, co żyło,

poruszone było wiadomościami z zamku przynoszonymi.

Piekielny ogień, jak go naówczas zwano, zgorzelizna (*sa-cer ignis*) żarła za żywota ciało Zygmunta i od nóg posuwając się w górę groziła mu śmiercią co godzina. Chwile były policzone.

Nie oglądano się tak dalece na Grzegorza, który z Biedrzykiem tu przybywszy, uważanym był za wtajemniczonego w to, co się tu działo.

W drugiej izbie, obok której drzwi stały otworem, zbiegali się mieszczanie, dworzanie i rycerstwo z orszaku Barbary. Chcąc nie chcąc, Grzegorz rozmów ich słuchać musiał, z których nauczył się wiele, bo dotąd nie wiedział, w jakie wpadł gniazdo osie.

Zjawilo się naprzód kilku dworzan.

— Nabraliśmy się strachu — wołał jeden — gdy nas na gościńcu Orszag otoczył. Hrabiowie i cesarzowa, i wszyscyśmy już sądzili, że zwąchali, co się gotuje, i wszystkich nas tam, z Barbarą razem uwiężą. Ale nie! Postrach był próżny!

Zygmunt ją tak przywitał, że chyba niczego się nie domyśla. A choć Albrecht zięć i córka nie bardzo są czuli, trudno po nich wymagać tego, gdy wiedzą, że oni tu panować nie będą.

— Cesarz, gdyby chciał — począł drugi — nie ważyłby się tu w Pradze nic uczynić żonie, bo wie i on, i jego zauszniak Szlik, że znaczniejsza część miasta za nią by się ujęła i byłaby rzeź na ulicach a może i na grodzie.

— Ja go tam ani bronię, ani miłuję — przerwał trzeci — a co prawda, to prawda. Życ nie umiał, umierać umie. Ciało mu już kawałami pada, a tak siedzi spokojny na twarzy i na umyśle, jak by na ucztę czekał, i stroić się każe, aby ludzie nie wiedzieli, że na poły zgnił.

— Ja go też nie kochałem — odparł inny — zły człowiek był i król nam niedobry, przez którego krwi dużo poszło wylanej na wszelką rozpustę i zbytki, ale pychę umiał nadrabiać zawsze i o cesarskiej swej godności nie zapominał nigdy. Wszyscy wiedzą, jak z papieżem rozmawiał.

— Ano? — spytał inny, czemu Grzegorz z Sanoka, gdyż o rozmowie tej nie słyszał nigdy, rad był bardzo.

— Toż wprost Eugeniuszowi rzekł: my, Ojczy święty, we trzech rzeczach się różnimy, ale we trzech też jesteśmy do siebie podobni. Wasza Świątobliwość spisz rano, a ja wstaję przede dniem; pijesz wodę, ja wino; niewiast unikasz, ja się za nimi upędzam; ale za to w innych rzeczach

równość między nami. Wasza Świątobliwość hojnie szafujesz skarbami Kościoła, a ja też sobie nie żałuję; Wasza Świątobliwość masz ręce chore, a ja nogi; na ostatek Wy niszczyacie Kościół, a ja cesarstwo!

Wpadł ktoś świeży. Posypały się pytania.

— Cóż cesarz? Co cesarzowa?

— Przyjmuje żonę tak, jak by nic przeciw niemu nie zawiniła. Chyba o niczym nie wie i nie domyśla się, ale uchowaj Boże, na nią posądzenia i przeciw niej jakiego zamachu! Nie damy krzywdy babie uczynić.

Nieustannie tak w sąsiedniej komorze wrzało i gotowało się.

Niektórzy opisywali, jak chory Zygmunt w szatach paradnych, z wieńcem na głowie,

sykając z bólu, usiłował prowadzić rozmowę z Barbarą, z córką, z kanclerzem swym ulubionym Szlikiem i przygotowanym duchowieństwem.

Z rozmów widać było, że dwór i przyjaciele Barbary, obawiający się jakiegoś na nią

zamachu, zupełnie zostali uspokojeni. Biedrzyk też z wycieczki powrócił do Grzegorza,

zapowiadając mu, że jak skoro cesarzowa wolną będzie, pozwie go dla rozpytania się o polskim dworze.

Zdawało się, że tej nocy na grodzie albo cale nie spano, lub ci tylko poszli na spoczynek, którzy żadnymi wypadkami niepokoić się potrzeby nie mieli.

Mistrz nasz miał wprowadzić wskazaną sobie szeroką ławę w kącie, na której mógł się

położyć, lecz wyciągnąwszy się na niej, oka zmrużyć nie mógł, bo światel nie gaszono, a Biedrzyk i inni przez całą noc wchodzili i wychodzili, naradzali się, szeptali.

Pomimo zapewnień, że cesarzowa i jej brat niczego się obawiać nie potrzebują, w nocy

młodszy hr. Cilly przyszedł do sąsiedniej komnaty (poznał go przy świetle kaganka mistrz Grzegorz) i kazał swoim ludziom zalecić, aby w gotowości byli, gdyby nagle odjechać przyszło.

Dokąd, o tym nie mówił.

Chociaż z tego wszystkiego, co słyszał, pewne już wyobrażenie o położeniu powziąć mógł

Grzegorz i wyjaśniło mu się ono, spełna jednak nie pojmował, jaki związek mógł zachodzić między sprawą cesarską Barbary a królowej Sonki i jej syna.

Następny dzień, był to 10 listopada, nie zmieniło się nic, tylko poruszenie, wczoraj żywe i jawne,

stało się mniej wyraźnym, starano się więcej pokryć niepokój i strzec z nim okazać. Ale ta sama biegania, przygotowania, narady pokątne, ciągle się odbywały. Biedrzyk wychodził niespokojny i powracał na przemiany zafrasowany lub uspokojony.

Grzegorz z Sanoka, czując się wśród tych ludzi obcym i jakby zapomnianym, a nie mając spoczynku, bo się odosobnić nie mógł, w końcu pod wieczór powracającemu Biedrzykowi wprost powiedział, że chce mieć odprawę i nie widzi potrzeby zatrzymywać się tu dłużej, tym bardziej że zapowiadający się zgon cesarza wymaga, aby o nim w Krakowie zawczasu wiadano.

Czech się po głowie poskrobał.

— Nie możecie tak odjechać z niczym — rzekł. — Cesarzowej teraz widzieć ani z nią mówić niepodobna, czekać musicie spokojniejszej chwili. Zygmunt nie wiadomo dla jakiego dziwactwa umierać tu nie chce i jutro rano poniosą go do Znaima, a my za nim z cesarzową razem iść w ślad musimy. Miejcież cierpliwość i dotrwajcie do końca.

Biedrzyk dodał wreszcie, iż nie mógł odprawić go nie zwracając uwagi, a unikać było potrzeba wszystkiego, co na cesarzową podejrzenia jakie ściągnąć mogło.

— Jakie podejrzenia, o co? — zapytał mistrz.

Czech spojrział nań, podumał, ale nic nie odpowiedział.

Z południa, gdy na ławie spokojnie siadłszy dumał Grzegorz nierad z tego, co mu się tu przygodziło, do komory sąsiedniej wpadło nagle kilku ludzi ze starszym hrabią Cilly. Jak wczoraj, tak i teraz wcale na niego nie zważano, bo dom ten miano za oddany sobie i pewny.

Fryderyk hr. Cilly bardzo gwałtownie począł wyrzekać i dowodzić, że cesarz ma względem żony i jej rodziny złe zamiary, że łatwo to z oczów Albrechtowi i kanclerzowi Szlikowi wyczytać, że dlatego tylko chce nazajutrz z Pragi się oddalić, bo wie i domyśla się, że tu cesarzowa Barbara i oni mają przyjaciół, którzy by im nic uczynić nie dali.

— Róbcie wy, co chcecie — dodał hrabia Fryderyk — a ja jutro z drogi z Ulrykiem ujdę, bo głowy nie mam na zbyciu.

Drudzy zakrzyczeli, iż obawa była próżną, ale hrabia sobie tego nie dał wmówić.

— Jeżeli wasza miłość ujdziecie, tym właśnie na cesarzową panią ściągniecie podejrzenie.

— Ślepi ludzie — wołał hr. Cilly — co tu mówić o podejrzeniu, kiedy Szlik, ten wąż, co się

wśliźnie wszędzie, i Bruno (Delia Scala), Włoch przebiegły, na pewno o wszystkim wiedzą. Nie darmo ciągle coś cesarzowi do ucha przynoszą. Ja też w oczach najjaśniejszego szwagra nauczyłem się czytać!

Tyle tylko słyszał Grzegorz rozmowy, która nagle urwaną została.

Wieczorem, co żyło, czyniło przygotowania do podróży. Znowu więc o śnie i spoczynku mowy nie było. Rozkaz wydany został, aby o samym świecie wszystko było w gotowości.

Dla cesarza przygotowano nosze, na których w krześle purpurą okrytym nieść go mieli tragarze poodziewani w suknie paradne szyte w herby cesarskie.

Cesarzowa w kolebce zaraz za nim jechać miała, w towarzystwie brata i synowca. Do jej dworu Biedrzyk z Grzegorzem z Sanoka miał się przyłączyć.

X Dzień się za ledwie robić zaczynał, gdy tłumy niezliczone zalegały już ulice Pragi, którymi cesarz miał ciągnąć. Na zamku poczty zbrojne, wozy, czeladź, kolebki, komornicy, urzędnicy, już tylko oczekiwali na to, aby Zygmunta wyniesiono.

Cesarzowa Barbara siedziała w otwartej kolebce, bo obu jej bokach mając brata i synowca w pysznych zbrojach i płaszczach gronostajami podbitych. Niemniej wspaniały od cesarskiego dwór skupiał się poza powozem pani.

Nosze, na którym stanąć miało siedzenie cesarskie, na ziemi ustawione oczekiwało. Sześciu ludzi, mających się zmieniać co mila, ubranych w kapy, szyte herbami, w tokach z piórami na głowie czekali na Zygmunta. Tuż halebardnicy z połączanymi w rękach halebardami, ubranymi w sznury purpurowe, gotowi byli otoczyć ten tron przenośny, obok którego konno jechać mieli kanclerz Szlik, Bruno Delia Scala, Michał Orszag i Matik ban sławoński, wszyscy Zygmunтови ulubieńcy. Tuż także towarzyszyć miał cesarzowi Albrecht, a za cesarzową jechała sama córka jej Elżka.

Pomiędzy nią a matką widocznym było więcej niż oziębienie. Nie mówiły prawie z sobą, a cesarzowa do kolebki wzięła jedną z pań swoich, aby nie zaprosić do niej córki. Wszystkich biło to w oczy. Obaj hrabiowie Cilly, na koniach już siedzący, twarze mieli zasepione, oglądali się i jechali jakby zmuszeni.

Cesarzowa wychylała się z kolebki, otaczającym mnogim, znanym sobie z rycerstwa i mieszczan dając znaki głową i rękami. Uśmiechano się też do niej.

Dwory dwa, choć połączone w całość jedną, widać było, że się rozłamywały jakby na dwa obozy. Towarzyszący Barbarze z ukosa spoglądali na cesarskich, Zygmunтови na Ci-lijskich.

Po długim oczekiwaniu, dzień się już robił, gdy ze sklepionej bramy, na ramionach czterech pacholców, którzy w górę podniesione krzesło złożone dźwigali, ukazał się Zygmunt cesarz.

Siedział majestatycznie, tak jak wizerunek jego na wielkiej państwa pieczęci.

Odziany szatami uroczystymi, w sukni ze złotogłowu, w płaszczu szkarłatnym krojem

dalmatyki, na piersiach spiętym wielką klamrą kamieniami sadzoną, z łańcuchem na szyi.

Błada jego, żółkła, wychudzona twarz, z długą brodą, rozwianą na piersi, o czole szerokim i oczach zapadłych, ale jeszcze patrzących dumą i jakąś ironią życia a pogardą śmierci, pokryta była lekką koroną złotą, około której świeży, zielony obwijał się wieniec laurowy.

Bładych, kościstych rąk dwie, okrytych szytymi złotem rękawicami, spoczywały na krzesła

poręczy. Nogi przysłaniały opony futrem podbite z karmazynowego aksamitu.

Tak Zygmunt ostatni raz chciał się pokazać swoim prawnym, w całym majestacie, którego śmierć nadchodząca pozbawić go nie mogła.

Jechał zwyciężcą, w laurze i w istocie zdawał się urągać nawet wyrokowi Bożemu, który go powolną karał śmiercią.

Ludzie w początku patrzeli osłupieni na to zjawisko, jakby z grobu wyszłe i do grobu idące, chwila litości i podziwu oniemiła tłum. Wtem uderzono we dzwony.

Tron cesarski stawał na noszach, tragarze brali go na ramiona i podnosili wysoko. Zygmunt nie drgnął, żaden fałd jego twarzy nie zdradził bólu, którego doznawał, patrzył z tej wysokości na lud, na pokłony, na blask, który go otaczał, oczy zwrócił ku kolebce żony, potem na Szlika i dano znak do pochodu.

Ruszyło wszystko, zadrgały tłumy. On i lud ten wiedział, że jechał do grobu, ale na twarzy pańskiej nie widać było ani żalu, ani smutku, tylko ironiczną powagę i dumę.

Około zamku zebrane gromady ciekawych zachowały się spokojnie, nie dały oznaki ani

boleści, ani urągowiska, ale w ulicach Pragi zbита ciżba na wstępie w nie powitała okrzykami.

Ucho najmniej czułe mogło w nich wyraźnie rozeznąć wołanie:

— Wracaj uzdrowiony! Sława tobie! I krzyki:

— Jedź, jedź! Bodajbyś był nigdy tu nie przybywał i nigdy nie wracał! Jedź na stracenie!

W niektórych miejscach przekleństwa i urągowiska stały się tak dobitnymi, że halebardnicy zmuszeni byli ostrza przeciw gminu nastawić i grozić rozpędzaniem. Nic to nie pomogło, bo gawiedź rozproszona wracała tłumnie z nowym wrzaskiem, hałaśliwszym jeszcze.

Przez cały ten czas, gdy placami i ulicami ciągniono, aż do wrót miejskich, krzyki nie ustawały. Zygmunt, którego uszów dochodzić musiały, nie odwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku zniechęcenia i gniewu. Kanclerz tylko Szlik podnosił rękę ściśniętą w żelaznej rękawicy, a oczy jego i Orszaga pioruny ciskały. W orszaku cesarzowej, którą witano mnogimi: żywie i sława, hrabiowie Cilly bledli, twarze się okrywały wyrazem trwogi, a sama pani spoza zasłon ręką dawała znaki dziękczynne.

Wszyscy odetchnęli dopiero, gdy za wroty miejskimi krzyki ustały i tłum się przerzedził, a potem zniknął. Orszak jechał dalej w milczeniu, cesarz tylko przywołał swojego Szlika i coś mu szepnął, na co on głową skinął posłuszną.

Świadek tej sceny, która na kartach dziejów zapisaną być miała, Grzegorz z Sanoka, jechał wśród dworzan cesarzowej nie postrzeżony, razem z Biedrzykiem, rozmyślając i dziwując się. Los go niósł dalej, mimo woli, a wszystko zwiastowało, że chwila rozwiązania zagadek, które się cisnęły jego oczom i umysłowi postrzegawczemu, zbliżyć się musiała.

Niepodobna już było orszaku cesarzowej opuścić, lecz że na gościńcu dalszym szeregi ściśnięte musiały się rozluźnić, mistrz Grzegorz wyzwolił się nieco z niemiłego sąsiedztwa komorników nieznamomych i dziwnie się mu przyglądających, pozostając na boku z Biedrzykiem.

Czech był podrażniony tak, że ciągle milczący dosyć i nie wywnętrzający się począł się z natrętnymi myślami i niepokojem zdradzać.

— Zaprawdę — odezwał się do towarzysza po cichu — teraz i ja niemal trzymam z hrabią

Fryderykiem, że i im, i cesarzowej grozi niebezpieczeństwo. Nie darmo cesarz chciał opuścić Pragę, nie darmo! Czuł, że w niej nie było mu bezpiecznie. Słyszeliście te krzyki? Głupi lud! Chcąc okazać miłość swą dla pani naszej, wyrządził jej krzywdę, kto wie, jakie mogącą mieć skutki.

Cesarz nie daruje swej obrazy! Wołali jej: „żywie i sława”, a jemu: „pohybel i przekleństwo”.

Patrzałem z boku na oblicze jego. Było jak maska nie poruszone, kamienne, ale oczy piorunowały.

Biada nam, biada nam!

Grzegorz z Sanoka bojaźliwym nie był, lecz słowa te zatrwożyły go o skutek poselstwa.

Wiedział, że bez wątpienia pomyślny skutek jego zależał od powodzenia cesarzowej i jej obozu.

— Cóż cesarzowej zagrażać może? — zapytał Biedrzyka. Czech podniósł oczy w górą.

— Nie wiem, odgadnąć trudno, lecz lękam się wielce. W Pradze ona miała obrońców, tu ich już mieć nie będzie. Spójrzcie na orszak Zygmunta i kupkę naszą.

Podróż w jakimś złowrogim milczeniu ciągnęła się dalej do Znaima.

Tu nadbiegł Biedrzyk do chaty, w której z Grzegorzem stanęli, oznajmując mu naprzód, że cesarz dalej już żywym niesiony być nie może, lekarze oświadczyli, że godzina śmierci się zbliżała.

Zaledwie miał czas szepnąć o tym Grzegorzowi, gdy wpadł zbladły, z załamanyymi rękami komornik cesarzowej. Z twarzy jego Biedrzyk wniósł, że Zygmunt chyba skonać musiał, lecz chłopak krzyknął:

— Cesarzowę naszą pod strażą zaprowadzono do zamkowej wieży, do więzienia!

Popłoch się stał niezmierny, Biedrzyk jak szalony wybiegł.

Grzegorzowi, gdyby się ta dziwna wiadomość sprawdziła, nie pozostawało nic, jak myśleć o własnym bezpieczeństwie i uchodzić. Jawnym było, że projekta uwięzionej pani musiały wprost być woli umierającego przeciwnymi. Mistrz Grzegorz miał do niej listy, była w stosunkach z królową Sonką, pismo przywiezione znaleźć się mogło i jemu więc zagrażało więzienie.

W pierwszej chwili nie wiedział jeszcze, czy oczekiwać na Biedrzyka, czy radzić o własnej sile, lecz chciał doczekać potwierdzenia wiadomości, która mu się jeszcze nieprawdopodobną zdawała.

Los cesarzowej mogli podzielać jej dworscy i wszyscy, co byli w jej orszaku, zdawało się więc Grzegorzowi najbezpieczniejszym trochę się od niego usunąć i w tłumie, który napełniał miasteczko, szukać mniej podejrzanego schronienia.

Nikt nie zważał na niego. Biedrzyk nie powracał, mógł więc konia swego wyprowadziwszy i ciągnąc go za sobą ujść ku rynkowi i stanąć na boku, jako nie należący do żadnego dworu podróży. Uczynił też to natychmiast tak szczęśliwie, że niczyich na siebie oczu nie ściągnął.

W rynku nie podpadało już wątpliwości, że coś niespodzianego i niepokojącego zajść musiało. Część poczty cesarskiego siadała na koń i w pogoń się puszczała.

Ludzie stojący pod domami opowiadali sobie, że wprzód, nim cesarzowę uwięziono, obaj hrabiowie Cilly, przeczuwający niebezpieczeństwo, jakie im groziło, w czasie - podróży zamienili zbroje i ubiory ze swymi dworzanami, a sami wdziawszy lada jakie szaty umknęli. Za nimi właśnie pogoń wysłaną była.

Słuchał jeszcze tego opowiadania, gdy mężczyzna w sukience księżej, niemłody już, o kijku idący, zobaczywszy jego sutannę i poznawszy w nim duchownego zbliżył się doń i pozdrowił po łacinie.

Na pierwszy rzut oka poznał w nim katolika Grzegorz, który już w drodze nauczył się rozróżniać husyckich od prawych księży. Rad był wielce spotkaniu.

— A wyście skąd? — zapytał stary zawiędły księżyna. Grzegorz musiał skłamać ratując się, a przynajmniej niecałą mu prawdę wyjawić.

— Podróżnym jestem — rzekł — i dziwny traf mnie tu rzucił w taką godzinę zamieszania jakiegoś, którego nie rozumiem, bom obcy.

— Zaprawdę, zaprawdę — westchnął ksiądz — nawet my, cośmy tu w Czechach od lat wielu do krwawych przygód i osobliwych wypadków nawykli, zdumiewamy się temu, co się tu u nas dziś stało. Cesarz żonę własną więzić każe! Brat i synowiec jej zbiegają!

Poruszył ramionami.

— Lecz jakaż przyczyna tej srogości cesarza względem własnej małżonki? — zapytał Grzegorz.

— Dziwy prawią! — począł ksiądz. — Właśnie od zamku idę. Tam głośno dowodzą, że Barbara zdradę knuła, rachując na śmierć męża, przeciwko własnej córce. Miała jakoby zмовę z królową polską, za której syna wydać się postanowiła i z nim nad Czechami i Węgrami panować!

Grzegorz usłyszawszy to nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia.

— Ojczy mój — zawołał — potwarz to być musi! Cesarzowa babką by młodego króla polskiego być mogła. Liczy on lat zaledwie czternaście, gdy ona bodaj przeszło pół wieku!

Potworne małżeństwo takie!

Ksiądz nie dał mu dokończyć.

— I takie potworne dla żądzy panowania się składają małżeństwa — odparł. — Ale Bóg sam nie dopuścił, aby się to dokonało!

Grzegorz stał struchlały, zmieszany, upokorzony, pytając się w duszy, czy mogło to być, aby on za narzędzie do takiego knowania miał być użytym. Nie chciał wierzyć słowom księdza i wzdrygał się.

— Ojczy mój — rzekł po namyśle. — Nieprzyjaciele cesarzowej mogli na nią rzucić

potwarz, wierzyć temu trudno. Matka spiskująca przeciwko własnej córce, kobieta w jej wieku chcąc się wydać za wyrostka, który dzieckiem jest jeszcze prawie!

Ksiądz popatrzył na mówiącego ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Cóż — rzekł cicho — co się na świecie nie dzieje dla zaspokożenia namiętności ludzi

zepsutych! Są niewiasty święte i anielskie, ale gdy złe są, przechodzą w złości mężczyznę, w zuchwalstwie i bezwstydzie szatana.

Grzegorz zamilkł. Nawykły do szanowania królowej swej, której służył, nie chciał jeszcze przypuścić, aby ona do tak poczwarnych planów miała rękę podawać i własnego syna im poświęcić.

Lecz poselstwo jego potajemne i to, co się cesarzowej Barbarze przygodziło, zmuszało w smutną tę rzeczywistość uwierzyć.

Ksiądz miejscowy, który miał tu znajomych wielu, dopytywał na wszystkie strony i zewsząd mu toż samo powtarzano, że istotnie cesarzową Barbarę z rozkazu męża w wieży zamknięto, kilka sług zaledwie zostawując przy niej. Ze znaczniejszych osób, mianowicie Czechów, którzy jej towarzyszyli, kilku też czy kilkunastu uwięzionych być miało. Grzegorz domyślał się, że ten los mógł i czynnego spotkać Biedrzyka. Nie było więc na co oczekiwać i ratować się musiał sam, myśląc o sobie.

Ksiądz, z którym rozmawiał, widząc na nim suknię duchowną, a z zawiązanej rozmowy

przekonawszy się, iż katolikiem był, jako podróżnego zaprosił go do siebie, ofiarując mu gospodę.

Grzegorz nie przyznając się, iż do Polski chce powracać, musiał powiedzieć, że na Szląsko jedzie.

Poszli tedy razem do bardzo ubożuchnego schronienia, które ostatni tu duchowny katolicki zajmował. Skarżył się on na srogość i prześladowania husytów i na opłakany stan kraju, ale znosił

swe męczeństwo cierpliwie, spodziewając się, że Bóg nareszcie nad nieszczęśliwymi ulituje się Czechami.

Przyjęcie było tak skromne, jak gospodarz i jego chata. Grzegorz odetchnął, sądząc, że tu będzie mógł bezpiecznie pozostać. Uchodzić nocą ani nawet nazajutrz rano nie zdawało się dobrym, bo miano bacność na tych, co cesarzowej towarzyszyli, a ktoś z orszaku Zygmunta poznać go mógł i wskazać.

Pomimo spóźnionej pory, rozmowa przy kaganku i piwie ciągnęła się jeszcze, gdy

zastukano do drzwi i dworzanin cesarski, którego łatwo było można poznać po stroju, wszedł do izby.

— Pan nasz Zygmunt dogorywa — zawołał — nocy tej pewnie nie przeżyje. Co jest

duchownych, zbiera się około konającego dla czytania modlitw i oddania mu ostatniej po- sługi.

Idźcie i wy. Wdziejcie szaty obrzędowe. Cesarz chce, aby jak najwięcej osób przytomnych było ostatnim jego godzinom.

Tu przybyły zwrócił się do siedzącego Grzegorza z Sanoka:

— Z sukni widzę, że i wy jesteście duchownym.

— Tak, alem obcy tu, podróżny.

— Katolik wśród katolików nigdzie obcym nie jest, macie obowiązek i wy oddać ostatnią posługę chrześcijańskiemu cesarzowi i królowi rzymskiemu.

— Sukni nie mam — odparł Grzegorz.

— Te się u miejscowego księdza znajdą — nalegał dworzanin. — Mam polecenie wszystkich księży na zamek prowadzić. Pójdziecie z nami.

Zaskoczony w ten sposób Grzegorz, chociaż miał wielką obawę, aby go nie poznano, opierać się nie śmiał, nie chcąc podać w podejrzenie.

Ksiądz też dawał mu znaki i upewniał, że albę, komżę, lub kapę znajdzie dla niego.

Dworzanin naglił. Musieli się co najprędzej przyodziać i iść za nim do zamku.

Noc tymczasem nadeszła była.

Na szarym tle jesiennego nieba czarny zamek z oknami gorejącymi światłem z dala już

jakby katafalk olbrzymi wyglądał. Bramy, podwórza, sienie, wszystko pełne było ludu, rycerstwa, dworzan, czeladzi, zbrojnych straży, wozów i koni.

Dworzanin cesarski, który prowadził księdza i Grzegorza z Sanoka, zrobił im przejście i

wwiódł naprzód do wielkiej sieni, której drzwi na oścież otwarte prowadziły do przestronnej izby sklepionej.

Widok majestatyczny a dziwny uderzył ich oczy.

Cesarz Zygmunt zaledwie przybywszy tu, a czując się słabszym coraz, zawołał lekarzy,

surowo im nakazując powiedzieć mu, jak mógł żyć długo. Spowiednik i oni nie ukrywali tego przed nim, iż nocy przeżyć nie miał.

Naówczas rozkazał cesarz odziać się tak, jak miał być do grobu ubranym. Włożono mu

cesarsko-kapłańskie szaty, koronę na głowę, dano berło w ręce i jabłko, okryto płaszczem i posadzono na tronie w sali.

Chciał konać wobec ludzi, dla okazania męstwa. Na koronie zielony wieniec kazał pomieścić.

Ale jabłko i berło już dla rąk jego osłabłych były za ciężkie, ustawiono je tak, aby ich trzymać nie potrzebował. Pod ciężarem korony ugięła się głowa, lecz tej odjąć sobie nie pozwolił.

Przy świetle pochodni, które trzymali stojący komornicy widać było już trupią bladością okrywającą się twarz, wśród której oczy jeszcze niekiedy spod ciężko podnoszących się powiek błyskały.

Żył jeszcze. Lekkie drganie głowy, nieznaczne poruszenie szat i okryć, które nogi osłaniały, zdradzało razem cierpienie i życie.

Jak gdyby w ostatniej godzinie tej obrazu życia całego przechodziły przed nim i potraçały go wspomnieniami, widać było poruszającą się brodę, zaciskające usta, marszczące czoło.

Kanclerz Szlik, zięć Albrecht stali tuż przy nim, córka Elża u nóg płacząc klęczała, w rękach załamanych trzymając różaniec. Duchowieństwo ustawione blisko cicho odmawiało modlitwy, spoglądając na konającego Zygmunta, niewzruszonego, dumnego, spokojnie walczącego ze śmiercią.

Cisza panowała ugniatająca w sali, której powietrzem ciężko było oddychać. Woń woskowych pochodni, lekarstw, którymi Zygmunta pojono, kadzideł i tyłu zebranych ludzi wyziewy czyniło je nieznośnym.

Z rozkazu cesarza wpuszczano na salę z kolei cisnących się ciekawych ludzi; chciał być widzianym.

— Niech wiedzą, jak cesarz umiera! — szepnął Szlikowi.

Obumierający wzrok jego niekiedy padał na klęczącą córkę, na blisko stojącego zięcia, któremu państwo po sobie przekazywał, na wiernego Szlika, a potem zamykały się powieki, aby oczy wewnątrz duszy patrzyły.

Lekarz stojący obok dostrzegł na ostatku, że walka ostatnia się rozpoczynała. Oddech stawał się coraz pospieszniejszym i trudniejszym, pierś podnosiła się gwałtowniej, ręce konwulsyjnie

drgały, otwarły się usta. Zdawało się, że śmierć zwycięży i wyrwie okrzyk bóleści. Wtem Zygmunt zacisnął usta, głowa wyprostowana dotąd poczęła się chylić na piersi i z czoła spadła korona potoczyła się na nogi.

Cesarz nie żył.

Duchowni uklękli, pierwszą za duszę uleciała odmawiając modlitwę.

Elża u stóp klęcząca krzyknęła i odniesiono ją na pół zemdloną.

Szlik i Orszag bojąc się, aby ciało martwe nie zsunęło się z tronu, przytrzymali je z obu stron, póki by nie ostygło, a Albrecht podniesioną koronę włożył na skronie.

Ale na niej laurowego wieńca nie było i potomność przywrócić go nie miała.

Śmierć cesarza dozwoliła Grzegorzowi z Sanoka trochę wolniej odetchnąć. Wszyscy nadto

nią byli zajęci, aby się zaprzętać sprawą cesarzowej. Zatrzymano ją wprawdzie w więzieniu, bo taka była wola umierającego, ale nikogo nie prześladowano i nie ścigano hr. Cillych. Albrecht nadto miał w tej chwili do czynienia w Węgrzech i Czechach, aby się zęcać nad kimkolwiek i nowych sobie nieprzyjaciół przyczyniać.

Nazajutrz postanowił mistrz nasz puścić się w drogę do Krakowa. Biedrzyka ani mógł

szukać, ani on mu się nastroczył. Sam więc jeden, rozpytawszy o gościńce, ufając sukni duchownej, która go mogła obronić od napaści, jeżeli by husytów i włóczęgów nie spotkał, wyjechał Grzegorz z Sanoka przejęty tym, co widział i co wiózł królowej Sonce.

Poselstwo jego poszło najniezwyklej i w Krakowie nie spodziewał się dobrego

przyjęcia, ale winy w tym jego nie było.

Małymi dniami, ostrożnie się przebierając od miasteczka do miasteczka, odpoczywając po

katolickich probostwach, znużony i wycieńczony tą podróżą, zbliżył się wreszcie Grzegorz do Krakowa.

Im więcej rozmyślał nad tym, co go spotkało, co słyszał i czego się mógł dorozumiewać,

tym smutniejszy powracał do królowej. Odkrył w niej to, czego nie przewidywał, niezmierną żądzę zdobywania dla dzieci ziem i państw, żądzę, której oni paść mogli ofiarą. Żał mu było Władysława, który już sam rycerskie miał popędy i wyobraźnię gorącą. Dusza jego przeczuwała zawody i koniec smutny. Lecz mógłże on co przeciw wszystkim i przeciwko samemu charakterowi młodzieńca,

którego od dziecka marzeniami bohaterstwa karmiono?

Pod Krakowem już spotkawszy znajomych dworzan panów z Tęczyna, przekonał się z

rozmowy z nimi, że wiadomość o śmierci cesarza i uwięzieniu Barbary jeszcze tu nie doszła. On więc pierwszy miał być zwiastunem tych wypadków.

Na zamku przywitano go zdziwieniem, tak on i koń jawnie świadczyli, że tajemnicza podróż poszła niepomyślnie. Już powrót bez sług i towarzysza złym była znakiem, a twarz Grzegorza z Sanoka nosiła na sobie ślady przetrwanych niewczasów i troski.

Zaledwie przebrawszy się, mistrz kazał o sobie oznajmić królowej, która go natychmiast powołała do siebie.

Niecierpliwa wyszła naprzeciw niego, aż do progu, mierząc ciekawymi oczyma.

Zmęczona twarz i smętne wejrzenie posła mówiły za niego.

— Co mi przynosisz — zawołała natarczywie — w dwu słowach mów! Gdzie Biedrzyk? Co się stało?

— Miłościwa pani — rzekł ponuro Grzegorz — nie mam szczęścia i złym jestem posłem, ale nie własną winą, zrządzeniem Opatrzności. Zastałem cesarza już prawie konającym. Z Pragi kazał się nieść do Znaima. Cesarzowa była przy nim. Przed samym zgonem z jego woli uwięziono cesarzową Barbarę. Sonka wydała okrzyk rozpaczliwy i ręce załamała.

— Cesarz umarł! — zawołała.

— Przekazawszy państwo Albrechtowi i córce — dodał Grzegorz.

Chwilę stała królowa osłupiona, nie mogąc się jeszcze pogodzić z tym, co słyszała, nie wierząc uszom własnym.

— Cesarzowa! Cesarzowa uwięziona — przerwała — i nikt nie stanął w jej obronie! Gdzież byli Czechy? Gdzie się podzieli brat jej i synowie? Czy i oni uwięzieni?

— Uszli oba — rzekł Grzegorz spokojnie i poważnie. — Zdaje się, że cesarz dlatego z Pragi wyjechał już niemal konający, aby uniknąć Czechów sprzyjających cesarzowej Barbarze.

— Wszystko, wszystko przepadło! — zawołała patrząc w ziemię z wyrazem bólu i rozpacz królowa. — Wszystko przepadło, co memu pierworodnemu wielką zapewniało przyszłość.

Grzegorz wejrzeniem pełnym wyrzutów odpowiedział tylko, a po chwili milczenia odezwał się odważnie:

— Miłościwa pani, Bogu dziękować należy, iż pana naszego obronił od sromotnego małżeństwa i losu, który go czekał z tą niewiastą! Stało się wedle miłosierdzia Opatrzności.

Złożył ręce nie kończąc. Królowa spojrzała gniewnie.

— Tak, stało się — odparła odwracając od niego — lecz bądź co bądź jedną z tych koron posiędzie! Przepowiednie się spełnią.

I zimna na pozór, ale wzburzona i gniewna, kazała sobie ze szczegółami opowiadać wszystko, co Grzegorza spotkało w podróży.

Twarz jej mieniła się, usta ściągały, ręce szarpały suknię, gniew zdawał się co chwila wybuchać i stłumiony krył się we wnętrzu.

Z ironicznym uśmiechem, gdy skończył opowiadanie mistrz Grzegorz, odprawiła go skinieniem głowy dumnym.

— Na nowo więc rozpocząć potrzeba! — zamruczała. — Władysław młody, czas mamy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy, Grzegorz z

Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując na dworze.

Unikał królowej wiedząc, że dla niej był przykrym przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, a pomimo ufności w nim spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał, tak że spostrzegłszy go odwracała oczy i niechętnie go widziała.

Wstydziała się teraz, ochłonawszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odboleła jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale,

przychodził rzadko, stawał z daleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzali, dopominał się

O mistrza swego i powoływał do siebie.

Z rozmów z nim przekonał się Grzegorz, iż o znowie z cesarzową matka młodego

Władysława nie zawiadomiła za wcześnie, oczekując, aby ona przyjść mogła do skutku. To tylko jedno wpajała królowa w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa nic innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmożenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwić, mistrz starał się

zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia. Lecz trudno było walczyć z tym, co niemal z mlekiem wyszał

Władysław, marzący jak matka o królestwach jakichś, nad którymi miał panować.

Nielaska, w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne

zachowanie się jego, zupełny brak ambicji, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowieka, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki. Nie mówiła z nim tylko nigdy o poselstwie ostatnim, najmniejszym słowem nie wspomniała o nim nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś

spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, wcale się nie zdawało wpływać na jego humor i

usposobienie. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynał, z czym przybywał, lecz łąco się było domyślać, że przyjaźne Polsce i królowej stronnictwo w Czechach on podtrzymywał i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą niezbyt otwartej, półgębkiem dawał do zrozumienia

Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z synów Jagiełły.

Mistrz nie dawał się tymi nadziejami upoić, nie był on za tym szukaniem cudzych bogów,

nie sprzeciwiał się, milczał.

Po jakimś czasie królowa Sonka zbliżyć się zaczęła do Grzegorza i używać go do

mniejszych posług, dając skazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować. Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, rad by był dwór całkiem porzucił. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Niełatwo jednak raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego.

Król nie byłby odpuścił Grzegorza, a królowa ani mówić

O tym nie dawała.

To, co inni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością, szanowano go i wiedziano, że na nim polegać można.

Jedyną pociechą w tych czasach było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Fraczkowej.

Tu mu także niezupełnie szło po myśli. W mieście stłumiona jeszcze jakimiś względami

gotowała się walka, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupcy niektórzy, żupnik krakowski Mikołaj Serafin, radzca Graszar, Wink i stary Balcer obwiniani byli o bicie i puszczanie w obieg monety, która wartości jej nadawanej nie miała. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażeni byli na straty, bo jej poza granicą nie brano całkiem lub daleko gorszą ceną.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli, miasto nią zalewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samym mieście dwa się już zarysowywały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył.

Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na Ratuszu, w Sukiennicach, do wymówek i

pogrózek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawiedź też, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali, był niejaki Przedbor Hocz, mieszczanin,

człowiek zuchwały, a ulubieniec gminu, w którego obronie zawsze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych pozyskać środkiem nigdy nie zawodzącym. Miał gębę wyparzoną i prawił głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie.

Nic łatwiejszego, jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są przemocą ofiarą.

Hocza za to pod niebiosa wnoszono, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował

on z powodu poborów, opłat, czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów, i tym sobie przygotował przyjaciół. W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było

potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wicherzeń ochoty nie mieli.

Sprawa była wszystkich obchodząca. Dobry pieniądz wykupywano, fałszywym zalewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejscy byliby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocza, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnym przestępstwie nie dawał się pochwycić, gawieź szła na jego skinienie; niebezpiecznie było go zaczepić.

On tymczasem, uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, Ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z nimi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co pieniędzy różnych dużo w obieg puszczałi.

Hocz miał do niego ząb z dawna, bo mu córki odmówił, rad był się pomścić.

Pomimo odgrózek, które ze wszech stron nadchodziły na Ratusz, do pana Serafina i do

Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę. Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Płacili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzono im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin rad zawsze, gdy do starszizny może się za coś jąć, krzyczał i groził.

Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na cmentarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano.

Żupnik Serafin śmiejąc się dowodził, że mu to było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

— Kiedy ich gardła nie bolą, niech sobie pozwolą. Ja przez to nie schudnę. Bóg z nimi.

Niektórzy szeptali, że Hocza by ująć należało, ale obrażeni, którym zalał za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał już wiele Grzegorz z Sanoka i usiłował Balcera skłonić, aby go zagodzono, ale na próżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły Św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że lub przyjaciół, lub wrogów na całe życie tworzy. Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka, któremu się w radzie siedzieć chciało z innymi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą do biskupa lub

na zamek przez niego. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mieszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nade wszystko i powiadał, że wojnę tym tylko można było tłumaczyć, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

— Te żółtobruchy miejskie doprowadzą nas do tego — mówił Hocz Grzegorzowi — że my nad nimi sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

— Patrzajże — odparł mistrz — że z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

— Niedoczekanie! — prawił Hocz.

Parę razy już zbiorowiska ludowe groźne w Rynku i na przedmieściach przybierały rozmiary takie, że miejska straż i wiertelnicy z trudnością je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach i z innych powodów nieraz się wszczynały, ale te łatwo uśmierzyć było. Trafiało się, że studenci, którzy zwyczajem dawnym mieli zapewniony kozubalec od Żydów, gdy z wyznaczonych do wypłacania go kampsorów nie byli radzi, wyprawiali napaść na pogrzeby żydowskie i zmuszali do okupu.

Zwyczaj ten tolerowany poniekąd, z naprawy zbyt gorliwych, poczynął teraz się zastosowywać i do poszlakowanych o husytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzieloną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały, w których przy odśpiewywaniu pieśni miała prawo pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy jedna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krakowie, gdzie i cudzoziemcy, i kupcy wędrowni dawali powód do zwad ulicznych.

Urzędy więc miejskie, oswojone z takimi rozruchami, ustępującymi przed powagą wiertelników, nie przywiązywały do nich zbyt wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi i uważniej przypatrujący się rosnącemu rozdrażnieniu

Grzegorz z Sanoka niepokoił się i przestrzegał, zwłaszcza Balcerów i Fracza, o których był niespokojny.

Nie chciano wierzyć w grożące niebezpieczeństwo. Tymczasem burza się widocznie

zbierała.

Hocz od kilku dni, było to w sierpniu, zbierał tłumy, krzycząc i dowodząc, że sprawiedliwości nie ma i że lud powinien ją sam sobie domierzyć.

Inni podżegacze poili motłoch i usiłowali go do rzucenia się na domostwa żupnika i rajców namówić. Szło to jednak opornie. Sądy za gwałty były surowe, obawiano się wyroków, jakich miano przykłady.

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź rozeszła się nic nie poczynając, tylko odgrządzając się i krzycząc, żupnik Serafin i rajcy sądzili, że się to tak uśmierzy i skończy na niczym.

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem Grzegorz z Sanoka do Balcerów posępny i milczący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie nie mówiąc nic i dopiero gdy go Frączkowa, stanąwszy przed nim, zagadnęła, co mu to jest, iż tak smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

— Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

— W czym? Jak?

— Powinni byście się domyśleć — począł mistrz. — Lek-ko sobie ważycie Hocza i gmin, a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary, niewielomówny zwykle, ręką zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył.

Grzegorz wstał z ławy.

— Na miłego Boga, nie puszczajcie mimo uszu słów moich — odezwał się. — Na jutro umówiona jest napaść na Serafina, na Graszara, Winka i na was, nie licząc tych,

O których nie wiem. Lud się zmówił, przewódcy powyznaczani, przypadkiem doszła mnie

wieść o tym. Albo zaradźcie temu, wywołując złą monetę, albo jeżeli do tumultu przyjdzie, chrońcie się natychmiast na zamek, boście życia nie pewni.

— Jako, jako — krzyknął Frączek — ta hałastra śmiałaby się porwać na pana żupnika, na rajców! To są głupie przechwałki.

— Na które nie zważając, możecie je życiem przypłacić — mówił mistrz. — Mam dla was

obowiązki, ratować was chcę. Jeśli mi nie wierzycie, wola wasza, czyńcie, jak się wam podoba, ale niewiasty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują. Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej i obstaję przy tym, aby kosztowności

zabrawszy szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli, zamilkli, ale stanowcze oświadczenie takie silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

— Nie może to być, nie przyjdzie do tego! — zaburczał Frączek.

Balcer się zadumał.

— Więcby trzeba dać znać żupnikowi i rajcom?

— Winka po drodze spotkałem i przestrzegłem go — odparł Grzegorz. — Jutro rano, daj

Boże, byście zbiec czas mieli. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod Pannę Marię, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy.

Pewność, z jaką o tym mówił Grzegorz z Sanoka, dała do myślenia.

Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i

tych, którym właśnie rozsypywanie złej monety przypisywano. Zawadiaka był zuchwały, ale w duszy tchórz. Zobaczywszy Grzegorza na ławie siedzącego, od progu zawołał:

— A, to już wiecie! Odgrają się zbóje, ale straż mamy, która będzie czuwać uzbrojona.

— Pamiętajciez tylko — przerwał mistrz — że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi wiertelnicy pójda pod jego rozkazy.

— Jakaż rada? — zapytał Frączek.

— Trzeba na Ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec

— odezwał się Grzegorz.

— Ho, ho! — przerwali mieszczanie.

Mistrz z nimi rozprawiać już nie chciał, zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

— Wybierajcie się i idźcie za mną, nie stanie się nic, nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tym niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, dopiero się odezwała:

— Mamyż ojca i męża porzucić?

— Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc, za mną w drogę.

Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał. Grzegorz przynagłał.

Przez długi czasu przestanek panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swym postawił i na pół musem uprowadził na zamek.

Tu już ochmistrzyni królowej uproszona izbę dla nich trzymała w pogotowiu.

Grzegorz oprócz tego zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrozę.

— Należałoby rozruchowi zapobiec — rzekł.

— Zdaje się, że już za późno — odpowiedział Grzegorz —

a tym trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warchoł, ma słuszość.

Biskup z powagą i zimną krwią sobie właściwą zamilkł, odkładając radę na jutro.

W mieście żupnik Serafin, najwybitniej zamieszani w sprawę rajcy, późno dopiero w noc, rozesławszy po mieście swoich ludzi na zwiady, po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były.

Gawiedź przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej całą noc piła po browarach.

Wiertelników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozegnano. Klucze od dzwonnicy u P.

Marii i w kilku innych kościołach były w ręku zbuntowanych.

Całą sierpniową noc te kupki się snuły po uliczkach, zwoływały i czuwały. Hocz, którego nigdzie nie było niby, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na niczym, na wrzasku skończy. Wszakże Mikłucz Serafin w nocy pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego wywiózł potajemnie.

Do dnia w mieście nic nie było można dojrzeć nadzwyczajnego, tak że pospolici ludzie, o niczym nic nie wiedzący, sądzić mogli, iż baśń na postrach sklecono.

Życie się rozpoczynało jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed nimi, okiennice kramików z wolna spuszczano, przekupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w Sukiennicach poczynał się ruch powszedni, nic nie zwiastowało żadnego

usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się puściejsze niż zwykle.

Okolo tego czasu, gdy prymarią po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, kątów, zaczynała się powoli ściągać gawieź, której na Rynku nie widywano zwykle; ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikimi, jakby obcy tu i nie umiejący się obracać. Szli niepewnie oglądając się, aby nimi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami. Nieznacznie liczba ich rosła coraz, pomnażała się i milczenie w gwar się głuchy zmieniło.

Nim prymaria u P. Marii się skończyła, Rynek już był przepelniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach. W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny.

Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w Rynku, przybrało niezwyčajną jakąś fizjognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowymi. Wielka liczba czeladzi ciekawej przyłączyła się do niego.

Wtem, jak by spod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu poddano nie wiadomo skąd ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował.

Ze szmeru i gwaru, jaki w Rynku panował, nagle cisza stała się wielka i Hocz głos zabrał.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale krzyczeć głośno, a bić musi orator w krzywdy, uciski i uciemiężenie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo miał za sobą istotnie sprawiedliwość.

— Chodziliśmy na Ratusz, kłaniali się i przedstawiali na próżno, odpędzono nas precz.

Słuchać nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przyprawiają. Dla kilku złych mamyż ginąć wszyscy? Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się z bogacili, krew z nas wysysają.

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyczeć:

— Na Serafina! Na Graszara! Na Winka! Na Balcerów! Na gałąź z nimi! Burzyć domy!

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko, podzieliwszy się na gromady, runęło ku Ratuszowi, rozplnęło się po ulicach.

Hocz sam prowadził jedną kupę, w pałki zbrojną. Na Ratuszu nie było już nikogo, ani rajców, ni ławników. Izby stały żelaznymi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się na dom Serafina żupnika, którego już tu nie

znaleziono.

Wywalono wrota, połamano sprzęty, inni tak samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczęściem wszyscy oni, choć późno, potrafili ratunku szukając zbiec na zamek. Goniono ich tak, że o mało nie doścignięto, gdy się za nimi wrota zamknęły.

Hocz nie poprzestał na tym i uzuchwalony, z całym tysiäcznym tłumem, rozwścieczonym, gniewnym, rozhukanym jak morska fala, zjawił się pod murami zamkowymi, domagając się wydania winnych.

Stało się to tak niespodzianie, że królowa, król, dwór, przerażeni zostali napaścią i młody Władysław rzucił się już zbierać ku obronie szczupłą garstkę rycerstwa, która na Wawelu się znajdowała.

Szczęściem tylko co ukończywszy ranne nabożeństwo w kościele biskup Zbyszek znajdował się jeszcze na zamku. W pomoc jemu nadbiegł Grzegorz z Sanoka.

Oblężenie zamku przez te gromady ludzi było wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przybierającym rozmiary, iż nie dając się pożarowi szerzyć, musiano go natychmiast zażegnać.

Hocz z głównymi przywódcami szturmował do wrót, domagając się już nie kary na winowajców, nie sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi, których gmin osądził i skazał na gardło.

Dopuścić raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otworzyć wrota nie ustającym niepokojom.

W chwili, gdy Hocz u wrót stał i gwałtował, ponad nimi zjawił się w ubraniu swym biskupim, komży i stule, poważny, zimny, surowy, niewylękły bynajmniej, biskup Zbyszek.

Znano go jako męża, który nikomu ustępstw nie czynił. Hocz pod wrażeniem jego

dostojeństwa mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę. Nim się odezwał, Zbyszek tym głosem, którym królów nawykł był gromić, począł go strofować i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili trochę swojego zuchwalstwa odzyskał, ale ta krótka chwila, w

przeciągu której stał milczący z odkrytą głową, starczyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć jego butę i ostudzić go.

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód sposób ten domagania się sprawiedliwości

potępiając, potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż sprawa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda i ubytki nagrodzone zostały, wina ukarana. Domagał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swojego zuchwalstwa i zamiast ukorzyć się domagał wydania żupnika i rajców, którzy się w zamku schronili.

— Tak jest, schronili się tu i nie tylko ja ich pod płaszcz mój, ale Kościół weźmie w opiekę i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego. Winni czy niewinni, wy nie macie prawa ich sądzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewodzcą, zaryczał, a ci co dalej stali, nie wiedząc dlaczego, wrzask ten powtórzyli.

Biskup mówił, nie słuchano go.

Naówczas na skinienie jego wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten poufałym tonem zwrócił się do Hocz.

— Słyszeliście słowo ojca naszego duchownego, powinno by go starczyć dla opamiętania was; ja przychodzę do was od króla, od królowej, zalecając, abyście się natychmiast rozeszli.

Sprawiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król tego nie dopuści. Chcecież, aby swoje panowanie rozpoczął od tego, by się bronił przeciw tym, co mu wierność przysięgali! Do domów! Rozchodźcie się! Pasterz nasz, rada królestwa tego wezmą w ręce sprawę i rozstrzygną. Idźcie spokojni.

Panowało milczenie czas jakiś, ale z dala powtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sanoka zwrócił się do Hocz.

— Pomnijcie wy, Przedborzu, że za wszystko odpowie- dać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie; wyście lud ten podburzyli.

— Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywda! — przerwał Hocz.

— Wy — powtórzył Grzegorz — wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie ją wymóc siłą. A cóż będzie, gdy na siłę pójdzie siła?

Hocz stapał z nogi na nogę, biskup Zbyszek korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą:

— Idźcie w pokoju do domów! Kapłańskim słowem mym, w imieniu króla zaręczam wam, iż sprawę waszą rozsądziemy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

— Do domów! — powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy chwilę upojony tłum z wolna się rozstępować zaczął, szeptać między sobą i cofać.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się okazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos niższy tłumaczył się, jękał.

Biskup jedno powtarzał:

— Rozchodźcie się!

I gawiedź w końcu zachwiana, a otrzeźwiona, nieznacznie się rozplýwać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do dorotki.

Rozchodzące się kupki kroczyły zrazu z wolna, potem coraz żywiej, gdzie kto mógł, kryły

się, wsuwały, nikły, tak że Hocz obejrzawszy się nierychło, ujrzał, że był z małą kupką sam jeden prawie. Odgrażając się i mruczając, i on więc w końcu cofnął się ku miastu.

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo.

Zaledwie się ludu pod zamkiem przeredziło i biskup Zbyszek poszedł królowej przelęklej donieść i wytłumaczyć, co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka kazał sobie furty otworzyć i śmiało sam jeden wyszedł na miasto.

Potrzeba było bić żelazo gorące. Zawołał na uchodzącego Hocz, który się zatrzymał.

— Chceszli być całym — rzekł — miej rozum i coś popsuł, staraj się naprawić.

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź wystąpił w sprawie dobrej.

— I wy, coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi — zawołał — nad ubogimi litości nie macie. Bóg mi świadek, sprawiedliwości tylko żądałem.

— Aleś się jej źle domagał — odparł Grzegorz. — Pięścią nie godzi się nic wymuszać.

Gdzie ona występuje, tam rozum i prawda milkną.

Uderzył go po ramieniu.

— Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali — dodał — reszta się dokona, gdy biskup wzięł w ręce swe sprawy.

Nie dość na tym, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspokojenia gawiedzi.

Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy.

Hocz spokorniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegał po swojej izbie, zagadując młodzież, która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza poskoczył ku niemu. Oczy mu pałały.

Chociaż wierny swój lud krakowski miał przed sobą, młody pan samym

prawdopodobieństwem jakiejś walki był rozdrażniony. Gotów był się rwać i iść bić się, nie patrząc z kim. Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud

przyprować do takiej rozpacz.

Dla uspokojenia Władysława mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić w żart.

— Miłościwy panie — odezwał się — gawiedzi chodzi o grosze. Sprawa pójdzie przed sędziów i zostanie rozstrzygnięta. Przeciwno takiemu tłumowi, czyżby rycerską było rzeczą występować. Połowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu cisnęła.

— A, krzyki te — zawołał Władysław — poruszyły mnie tak. Było w nich coś wyzywającego do boju. Kiedyż się ja doczekam tego, abym na koń mógł sięść i pójść w pole!

— Aż nadto prędko! — odparł Grzegorz z Sanoka smutnie.

Tak spełzło na niczym to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi i

Grzegorzowi, że młodego pana długo na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią. Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgorzały zapal potrzebą było gasić i

łagodzić.

Królowa Sonka, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicy wrażeń i usposobień w dwu braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz całą tę sprawę pojął inaczej zupełnie. Gniew go opanował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tym, aby przeciwko nim wystąpić, ale się oburzał na warchołów i wołał, aby ich siłą precz rozeznano. Dla Władysława wszystko, co rokowało wojnę, było pożądanym, Kaźmirz nie pojmował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu się ściągały, ale energia wyrostka była milczącą. Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młodszy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława, jak by sobie radził — odparł: — tłum bym kazał precz rozeznąć!

Ledwie się to uspokoiło i przestraszeni żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnienie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę do szukania środków poskromienia Spytka z Melsztyna, Dersława z Rytwian i innych naśladować chcących w Polsce wybryki husytów czeskich.

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był dotknięty nie tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany gwałtem.

Narieczona jego stryjecznego brata, Jadwiga księżniczka, przez Jana Krzyżanowskiego porwaną i uprowadzoną została.

Potrzeba było nie dopuszczając szerzenia się nieładu ukrócić te wybryki, aby nie zakłóciły potrzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd w Korczynie 7 .

Biskup Zbyszek z powodu tych wypadków nie miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie i około królowej działo.

Grzegorz z Sanoka, chociaż nie wtajemniczony jeszcze, z często potajemnie

przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu, jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wnieść, że o los swoich synów zbytecznie zabiegliwa znowu coś musiała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju przyszedł donieść matce, czym się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną:

— Każko ma już rok trzynasty, nieprawdaż! Wychodzi z dzieciństwa, o nim by też pomyśleć trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpowiadając, dodała:

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest moim. Korona dla Każka się gotuje.

Z niedowierzaniem spojrzął Grzegorz.

— Tak, tak — potwierdziła królowa wesoło. — Kaźmierz będzie królem czeskim, wszystko

jest przygotowane. Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybiorą go. Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach, Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, oni chcą mieć własnego pana.

— Tak — dodała raz jeszcze — wybór Kaźmirza przygotowany, pewna go jestem.

— Miłościwa pani — odezwał się Grzegorz — wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego

księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej nie stając w jej obronie. Zatem wojna...

— Tak, przewidywać ją można — dodała królowa — ale znajdziemy siłę do prowadzenia

jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej niż mu przyjaznych. Obmyślałam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać:

— Czy nasz pasterz jest o tym zawiadomiony i... Królowa mu nie dała dokończyć.

— Biskup Zbyszek? — zmarszczyła się. — Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczym

jeszcze, gdy rzecz zostanie dokonaną, dowie się i zgodzić na to musi.

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranymi wiadomościami.

— Spodziewam się — dodała zwracając do Grzegorza — iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Skłonił się pozwany, oświadczając gotowość.

Powróciwszy do mieszkania swego znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego.

Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę. Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny i więcej stworzony do podsłuchów niż do rozmowy. Grzegorza powaga, rozum i nauka już w podróży na nim wielkie uczyniły wrażenie i obudziły poszanowanie.

Po kilku obojętnie rzuconych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk zręcznie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznym było, iż rad był ich charaktery wyrozumieć.

— Król nasz — rzekł mu Grzegorz — jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tym myśli i śni, mówi i marzy. Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty. Jakim będzie królem czasu pokoju, jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrzny w rozdawaniu, co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

— A młodszy? — zapytał.

— Tego ja mniej znam — mówił Grzegorz — i jako o młodszym nic nie można zawczasu przesądzać. Są w braci charakterach podobieństwa i różnice. Kazimirz więcej jest w sobie zamknięty, milczący, silniejszej woli, charakteru może będzie energiczniejszego niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

— Z nich dwu — dodał Grzegorz nie potrzebując taić się ze swym zdaniem — bohaterstwa pewnie okaże więcej starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej i jeśli z młodzieńczych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady.

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

— U nas — mówił mistrz dalej — gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo

Jagięło przez czas długi zupełnie na nich się zdawał, gdy i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią, co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodszemu by było trudniej, gdy z rycerskim panem, Władysławem, zgodzą się radzcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę u nich pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkim zajęciem.

— Zresztą — dokończył Grzegorz — wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi. Czas ludzi zmienia.

— My wam zazdrościm — przerwał Biedrzyk — bo w Polsce panujący bez rady nie

stanowi nic, a to my też u siebie mieć chcemy. Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie wielkorządcy sprawiają. Jeżeli do tego przyjdzie- my, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam i swobody nasze poręczył. Do tego dążymy. Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom i byłibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby z nas siła niemała.

— Ale wprzód potrzeba — odezwał się Grzegorz — abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zeszli, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk.

— Byleśmy obcych się pozbyli, w domu między bracią ład się zrobi. Jednej matki dziatki nie będą z sobą walczyli, ręce sobie podadzą. Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał.

— Przecieżeście przyjęli go i ukoronowali — zakończył Grzegorz. — Życzymy wam najlepiej, ale wierzcie mi, nie narody sobą i losami swymi, ale Bóg włada nimi. Przyszłość on wie jeden.

II

Gdy się to działo w kółku otaczającym królowę, poza nim nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzaniem niepokojów, jakie mu husyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, nie miał czasu wnikać z bliska w czynności królowej Sonki.

Obóz husycki niewielki, ale ruchawy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach przykład dano, spod zwierzchnictwa Rzymu i duchowieństwa przewagi. Oleśnicki

widział dobrze następstwa, które to za sobą ciągnęło. Najpierwszym była anarchia, która w kraju otoczonym nie- przyjaciółmi zgubę niosła. Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się byli mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał. Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju i zniszczenie w samych zawiązkach husytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władzcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innymi.

Z jednej z wycieczek swych powracając do Krakowa, zaledwie we dworcu swym

wysiadłszy, wprzód, nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa, wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby mu się od niej pokłonił i na zamek go wezwał. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Wiadomość urzędowa nadeszła z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego niż do innych spraw powołanego człowieka uważał, powitał po łacinie.

— O, szczęśliwy człowiecze! Ty sobie tu *Bukoliki*, *Eneidę* i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

— Pozdrowić was kazała i powitać, z tym przychodzę — odezwał się Grzegorz patrząc

biskupowi w oczy. — Rada by miłość waszą oglądać, bo ma też i nowinę pono, którą by się rada podzielić!

— Nowinę! — przerwał niespokojnie biskup. — Zaprawdę lękam się nowin, bośmy ich syci.

— Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tym sądzić nie umiem — odparł Grzegorz.

— Mówcież mi ją, jeśliście jej świadom! — zawołał biskup zaniepokojony.

— Z Pragi wieść przyniesiono pewną, że Czesi tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego Kaźmirza obrali królem sobie i poselstwo o tym oznajmujące wyprawić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie wielkiego niepokoju, niemal trwogi. Z wolna załamał ręce i usta mu się dziwnie wypaczyły.

— O! — zawołał. — Ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!

I jak by nie zważał na to, że z poufnym królowej sługą. mówił, dodał z goryczą:

— Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani, a gotuje nam i dzieciom troski i

brzemiona nad siły, tak samo szalone owo małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia układała, któremu Bóg łaskaw przeszkodził, teraz nam wojnę sprowadzi dla korony, której Kaźmirz

nie posiadzie. Co tu począć z tą jej macierzyńską troskliwością!

Grzegorz milczał.

— Czechy, Czechy! — mówił dalej biskup — zaraza, husytyzm, herezja! Już mamy zadatki tej choroby w kraju, nad którą bym morowe wolał powietrze! Czechy!

Zmarszczył się biskup.

— Mówią — odezwał się Grzegorz — iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym.

— Ale my w domu mamy do zdobycia przede wszystkim pokój i siłę, cóż dopiero za granice iść po zdobycze? Za plecami się nam namnoży Spytków, Derślawów i Zbąskich. Spojrzał bystro na Grzegorza.

— I wy, co pokój cenić umiecie, wy, co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, z bogacenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość.

— Mówiłem, że o tym sądu wydawać nie chcę — przerwał Grzegorz — królowa się cieszy.

— Niewiastą jest — westchnął biskup. — Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje.

Dziecku na skronie ten rozpalony obręcz! — Załamał ręce.

Weszli razem do dworu biskupiego i po chwili Zbyszek się uspokoił.

— Idę z wami na zamek — rzekł do Grzegorza — pozwólcie mi tylko na krótką uklęknąć modlitwę i wezwać Ducha Świętego.

Znikł biskup, a Grzegorz pozostał z kapłanem jego i młodym pisarzem amanuensem

Długoszem, w którego oczach bystra pojętność połyskiwała, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał z dala.

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytko, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zawczasu

układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle być mogą przyjęte i osądzone. Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z twarzy wchodzącego, poważnie zachmurzonej, wyczytała królowa myśl Zbigniewa.

Przy niej obok stał trzynastoletni Kaźmirz, zamyślony nad wiek swój i niewesół, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować.

— Oto przyszły król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym.

— Bogdajby nim był! — westchnął biskup — lecz niczym wybór jeszcze, niczym nawet koronacja, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy — przerwała królowa — cały gotowy zastęp kilkunastotysięczny, który pójdzie z nim — wskazała na syna — do Pragi, na pole boju i wywalczy mu koronę.

— Mamy — powtórzyła — dowódców, ludzi i pieniądze, wszystko!

Biskup stał, wcale nie zdając się tym przekonany.

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł - ani krótką. Nie da on nam spokoju.

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa. — Turcy mu tam grożą, bronić się musi.

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał

biskup. — Cóż na to powie cesarz i Paleolog 0 , i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią — poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrział i wejrzenie to rumieniec wstydu wywołało na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starań jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny.

Z wolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco — szepnęła — nie odpychaj dla tego chłopca, co mu Bóg daje. Samo się to narzuca. Czechy go pragną, żądają, proszą.

Biskup nie sprzeciwiając się już przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby

wielkie z siebie zrzucił brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tym — rzekł — jam jednym z rady, ale nie całą radą

króla, niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy nad długą i upartą wojnę.

Dla królowej było to uspokajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa w radzie

znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała. Z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów królowa Sonka, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i datkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem im okazywanym.

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów w radzie zasiadających, mających u biskupa uważanie i względy, ujęta była zawczasu.

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic sojuszem ścisłym z

Czechami, który skłonił do obli- zenią się ku Litwie, ciągnął ku Czechom. Zapominano, w jakim stanie zawichrzenia kraj ten był od dawna.

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomogą do uspokojenia i zjednania wszystkich

Każmirzowi.

Miała już pozyskanych sobie i za nią gotowych przemawiać w radzie królowa, Sędziwoja

Ostroroga wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna sandomirskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać.

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał.

Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnym zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone. Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą.

Goniec po gońcu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzono w tak śmiałe wystąpienie Czechów.

Na ostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu, Bieniasz Mokrowąs.

Królowa z radości się nie posiadała. Wielu z panów dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza nawróciło. Biskup trwał w umiarkowanym oporze.

Znano jego niechęć dla zarażonych husytyzmem Czechów, obawę, aby się herezje nie zagnieździły w Polsce.

Panowie rady, rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nic stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w Nowym Mieście Korczynie i to, co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości. Zjazd został na św. Florian naznaczony.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królowa Grzegorza z Sanoka zamówiła, aby się na nim znajdował.

Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim śmiałego wystąpienia spodziewać mogła. Spełniał jej rozkazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za tymi łowami na królestwa. Ale w nim, mimo to, miała wiernego i rozumnego sługę. Patrzał, słuchał, radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

— Wy mojej sprawy nie bierzecie do serca, ani mojej, ani dzieci — mówiła przed odprawieniem go do Korczyna.

— Miłościwa pani! Na to potrzeba by, abym jasno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest istotnie z dobrem waszym i syna — spokojnie rzekł Grzegorz. — Jam ślepy, czy też nieudolny, ale nie widzę.

— Korona nie zdaje się wam pożądaną? — przerwała królowa.

Nie rozprawiając już z nim, bo go przekonać nie mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu tylko instrukcje, co miał czynić.

— Jestem prawie pewną wygranej — rzekła — choć biskup przeciwko mnie będzie.

Jeżelibym się jednak zawiodła, baczcie, i natychmiast przybądźcie dać mi znać. Znajdę środki.

Przed Grzegorzem, choć tak ostygłym, nie tuiła się z niczym Sonka. Lice jej pałało.

— Jeśli koronę odrzuca, tak jest, znajdę środki, aby jej Kaźmirz nie postradał! Wojsko, ludzi, ochotników. Nie mogą mi zabronić popierania sprawy syna!

Sprzeciwiać się królowej nie śmiał Grzegorz. Nazajutrz z pewnym niesmakiem, wyruszył

do Korczyna.

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i nie dających się złudzić blaskiem korony,

zwyciężyły ostatecznie. Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnym, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła.

Z tą radosną nowiną wyprzedzając wszystkich wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani.

Zwyciężyła! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony.

Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszyli do Pragi.

Nie spoczywająca na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi, wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wniknąć do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a na ostatek wszystko, co miała, oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki.

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychana, owszem, jak zawsze, tak i teraz miała dla wielu ;po-nętę, urok, ciągnęła ich. Wybrani przez królowę dowódcy mieli trudność tylko w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem prosząc się pod chorągwie, ale

między nią trzeba było surowy wybór czynić. A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni lub bez koni nawet i oręza musiała powracać do domów nie przyjęta, pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech.

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swą iść i zyskiwać sobie serca młodością i miłością, jaką ona obudza.

Tu królowa nawet zachwiała się. Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie

puszczono stanowczo, panowie rady nie chcieli nawet dozwolić jechać królewiczowi. Tylko

dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla jako chorągiew. Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjść musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dni, że królowa stawiała się matką, cisnęła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją onieczulał i zaślepiął, gotową była puścić syna. Zwyciężyła w końcu matka nad królową i Kaźmirz do Czech nie poszedł. W jego miejscu, wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności, chciał sam iść wojować. Jednomyślnie się temu sprzeciwiono. Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poetą, człowieka zupełnie mu nie znanego. Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nie znana, głos, gdy się odezwał, również nic mu nie przypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnym. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu — odezwał się do niego — czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech? Wszakże się nie mylę, podróżowaliście wiele?

— Tak — odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnym — podróżowałem jako jeden z wagantów per *pedes apostolorum*.

— Przypomnicie więc sobie może wasz pobyt w Heidelbergu? — dodał nieznajomy. Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lauen? — zawołał podając rękę. — Nieprawdaż? Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak, Lauen! — rzekł z pewnym wzruszeniem. — Nie poznaliście mnie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział, kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w poważnym duchownym wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni beanów śpiewał.

— Przeszły te czasy — westchnął mistrz — pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął. Siedli przy sobie.

— Lecz skądże wy tutaj? — począł gospodarz. — Widzę, żeście w świeckim stanie zostali, co was tu do Polski przyгнаło?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć.

— Jakiż stan obrałeś sobie? — wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie — mówił Lauen — a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to nieco oczy spuszczał i rumienił się, wąsy pokręcał, bąkał jakoś nieśmiało.

— Mówiono mi — dodał — że wy stanowisko zaszczytne zajmujecie przy młodym królu.

Do tej pory już byście zaprawdę powinni byli dobić się bardzo wysokiego dostojęstwa.

— Nie pragnę go — żywo przerwał Grzegorz — wierz mi, że pokój i pracę nad księgami nad wszystko przenoszę. Zmuszono mnie przy młodym królu być na usługach, lecz jest to służba nie oznaczona, nie ciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tym lepiej.

— Król wasz młodziuchny, wytrawniej szych mężów rada mu potrzebna — odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to Grzegorz milczeniem zbył, zająwszy się gościnnym przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi szlacheckiego pochodzenia współuczeń, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Pewna sympatia i podobieństwo charakterów ich łączyło. Oba lubili poezją i śpiewy.

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tym, co go tu spotkało.

Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdaż to — po długim przestanku zagaił Lauen — że młodszy wasz królewicz do

Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go — rzekł Grzegorz — a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie.

— Zdaje się, że się do tego przygotowują — odpowiedział mistrz — lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nierad się mięszam.

— Jednakże co dzień się one o wasze uszy obijać muszą? — pytał Lauen.

— Tak, jednym uchem wlatując, a drugim daję im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały — mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyślać i rzekł po chwili:

— Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwał i stałem się próżniakiem, a

bądź co bądź zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, mielibyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjecie, a Czech się on nie wyrzeczce.

— Wszystko to może być — rzekł Grzegorz — ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, jak sądzę, lub wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowym — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach. Wstał w końcu

Lauen i choć nie z wielką chęcią zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna — rzekł — jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta, co byście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiec?

Poruszył ramionami Grzegorz zdziwiony.

— Nie czuję się do tego powołanym — odpowiedział.

— Mówmy otwarciej — szepnął Lauen. — Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuścmy, był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie.

— Musiałbym się z tym odnieść albo do królowej, lub do biskupa — rzekł Grzegorz — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ni głosu.

— Temu mi się wierzyć nie chce.

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mielibyście w istocie poselstwo tego rodzaju...

— Poselstwo, nie — rzekł Lauen — lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczny.

— Nie widzę środka porozumienia się — odparł mistrz — bez jakiegoś wynagrodzenia za tę koronę, którą nam naród ofiaruje. Będę z wami również otwartym. Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobyczy i podbojów. Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wy-rzeczcie nadziei.

— Lecz i ten okup może by się znalazł — rzekł powoli i mierząc słowa Lauen.

— Jeżeli o pieniądzach mówicie i wynagrodzeniu nimi — przerwał Grzegorz — wiem, że one nie skuszą.

Lauen milczał w stół patrząc długo. Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnym,

Niemiec dodał:

— Gdyby wola była do układów, środki by się znalazły. Popróbować by należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy — wtrącił mistrz.

Zachwiały się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłanym od Albrechta.

— Ale to bije w oczy — rzekł mu Grzegorz. — Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe nie wdaję się i nie rozumiem na nich, odgaduję, żeście tu, do mnie, nie dla odświeżenia wspomnień heidelberskich przybyli. Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądz sobie, jak chcesz — zawołał — przyznać musisz, że nie ma w tym nic zdrożnego iść z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju!

— Lecz jestże on możliwy?

Naciśnięty raz jeszcze Lauen się rozpiął nareszcie.

— Cóż byście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj dwie się wam

zapewniło w przyszłości. Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki, spodziewa się wprawdzie jeszcze, ale najpodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych Władysław i Kaźmirz byłiby mężami pożądanymi, a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie, znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Albrecht by się zgodził na to? — zapytał.

— Tak sędzę — mówił Lauen — pod pewnymi warunkami. Żądałby zapewne od przyszłych zięciów sojuszu i pomocy.

Mistrzowi, im więcej rozważał to, więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł.

Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie taił.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna — rzekł — nie wiem i wątpię, czy ją zdołamy przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto. Zatrzymaj się tu, spróbuję.

Nie będę jednak taił przed tobą — dołożył — że przywiezienie jej tutaj, w chwili gdy wojska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiacie. Jeżeli to uderzy innych jak mnie!

Lauen się zmieszał.

— Cóż pocniemy? — zapytał.

— Myśl ta od was by wychodzić nie powinna — dodał Grzegorz.

— Poddajcie ją sami.

— Nie mam ani powodu, ni podstawy. Z tym wszystkim — odezwał się mistrz po namyśle

— pozostańcie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się, będę ważył i próbował.

Podali sobie ręce.

— Tak — rzekł Lauen wzdychając — nie mylisz się, potrzebujemy nie tylko pokoju, ale

posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

— Idź do gospody — odparł Grzegorz — i milcz. Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną sojuszu nadzieją natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego poprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kaźmirz młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nie licząc młodzieży rówiesnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczął mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie:

— Miłościwa pani, po co by to nam ta wojna i zapasy! Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwu młodzieńców, posłać by w swaty, razem z oblubienicami dwie korony by przyszły!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, nie byłoby to złym, ale córki młode i oni młodzi, nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba, a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą. Zresztą nie wiadomo, czy Albrecht by zgodził się na to.

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

— Tak pewnym tego jestem, że gardło bym stawił. Zdradził się tymi słowy, postrzegł to sam, chciał poprawić, zawikłał.

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni, królowa matka, która o królestwach dla synów roiła tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała danym znakiem Grzegorza do siebie. Nastąpiła na niego, iż mówić nie mógł na próżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nie umiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami

pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiała, gdy o synów chodziło i o zabiegi dla nich, mogące zdumieć

biskupa, a dowieść mu, jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała

Grzegorzowi, aby Lauena nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciła mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby on z kim innym o tym jak z nią nie mówił, była zazdrośną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większą stawała się potęga Zbigniewa biskupa, tym ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegiwością swoją i niezmordowanymi staraniami.

Lauen zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, po-prowadzony bocznymi przejściami,

znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej, niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanoka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciła królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem. Myśl nie została

odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskim sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stańto na tym, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta.

Nikt o tym wiedzieć nie miał.

Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa. Poza plecami jego

królowa wszystko mogła przygotowywać, ale bez niego dokonać nic nie godziło się jej, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd

był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl — rzekł — jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi,

gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacji w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru.

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spełzły na niczym i Kaźmirz

pozostał w domu, a wysłane wojska daremną odbyły nie bez strat wyprawę.

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż zaledwie jedno

spełzło na niczym, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał ręczo.

Nadszedł rok 1439.

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie spod Smiderowa w Rascji (Serbii) Albrecht nagle zachorawszy umarł.

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona Elża, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom, ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrzała.

Utrzymywała zawsze Sonka stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów.

Zaledwie poseł znad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy stąd już wierni królowej słudzy lecieli na Węgry.

Spełzły wybór Kaźmirza w Czechach potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy którego imię brzmiało jako bohatera. Królowa nie tuiła przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrów był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a Władysław król młody sam z taką niepohamowaną żądzą boju wyrwał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymywać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała:

— Idź i walcz!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójda wojować z pogany.

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie rady z chłodnym rozumem,

rachubą i rozważą, prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania.

Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry.

Królowa matka, po niewieściemu widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką ożenić z nią samą Władysława.

Elza miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwym, dlaczegóż po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być zaswatana.

Wszystko to roztrząsało się gorączkowo, pospiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którą by się dla korony tej nie ważyła.

Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milczano. Znaczna też część panów, pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa.

Młody król, byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić. On, dwór jego, mnodzy pochlebcy, całymi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręza, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania.

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążyło.

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu w duszy znajdował go może

pożyteczniejszym niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę. Ale tu obowiązki względem

zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najechane i ujarzmione wołały o ratunek. Biskup Zbigniew zamilknąć musiał.

Gotowała się wojna święta, krucjata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszeniu.

Świadek mimowolny tego zaprzątnienia, wśród którego nikomu nie wolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej niż czynnym współpracownikiem w

robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał, z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego

matkę zaczynał trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozwaga we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniejszymi u boku młodego zapaleńca. Z góry więc już postanowionym było, że mistrz jako kapelan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcji nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnym w duszy przeczuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami. Hocz wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan spodziewał się zająć miejsce na Ratuszu. Balcerowie byli spokojni. Tu życie płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej.

Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż nie dosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu. Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój skarżyć, obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczym, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczynała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz jak zawsze:

— Widzicie, jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi, a ludzie niekontenci z niego.

— O jakiejże to drodze mówicie? — zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego płatnin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi —

mówił Grzegorz. — Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę.

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Zaprawdę wybranym będzie — przerwał Grzegorz — już dlatego, że królowa tam ma i

wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczna, a w końcu, że mnie nie miła.

Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka...

Fraczkowa łyzy też miała w oczach.

— Uwolnijcie się od tego dworu — szepnęła.

— Sumienie nie pozwala — rzekł Grzegorz — królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce. Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą, iść więc muszę!

— Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec niosący koronę.

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który

Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu wszedł we wrota z wieścią pożądaną.

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Miał zaślubić wdowę po Albrechcie.

III

Wesoło, huczno obchodzono Święta Bożego Narodzenia w Krakowie. Królowa Sonka

odmłodziła, wszystko zdawało się skończonym szczęśliwie. Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie

Władysława.

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co

potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nade wszystko urokiem mowy i oczu, obejściem się z ludźmi umiejącą ich jednać sobie. Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta słynęła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą synową, wdzięczną jej. będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła.

Nie mogło ono jednak wprzód przyjąć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której

zależało wiele. Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tym królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem.

Ci, co z Węgier przybywali, nim poselstwo pospieszyło, co innego opowiadali przed

królową, inaczej szeptali po cichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano, co

Węgrzy mówili, iż łyzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakim bądź

sposobem uchronić. Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwym, a młody król wcale o nim nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krępowany nawyknięciem posłuszeństwa matce i biskupowi. Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać w świat i pełną piersią oddychać. Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać.

Około zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał

Jan biskup Szegedynu, Taloczy ban sławoński, Emeryk Marcella marszałek dworu i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świętego orszaku wyjechał w imieniu brata Kazimirz z duchowieństwem i

panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się kazały o tym zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunastu młodzieży, której przewodził

Michał Orszag, pięknej i bogato przybranej, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska,

bo go nie pożądał, unikał ściągnięcia na siebie uwagi, mógł się tym lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który poczynał być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na

siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareście mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzałym był daleko niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybciej, a w tym roku osiągnięta pełnoletność, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym. Nic dziwnego, że korzystać by był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia się to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali. W młodym panu rodziło to chętkę oporu i pewną niecierpliwość. Przybycie posłów pochlebiało dumie z początku, po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozszluchał i rozpatrzył król, choć nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakiegoś zafrasowania i zniechęcenia.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić,

biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi, co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały.

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu

się znaczniejszej części gości zamkowych pozostał z nim i Ryterskim marszałkiem dworu a nieodstępny prawie towarzyszami królewskimi Mikołajem Strzegomia Chrzastowskim i

Nekandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania. Król więcej słuchał, niż mówił. Czasami, gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posepniał i milczał.

Z tych, co z królem byli, pozostał na ostatek tylko marszałek dworu Ryterski, ten sam, którego niegdyś młodemu synowi Jagiełły kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana, nie odznaczał się niczym, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa i spełniał ich wolę. Własnego nie miał zdania.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał marszałka, chciał i Grzegorz z Sanoka odchodzić, bo godzina była spóźniona, król dał mu znak, aby pozostał.

Byli sami. Władysław, jak by się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się parę razy po izbie. Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? Wy mi dobrze życzycie? — zawołał stając naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając. — Nieprawdaż?

— Miłościwy panie! — odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

— Ja wierzę w to — rzekł pospiesznie Władysław — i ufam wielkiemu rozumowi

waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę rad bym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?

Popatrzył na Grzegorza.

— Każą mi się żenić z Elżką, która by' matką moją być mogła — dodał król — z kobietą,

która, wiem to, wcale mnie nie chce. Dwoje dzieci! Trzeciego się spodziewa! Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić, ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo i innego nie pożądam! Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowy i przewagę tam mający Dionizy kardynał biskup ostryhomski, ban kroacki Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly są przeciwko mnie. Tej korony ja się będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom!

Zamilkł patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrym położeniu. To, co mówił król, on też

myślał, ale królowa i biskup Zbyszek nawet sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę

chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla on sam królestwem rządzić będzie. Nawyknienie do rozporządzania wszystkim, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadało na tę niespodzianie objawioną niechęć króla odpowiedzieć

potakiwaniem. Lękał się. Z tym wszystkim była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, co by z nim wchodzili w układy.. '

Rzekł więc po krótkim namyśle.

— Miłościwy panie! Ja wcale temu, co mówicie, nie przeciwię się, ale jeżeli takie

wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawicie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszność? — zagadnął król zwracając się ku niemu,

pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak, są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie

znam się i sędzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo, ale ci, co patrzą z góry, co interes kraju więcej ważą niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpliwością jakąś król dodał poufałej:

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym

królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci. A jeżeli królowa następcę męskiego na świat wyda?

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tym — rzekł — że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z

kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony. Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary, cóż znaczą inne, co znaczy małżeństwo, osobiste względy i ofiara?

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle — dodał król. — Lecz cóż przeszkadza, abym ja z

rycerstwem polskim poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą?

— Miłościwy panie — przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciążyła. — Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć.

Zmieszał się nieco młody pan.

— Mój Grzegorzu — rzekł — ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni — matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodszego jeszcze, niż jestem, za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zważać nie będzie na to, co powiem.

— Tak — odezwał się Grzegorz — raz pierwszy, gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano. Tymczasem korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tym cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie, nie — rzekł namarszczony Władysław — ja się żenić z nią nie chcę! Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożenienie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę, nie mogę, nie ożenię!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król i, jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył i dodał:

— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz jak ja. Wydarłej dziecku i kobiecie korony nie chcę! Na Węgry pojedziemy, ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana taką radością napełniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał.

Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak — powtórzył król. — Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry. Posłowie pojechali do królowej, czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami. Ojciec św., cesarz Paleolog, Włosi nalegają, pójdziemy bronić chrześcijaństwa.

— I wy ze mną? — dołożył pospiesznie w końcu.

— Na cóż się ja tam przydam? — wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się do- zwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje.

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław, jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń!

— Ze wspaniałym i dzielnym wyruszmy orszakiem — począł. — Tak pięknego, tak

uzbrojonego wojska, jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały. Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili. Widzieliście moich przybocznych, moich druhów i towarzyszków? Co to za zastęp żelazny! Co za konie, rynsztunki, zbroje, rzędy i oręż! A, gorączka mnie porywa, gdy myślę o tym. W pole, w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz.

— Widzicie, miłościwy panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

— A, tak — zawołał król nagle smutniejąc — ale gdy pomyślę o ożenieniu, o sierotach, o

przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz, wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego.

Wzdrygnął się młodzieniec.

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyło mu oczy.

Inaczej poglądał teraz na swojego wychowanka. Nie znał go dotąd dobrze i miał też za dziecko, objawił mu się w nim człowiek.

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzec w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał, co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa

Szegedynu ugaszczwał Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego,

wystawując mu całego chrześcijańskiego świata potrzeby i pokładane na Polsce nadzieje. Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgom.

Gdy się to działo, a Grzegorz nasz, zawsze stojąc na uboczu, nie mieszał się czynniej do dwóch obozów, które się na dworze zarysowywały, królowa matka zagadnęła go wieczora jednego, zobaczywszy milczącego w ciemnym kątku.

— Wybadajcie Władysława, chmurzy mi się, co mu jest. Rada bym go widzieć

szczęśliwym. Idzie wszystko po myśli! Nie wiecie przyczyny, dlaczego mi dziecko posmutniało?

— Miłościwa pani — odparł ośmielony mistrz — może dlatego, że się już nie czuje

dzieckiem.

— Co to znaczy? — przerwała rumieniąc się Sonka.

— Wy jako matka możecie go wybadać, jam obcy — dodał mistrz.

— Nie wiecie o niczym? — spytała królowa.

— Domyślam się tylko, że młodemu panu, szlachetnego serca, nie chce się może starszej od siebie wdowie, mającej dzieci, narzucać za pana i męża. Między Węgrami krążą wieści, że wdowa zmuszona tylko przystała na podzielenie się koroną, mogło coś dojść do króla. Pytajcie go! — rzeki Grzegorz z Sanoka.

Królowa łatwo się niecierpliwiąca pokraśniała słuchając i uderzyła nogą w posadzkę.

— Plotą niechętni baje! Nie może to być, aby Elża go nie chciała! Jestże na świecie kobieta, która by Władysława mogła odepchnąć! Piękniejszego, szlachetniejszego króla nie ma na ziemi. To perła!

— Tak, miłościwa pani, lecz dzieci matce od pereł są droższe, a wy to wiecie najlepiej.

Zadumała się królowa Sonka.

— Wy go wybadajcie — rzekła.

— Nie mam prawa ani umiejętności po temu — odezwał się Grzegorz. — Za złe by mi wziął mieszanie się do spraw.

Z niechęcią ruszywszy ramionami królowa odstąpiła krok i wróciła nazad.

— Więc i wy zapewne słyszeliście — rzekła — co ta gawiedź węgierska plecie. Ale to gawiedź i ciury! Ani biskup

Jan, ani Orszag, ani poważni posłowie nigdy o tym nie wspomnieli.

— Nie mogli mówić przeciw sobie — dodał Grzegorz.

— Wy w to wierzycie? — przerwała królowa.

— Mnie się zdaje prawdopodobnym, że matka broni interesu dzieci! A jeżeli syna wyda na świat?

Nie doczekawszy końca Sonka zawołała gwałtownie:

— Nie może to być! Nie może! Miała dwie córki! Syna mieć nie będzie.

Mimowolnie uśmiechnął się Grzegorz.

Królowa Sonka, jak zrażona, odstąpiła dumnie, rozmowy już nie przedłużając. Grzegorz się usunął do swojego kąta.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanym wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy, i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup Jan szegedyński jeden utrzymywał zawczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława. Przewidzianym to było i przeznaczonym dla niego dział austriacki i Czechy. Polski król miał pozostać razem węgierskim.

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż wołając o hasło dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna już upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dworu Ryterskiego, a ten z listy i słownym doniesieniem wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony ślęczył nad księgą.

Ryterski przychodził w niepewności, co czynić miał, spytać mistrza, czy wypadało budzić królową dla posłańca z Węgier.

— Miły panie — rzekł wstając zza pulpitu mistrz — jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie, jeżeli złe, nie spieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie. Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżymnął ramionami.

— Narodził się pogrobowy syn Albrechtowi!

— Syn! — wykrzyknął Grzegorz. — Nie macież po co budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno radzić na to.

Jednym z pierwszych więc Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekorę sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca.

Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień, komornik króla, który o brzasku wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie, przybiegł do Grzegorza. Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannym ubraniu, z twarzą wesołą.

— Wiesz — zawołał — Elża ma syna, a ja doskonały sposób wycofania się! Dziecku jej nie mogę odbierać korony.

— Tak, miłościwy panie — rzekł mistrz — ale w układach, które przywiózł biskup z Szegedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki.

— Nie chcę ich — przerwał król — nie chcę! Nie mogę! Zaledwie zamienili słów tych kilka, gdy królowa Sonka w sukni zaledwie narzuconej i chuście na głowie ukazała się we drzwiach.

Oczyrna zmierzyła ich obu. Grzegorz cofnąć się chciał, król skinął, aby został.

— Elża ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie. Ale to nic nie znaczy, nic.

— Owszem, dla mnie to znaczy bardzo wiele — śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza, jak by go na pomoc wzywał. — Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę.

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości ludzie, a nade wszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać —

rzekła ostro — powinni dotrzymywać słowa! My i ty, przyjęliśmy warunki, przywiezione przez posłów. Ten dzieciak weźmie sobie księstwo

Austrii, no i Czechy — dodała z niechęcią — a ty koronę węgierską.

Młody król zamilkł, lecz twarz jego się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki,

nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawić będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił. Przeszła się milcząca po izbie i z kolei ona też zwróciła, jakby w pomoc powołując Grzegorza z Sanoka.

— Powiedzcież wy królowi — odezwała się — że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też

powiedzieć muszę, że szlachetnego Jego Miłości uczucia dla sieroty i wdowy żaden człowiek nie potępi.

— Co za wdowa, jaka sierota? — wybuchnęła Sonka. — Powinna się czuć szczęśliwą, iż

takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyrna! Nie ma się co użalać nad jej losem, ale go chyba zazdrościć!

Na to namiętnę wystąpienie królowej trudno odpowiadać było, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana.

Od rana dnia tego na zamku rozpoczęły się bieganie, powoływanie rady, wyprawianie

posłów. Panowie zjeżdżali się na zamek. Królowa wezwała swoich, Sędziwoja Ostroroga i Jana z Konicpola.

Biskup Zbyszek z gościem swym biskupem Janem znaleźli się po mszy na pokojach.

Nadbiegli i inni posłowie.

Król, zagadnięty przez Oleśnickiego, odważnie mu oświadczył, iż korony nie chce, że ona mu wstręt czyni wydartą sierocie.

Zmarszczył się Zbyszek, lecz nic nad to odpowiedzieć nie umiał, że na pierwszym

względnie była obrona przeciwko niewiernym, a spadek pogrobowca na szalę z nią iść nie mógł.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzód widzieć i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać.

Pomimo to w pierwszej chwili podzieliły się zdania.

Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu i szli za nim, inni z królową i biskupem.

Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada.

Na Węgrach widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nie tylko utrata

posiłków, jakich się w rycerstwie polskim spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elży i tych wszystkich, co z nią i Cillym Ulrykiem trzymali.

Powstały lamenta i najgwałtowniejsze odwoływania się do zawartych umów.

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka, ani biskup

niechęci jego do tego małżeństwa przełamać nie mogli. Unikał nawet mówienia o tym.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sanoka, o którym wiedział, iż bliskim był młodego króla.

— Wpłyńcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych

spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adrianopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim.

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płocze względy — rzekł — krzywda się nikomu nie stanie. Warunki przyjęte zostały.

— Ja na króla wpłynąć nie potrafię — przerwał Grzegorz — to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy.

Z tym odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nie poruszony w swym postanowieniu.

Królowa widząc, że inaczej go nie pokona, rzuciła się w inną stronę.

Zwołano rówieśników i towarzyszków króla, Tarnowskich,

Tęczyńskich, Zawiszów. Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkim sercem. Im poleciła Sonka, aby króla nawracali.

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuconymi twarzami i utyskiwaniami swych

rówieśników, król począł żałować tego, że na wojnę przeciwko niewiernym nie wyjdzie. Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, który by dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać.

Ta wojna z niewiernymi, która krucjatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławioną, zwycięską, miała tyle dla młodych uroku.

Grzegorza z Sanoka nie powołał już król do siebie.

Węgrowie tymczasem nie tracąc chwili jednej zabiegali na wsze strony. Doniesiono im o

panach, którzy odradzali przyjęcie korony, udali się do nich, jednych błaganiami, drugich ujmując obietnicami.

Sam biskup czynnym był wielce i gorliwym. Niektórzy w radzie dali się jego powadze ująć, inni zamilkli.

Zbierano się razy kilka, rozchodzono z niczym. Król milczał. Stronnictwo jego zmniejszało się,

królowej rosło. Nie starając się syna przekonać, Sonka znajdowała stosowniejszym zyskać radę i jej zdaniem zmusić króla do przyjęcia korony. Wszystkie więc zabiegi skierowane były ku tym, co jak Jan z Tęczyna i kilku poważniejszych króla dla siebie mieć chcieli, a Węgier się wyrzekali. Ci wkrótce pozostali w zmniejszającej się coraz garstce i odzywali coraz słabiej, mniej głośno.

Stronictwo królowej przemagało.

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga postu niedziela.

Pod niebytność króla, w końcu na radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie.

Oznajmiła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wolą było wszystkich, zdaniem rady, aby umowa utrzymaną została.

Zmarszczony, milczący, Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nic tu nie ważą! — odezwał się.

Z pieśczośliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodę, zbliżyła się matka.

— Będiesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym! — zawołała. — Szczęście królów jest w ich potędze i w błogosławieństwie ludów, a ciebie nie jeden naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie. Co dla ciebie znaczy ta kobieta!

— Ruszyła ramionami.

Nazajutrz powtórzyło się z rana to samo z biskupem i przedniejszymi panami rady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął.

Władysław był piętnastoletnim dzieckiem rycerskim.

Daleko silniejszej woli i charakteru człowiek uległby był może takiemu naciskowi, natarczywości, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom. Smutny, zawstydzony własną słabością, król milczał, nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta, rozpuszczona po mieście, złamała tych, którzy popierać chcieli Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem, a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się, jakoście chcieli, pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje, bogdaj byście kiedyś nie żalowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczepu najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!

Nazajutrz, była to druga postu niedziela, jak by chciano postanowienie uczynić

nieodwołalnym, biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo.

Biskup Jan z Szegedynu, wszyscy posłowie węgierscy, mnogi tłum ciekawością

ściągniętych ludzi napełnił świątynię. Król młody, królewicz Kaźmirz, królowa matka, dwór świątyni i liczny znajdowali się, przytomnością swą uświęcając ogłoszone korony przyjęcie.

Z kościoła wprost wszyscy szli do sali Białej na zamek, gdzie król na tronie miał

przyjmować węgierskich posłów. Wcisnęli się do niej i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzyć mieli, dać im nie można było.

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym

towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał. To niespodziane ukorzenie się wzruszyło króla. Powstał z tronu, bledniejąc i rumieniąc się na przemiany.

— Bóg mi świadkiem — zawołał podnosząc oczy — iż nie dla żądzy panowania, nie dla

ziemskich widoków, przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary.

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapal rzewny, a smutny,

brzmiało to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej z dala na podwyższeniu, łzy się w oczach zakreśliły.

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły

jakimś przeczuciem bolesnym. W głosie króla brzmiało jakby jasnowidzenie męczeństwa i

poświęcenia.

W takim uroczystym ducha podniesieniu, po cichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero Węgrów zapal, radość i wdzięczność wybuchnęły.

Biskup Szegedynu nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjąwszy młodzieży rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero, gdy młodego króla postradać mieli nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkim będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z nimi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządu, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanym.

Trwać więc miało bezkrólewie owo długie bez końca.

Młodzież tylko widziała w tym wszystkim zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomiędzy nią panował zapał nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowiadaniem o kraju swym, jego bogactwie i piękności podsycali.

Król nawet, z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłumaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu — rzekł łagodnie — nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do

Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żenić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej,

pomimo przynaglania i pośpiechu, nie mógł się tak odbyć skoro, jak żądano. Każdy z panów, z Tęczyna, z Koniecpola, ze Szczekocin, brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rysz tunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach zbierać, ściągać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawiała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie

Węgrom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier. W pierwszej chwili dla powagi, dla układów, dla zabezpieczenia się na przyszłość, biskup Zbigniew był koniecznym. Sam on zgadzał się na to, aby króla odprowadzić do Budy, tym bardziej, że i on, i królowa, choć taili się z tym, wiedzieli dobrze, iż Elża królowa nie chciała znać narzucanego jej męża i siłą tylko wymożono od niej zezwolenie na małżeństwo, z warunkiem gdyby nie miała syna. Nie było wątpliwości, że wydawszy go na świat tym bardziej oprze się wyjściu za męża.

Biskupowi miał towarzyszyć dziekan krakowski Lasocki i podkanclerzy Piotr ze

Szczekocin. Jan z Tęczyna wojewoda krakowski, Przedbor z Koniecpola kasztelan, Wincenty z Szamotuł, Hincza z Rogowa, Mikołaj z Brzezia marszałek, Łukasz z Górki, wyznaczeni byli do orszaku poważnego, nie licząc młodzieży najpierwszych domów, najstarszych rodów. Węgrowie naglili o pośpiech, o wyjazd, słusznie się lękając, aby zabiegliwa królowa nie zyskała sobie przyjaciół, nie utrudniła królowi objęcia rządów.

Tymczasem spiknęła się przeciwko pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie

przychodząca wiosna, która to się obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały

szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach i deszczach chwytały mrozy silne.

Podróż, zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych i strumieniami a rzekami poprzerynianych, stawała się niepodobieństwem. Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano za znak z nieba i przestrogę, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

W istocie przeszkody do podróży się mnożyły. Z Litwy nadeszła wieść o zamordowaniu

wielkiego księcia Zygmunta, którego na Wilnie potrzeba było zastąpić nowym wielkorządcą, a dwa wrogie sobie obozy kraj dzieliły na nieprzejednane zastępy, występujące do walki.

Królowa Sonka pamiętna zawsze, aby los synów zabezpieczyć, natychmiast powzięła myśl

usunięcia obu stron- nictw, a wysłania tam Kaźmirza, który by w imieniu brata Litwą rządził. Nie mówiła o tym w pierwszej chwili, ale mając w Litwie przyjaciół i stosunki, znając ją dobrze, potajemnie wyprawiła swoich ludzi, aby namawiali Litwę do wezwania i dopraszania się o

Kaźmirza.

Ponieważ współcześnie prawie mazowiecki książę zajechał dawniej posiadany Drohiczyn i

obie te sprawy wymagały pilnego czuwania, król w początku spróbował nimi się od Węgrów

uwolnić.

Lecz nie dała mu królowa mówić o tym nawet. Wszystko było w gotowości, panowie mający towarzyszyć ponieśli wydatki znaczne, podróż była zapowiedziana, cofać się nie godziło.

Nie brakło ludzi, co zastąpić króla mogli.

Wszystko zdawało się w pomoc przychodzić Władysławowi, aby go uwolnić od korony, lecz za późno.

Goniec nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tym, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austriackimi, mająca z sobą Cillego i Garę, posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny.

Za węgierskimi posłami w ślad jadący do Elży Polacy Sędziwój Ostroróg i Jan z

Konieczpola, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przezornie zawrócili się z drogi, nic nie sprawiwszy.

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo że to byli jej pomocnicy i

przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ulękli, dowodziła, że jechać do Komorna bądź co bądź byli powinni i starać się przekonać królowę Elżę.

Znowu na parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się dowodząc, iż wszystko się

składało przeciwko podróży. Węgrowie przy swoim stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem ulęknąć się i nie strzymać słowa.

Wprawdzie królowa Elża siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszym, król prowadził z sobą wojsko, Węgrzy, którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jednak cała, która niedawno zdawała się pochodem zwycięskim, teraz już jawnie zapowiadała walkę

O koronę.

Biskup Jan szegedyński zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się

tylko, aby sobie wszystkich pozyskać. Toż samo powtarzała królowa matka, a rycerstwo otaczające króla domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło.

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała. Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach, o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy, czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko tak, jak by jutro miano w imię Boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwąca się i pożądaną, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży.

Wiosna nie przychodziła.

Natomiast usłużne gońcy od granic co dzień przynosili nowe wiadomości o królowej Elży, która z Cillym Ulrykiem, Garą i Austriakami sposobiała się stawić opór i odwoływała do pomocy cesarza Fryderyka. Utrzymywano, że Cilly w pięćset koni już był się wyprawił zająć Budę dla królowej, gdy go Szymon Rozgoń biskup uprzedził.

Rozpowiadano, że na wszystkie strony rozsyłała królowa z listami, obietnicami i korzystała z czasu, aby polskiemu wybrańcowi zatamować drogę.

Nie mówiono o tym głośno w Krakowie, wcale przeciwne puszczając pogłoski. Niemniej wiedział biskup Zbyszek i królowa, że układy, na które pozornie tylko Elża przystała, zerwane przez nią zostały.

Można było przewidzieć, że powrót do Polski nie nastąpi tak rychło. Ostatnie dni zajęło wyznaczanie wielkorządców.

Przy królowej w Krakowie, po usunięciu Pileckiego, panem krakowskim i starostą został Jan z Czyżowa, do Wielkopolski jechał dawny marszałek dworu królowej, oddany jej i synom Wojciech Malski.

IV

Wojna o węgierską koronę była, powiedzieć można, walką dwóch matek, dwóch królowych o losy ich dzieci. Sonka i Elża stały naprzeciw siebie, a królowa polska oddalona od miejsca, w którym dramat się miał odegrywać, potrzebowała większego wysiłku, przebiegłości, czuwania, niż Elża wdowa po Albrechcie, mająca za sobą i prawo spadku, i znaczną zmarłego męża gromadkę przyjaciół, którzy przy niej spodziewali się panować, opiekując dziećmi.

Posłowie do Polski wyprawieni, biskup Szegedynu, Taloczy, Peren i Marzelli zapewniali w Krakowie wybranego przez siebie pana, że wdowa zgodziła się wyjść za niego, zamilczeli wszakże, iż do ostatka kładła za warunek, jeśliby syna nie miała, a głos jakiś proroczy mówił jej, że Bóg da

syna.

Około niej skupiali się wierni, hr. Ulryk Cilly bratanek, Gara i wielu innych austriackich szczególnie panów. W Czechach też jednała sobie zwolenników i poparcie miast niemieckich.

W końcu roku 1439 królowa przebywała w Wyszehradzie. Towarzyszyli jej tu biskup raabski Benedykt, wojewoda Losoncz, sędzia nadworny Stefan, hrabia Franciszek Csak, Stefan Rozgoń, Peren i wielu innych panów, którzy wiernymi jej pozostali. Korona poświęcona królewska znajdowała się w skarbcu. Szło Elży, aby ją miała w ręku. W przytomności panów otworzono skarbiec, złamano pieczęcie pudła, w którym spoczywała, i wyjęto koronę. Złożyli ją potem przytomni w osobnej skrzynce, razem z mniejszą koroną królowych, a Elża wydała świadectwo hrabiemu Bósing, iż *insignia* odebrała.

Ale zaraz następnej nocy kosztowny ten klejnot znalazł się w niebezpieczeństwie. W tej samej izbie, w której korona złożoną była, spała królowa z dwojgiem dziewcząt służebnych, Węgierką i Niemką. Przy łóżku królowej, wedle zwyczaju, paliła się świeca, która spadła na skrzynię zawierającą obie korony, i poduszki aksamitne na nich już płonęły.

Szczęściem przebudziła się stara, wierna sługa, Kottanerin i pożar ugasiła.

Ale nazajutrz z obawy o poświęconą koronę nazad ją do pudła w skarbcu złożono. W kilka dni potem niespokojna

o zamek królowa klucze odebrała hr. Bósing i oddała je stryjowi Władysławowi. Ten naznaczył od siebie burgrafa i razem z królową odjechał do Budy.

Koronę mniejszą zachowała przy sobie królowa, a drzwi od skarbcza na Wyszehradzie dla bezpieczeństwa Gara chustą zawiązawszy opieczętował. Z Budy odjechała królowa do Wyszehradu, a Cilly Ulryk doradził jej, aby w jakikolwiek sposób koronę poświęconą dostała.

W pierwszych dniach stycznia królowa znajdowała się już na Wyszehradzie. Mieszkała w dolnym zamku. Nie chciała się stąd oddalić, chociaż mniej się tu czuła bezpieczną, choć Cilly i Gara doradzali przeniesienie się do Komorna, dlatego tylko, że tu miała na zamku, w skarbcu tę koronę królewską, której strzegła. Bez niej, choćby chciano w Budzie koronować polskiego króla, obrzęd nie mógł przyjść do skutku.

Tymczasem stan zdrowia Elżbiety wymagał bezpiecznego miejsca, w którym by słabość przebyła. Nalegano na to, aby się przeniosła do Komorna.

Królowa nie chciała myśli swej zwierzyć nikomu, bała się oddalić od korony.

Swoją, którą sama koronowaną była, miała już w ręku. Leżała ona ukryta pod łódeczkiem córki jej Elży.

Korona królów zamknięta leżała w skarbcu.

Tę koronę, tę koronę, którą jej spodziewanemu synowi wydrzeć chciano, musiała dostać królowa!

Zmuszono ją niemal do przeniesienia się do Komorna, królowa jednak pozostawiła w

Wyszehradzie swoją żeńską służbę. Miała plan już osnuty. Koronę wykraść było potrzeba!

Do starych wiernych sług Elży należała Niemka Helena Kottanerin, kobieta prosta, pobożna, niezbyt przebiegła, ale oddana jej cała, taż sama, która już raz od ognia ocaliła *insignia*. Nikt w niej nie mógł się ani domyślać nawet narzędzia, które posłużyć miało do wydobycia klejnotu tego z Wyszehradu, zapewniającego oczekiwanemu synowi panowanie.

Królowa chora, blada, spłakana, chodziła ręce łamiąc.

— Heleno moja — szepnęła dnia jednego z gorączkowym wysiłkiem do starej sługi — ty musisz mi usłużyć, ty jedna możesz.

— A, ja bym za ciebie życie dała, królowo moja — odparła Niemka podnosząc zapracowane ręce — ale cóż ja mogę?

— Pan Bóg pomoże! Opieką swą osłoni cię patronka moja Elżbieta, której relikwie złożone są w kaplicy na Wyszehradzie — mówiła królowa z gorączkowym pośpiechem. — Pojedziesz po

dziewczęta moje, pozostałe w Wyszehradzie. Mieszkają na zamku, tuż przy izbach, które zajmują, jest wniście do skarbcza. Zamki potrzeba wyłamać, koronę królewską trzeba dostać i przywieźć tu, aby tego króla cudzego ukoronować nie mogli. Ja ją mieć muszę!

Kottanerin przelekła się srodze i drzeć zaczęła.

— A jakże ja tego dokazać potrafię?!

— Weźmiesz wiernego sługę do pomocy, wybierz sobie, kogo chcesz — kończyła królowa obejmując ją białymi rękami — drzwi są opieczętowane, dam ci małą pieczęć moją, abyś ją przyłożyła na nowo. Nocą wyłamać zamki łatwo. A, tę koronę, tę koronę mój syn... bo ja muszę mieć

syna, winien ci będzie!

Szaloną myśl, którą tylko miłość matki natchnąć mogła, raz po wzięwszy, Elża nie chciała się jej wyrzec. Z chorobliwą natarczywością zmusiła niemal przerażoną Kottanerin, aby zgodziła się na wykradzenie, i wyprawiła ją natychmiast.

Miesiąc zaledwie upłynął od przeniesienia się do Komorna, gdy Niemka dobrawszy sobie

pomocnika w prostym, ale odważnym słudze, który miał jej towarzyszyć, dnia jednego rano bardzo puściła się do Wyszehradu, modląc przez całą drogę.

Było to w styczniu, sanna trzymała jeszcze, Dunaj okryty był lodem. Magyar, człek silny i pewny, wiedział, co miał do spełnienia w Wyszehradzie, ale się ważył, spodziewając nagrody od królowej. Zabrał z sobą na zapas zamki, aby mieć czym połamane zastąpić, pod suknią je ukrył, a w buty pochował piłki i pilniki.

Przed wieczorem stanęli na zamku. Kobiety królowej i mała Elża, księżniczka szląska, pozostawione tu same, znudzone, stęsknione, powitały przybywającą po nie Kottanerin z niewymowną radością.

Stara oświadczyła im, że królowa ich potrzebuje i natychmiast kazała się gotować do podróży nazajutrz. Mnóstwo rzeczy miały zabierać z sobą, pospiesznie więc zaczęto szukać desek i zbijać skrzynie.

Przygotowania te trwały do ósmej wieczorem, na zamku chodzono, krzątano się, stukano, pakowano, pełno było ludzi i nic poczynać nie mogli. Obejrzał tylko Magyar miejscowość, obmacał drzwi opieczętowane. Wsunął się do izby dziewcząt, żartował z nimi, śmiał się, swawolił, a tymczasem rozmyślał, co ma robić.

Sam on z pomocą słabej i przestraszonej kobiety nie mógł temu podołać, poszedł więc szukać pomocnika dobrej woli i znalazł go w prostym parobku, którego związał najuroczystszą przysięgą.

W jednej z izb miały spać dziewczęta królowej, tuż obok w drugiej Kottanerin. Z tych drzwi prowadziły do skarbcza opieczętowanego. Z drugiej strony przez sień była zamkowa kaplica.

Zima była ostra, izby potrzebowano opalać dobrze, przynoszono drewna i Magyar, dosyć

nieostrożnie, przywiezione pilniki wetknął tymczasem pomiędzy drewna przy kominie. Służba, która drwa znosiła, dobytek je na wierzch!

Sługa zobaczywszy to zbladł jak trup, ledwie mógł chowając je gdzie indziej przemówić do Kottanerin:

— Na miłość Bożą, starajcie się, aby nam światła nie zabrakło! Świec potrzeba!

On i stara Helena chociaż nie wyrzekali się myśli wykradzenia korony, najniezgrabniej się brali do tego, ale może właśnie dlatego nikt ich nawet o nic nie posądzał.

Była to sobota, wigilia przed niedzielą zapustną. Do posług miała Kottanerin z zamku starą babę, która po niemiecku nic nie rozumiała, ospała była i ograniczona. Od tej zażądała, aby jej dużo świeczek dostarczyła, bo wieczorem ma bardzo długie do odmawiania modlitwy. Ale dostawszy świece Kottanerin, niespokojna i tchórzliwa, postąpiła z nimi tak, jak jej towarzysz z pilnikami, schowała je gdzieś, zapomniała gdzie i znaleźć potem nie mogła. Wszystko się zdawało składać jak

[naj]niefortunniej.

Dziewczęta pakowały zbyt długo swoje gałganki i Kottanerin musiała w końcu kazać się im spać kłaść co rychlej. Zmęczone, szczęściem, pokładłszy się w drugiej izbie, wkrótce się pospały.

Baba posługująca położyła się w izbie Kottanerin, ale tej się nie obawiała, bo wiedziała, że sypia twardo.

Nadchodziła noc. Na ostatek Magyar, który miał korony dobywać, przyszedł po cichu pode drzwi od kaplicy i zastukał.

Oczekująca na niego Helena wstała, otworzyła mu i drzwi za nim zasunęła. Mogła się przestraszyć, bo prowadził z sobą namówionego parobczaka, o którym wcale nie wiedziała.

Zaręczył jej, że poprzysiągł milczenie.

Zaczęto naprzód świec szukać!

Niestety, były tak dobrze schowane, że Kottanerin, zrozpaczona, wcale ich znaleźć nie mogła.

Tymczasem kury piałły.

Przestach ją ogarnął niewymowny. Bez światła kroku zrobić nie było podobna. Musiała

więc pomocników na nowo odprawić, starą twardo śpiącą babę obudzić, posłać ją znowu po świece i czekać, aż potem uśnie.

Godziny upływały. Do wydobycia korony, łamania kilku zamków, poprzybijania nowych,

czasu wiele było potrzeba.

Baba wyszukała świece, przyniosła je, położyła się, usnęła.

Magyara wpuszczono znowu, zapalono je, zabrał przywiezione zamki i pilniki, a w dodatku małą pieczęć królowej, aby drzwi główne skarbcza, zawiązane chustą, otworzywszy, na nowo opatrzyć pieczęcią.

Zaczęło się dobywanie, odjęto chustę, przepiłowano zamek pierwszy i oba pomocnicy weszli do izb prowadzących do skarbcza.

Ale piłowanie i odrywanie nie obeszło się bez stukotu, a na zamku jeszcze ludzie, zajęci przyborami do podróży, nie spali.

Chodziły straże.

Zdawało się, że chyba cudem pogłuchną i posłyszawszy hałas nie nadbiegną. Światło też zdradzało w oknach.

Kottanerin w trwodze nie wysłowionej, co chwila, co sekunda spodziewała się być odkrytą i pochwyconą. Ani ona, ani jej pomocnicy nie mogli zdradzić królowej, czekała ich więc kara za rabunek skarbu publicznego. Śmierć!

A śmierć naówczas, gdy występki był zuchwały, zadawano taką, aby winowajca cierpiał; sprawiedliwość była okrutną.

Niemka ze strachu uklękła na modlitwę, prosząc Boga, aby dla miłości królowej pomógł jej biednej i ocalił ją. Gdyby zaś zginąć miała, aby się nad jej duszą zlitował.

Wśród tej rzewnej modlitwy, w nocnej ciszy przerywanej tylko dochodzącym ze skarbcza stukaniem, nagle usłyszała Niemka pod samymi drzwiami jakby ciężki chód uzbrojonych ludzi i chrzęst oręża. Czekala już tylko, rychło drzwi wyłamią.

Nie wiedząc, co począć, porwała się biec, przestrzec pracujących, aby poprzestali; ale na myśl jej przyszło naprzód zbliżyć się do drzwi, od których dochodził ją szelest.

Wtem ustał on, zrobiło się cicho znowu.

Kottanerin najmocniej była przekonana, że upiory i strachy narobiły tej wrzawy, padła więc znowu na modlitwę, ofiarując się odbyć bosą pielgrzymkę do Maria-Zell, miejsca cudownego, a dopókiby ślubu tego nie dopełniła, wszystkie soboty, na pamiątkę tej, sypiać bez pierzyny, dziękując Bogu i N.

Pannie za ocalenie i opiekę.

Wtem w czasie modlitwy, pod drugimi drzwiami, od izby, w której spały służące królowej, dał się słyszeć taki sam chrzęst i hałas.

Tym razem Kottanerin ze strachu straciła zupełnie przytomność, zaczęła drżeć, potnieć, była pewną, że nie strachy, nie upiory, ale ludzie idą, usłyszawszy hałas, chwytając ich na uczynku. Nie wiedząc, co z sobą robić, czekała tylko, czy przebudzone dziewczęta nie poczną krzyczeć.

Podbiegła pode drzwi, ale hałas natychmiast ustał.

Klękała tedy Bogu dziękować, utwierdzona w tym przekonaniu, że wszystko to było nieczystą sprawą szatana.

Tymczasem niepokój nowy.

W skarbcu zrobiło się cicho; ludzie nie powracali, a przez drzwi nie domknięte zaczynało być czuć spaleniznę i dym.

Chciała już iść zobaczyć, co się dzieje z pomocnikami, gdy naprzeciw niej wyszedł Magyar, oznajmując, że mogła być spokojną, bo od drzwi zamki już poodrywali.

Ale w skrzynce, w której spoczywała korona, zamek był tak mocno przytwierdzony, iż ani go odpiłować, ani wyłamać nie było można. Musieli więc go opalać, a od spalenizny tej powstał taki swąd i dym, że go wszędzie czuć było.

Nowa więc trwoga, modlitwy jeszcze gorętsze.

Robota około ostatniego zamka trwała bardzo długo, na ostatek dobyto z pudła koronę.

Trzeba było na powrót zamki przytwierdzać dla niepoznaki, a w głównych drzwiach chustą, jak była, przypieczętować.

Wszystko to wiele jeszcze czasu zabrało. Na ostatek piły i połamane zamki wrzuciwszy w miejsce bezpieczne, w których ich nikt szukać nie mógł, Kottanerin z pomocnikiem zaniósła koronę do kaplicy, w której ołtarzu znajdowały się relikwie św. Elżbiety, patronki królowej.

Tu ze strachu ofiarowała się biedna Niemka za mające się popełnić świętokradztwo, w imieniu królowej, sprawić nowy ornat i pokrycie do ołtarza.

Wzięto bowiem z niego czerwoną aksamitną poduszkę, rozdarto ją, wyrzucono z niej część

pierza, włożono do środka koronę i Kottanerin zaszyła ją, jak była.

Nim się to wszystko wykonało, dzień dobry robić się zaczął, wszyscy na zamku i służące powstawały, ruch powstawał. Czas jechać było, aby stanąć w Komornie.

W ostatniej chwili już o mało stara baba ich nie zdradziła mimo woli.

Wynosząc koronę ze skarbca, zabrano z nią część złamanego futerału, który pozostał na ziemi, i baba go podniosła pokazując a pytając, co to było.

Starą tę, która dziewczętom usługiwała, wziętą z Budy, królowa, jako niepotrzebną już,

kazała opłacić i odprawić stąd do domu. Z wieczora była już zaspokojona, ale kręciła się jeszcze i ów futerał ciekawość jej obudził.

Kształt jego zdradzał koronę, którą okrywał.

Kottanerin prawie nieprzytomna ze strachu znowu pochwyciła z jej rąk połamane szczątki i co prędzej rzuciła do pieca. Szczęściem nikt nie zwrócił na to uwagi, ale obawiała się już babę zostawić tu, aby nie plotła, i niby przez miłosierdzie nad nią zaofiarowała się zabrać z sobą i wyrobić łaskawy chleb w Sankt-Merten.

Wreszcie już wyjeżdżać miano. Ładowano, wynoszono, pakowano sanie i wóz. Koronę w

poduszce potrzeba było nieznacznie przenieść. Magyar kazał słudze, który mu pomagał, wziąć ją na ramiona i umieścić w saniach, na których on i Kottanerin jechać mieli.

Wziął tedy drogocenny pakunek chłop, a w dodatku okrył go ogromną skórą krowią

wyprawną, z długim wiszącym ogonem, który z tyłu spadał i we wszystkich przypatrujących się odjazdowi fraucymeru wzbudził śmiechy szalone.

Ruszyły sanie spod dolnego zamku w Wyszehradzie, ale za nimi w ślad biegła trwoga, aby nie odkryto, co się w nocy stało, nie wysłano pogoni i nie pochwycono rabusiów.

Kottanerin usadowiła się wprost na poduszce z koroną, choć nie bardzo jej wygodnie być musiało. Co chwila ona i jej towarzysz oglądali się i przysłuchiwali, a nuż gonią.

Na zamku wszakże ani drzwi popsutych, ani w kaplicy nieładu nie dostrzeżono.

Pomimo pośpiechu, w pół drogi popaść było potrzeba. Magyar z sań zdjął poduszkę i dla bezpieczeństwa położył na stole przed Niemką, aby ją ciągle na oczach miała.

Na tym nie koniec.

Noc już była czarna, gdy nadciągnęli nad brzeg Dunaju, naprzeciw Komorna. Tu rzekę po lodzie przebyć było potrzeba.

Puszczono się wprost, nie przypuszczając, aby lód mógł osłabnąć. Wtem na samym środku rzeki wóz, na którym jechały dziewczęta królowej, załamał się.

Krzyk, trwoga, popłoch niesłychany. Kottanerin nie o sługi, nie o księżniczkę szlaską, ani o siebie nawet nie chodziło, ale o tę, z trudem takim zdobytą, oczekiwaną tak niecierpliwie przez królowę, koronę, od której w przekonaniu jej losy potomka zawisły.

Prawdziwym cudem nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała.

Oto i zamek w Komornie, a w oknach światło u królowej, która się modli, rozpacza i płacze.

Elża przez cały ten dzień z największym niepokojem wyglądała powrotu sługi, a gdy ją oznajmiono, przywitała okrzykiem radości. Kottanerin chwiejąc się osłabła niosła swej pani poduszkę.

Wzruszenie biednej wdowy było tak wielkie, iż zaledwie uściskawszy swą wierną Helenę zachwiała się i osłabła musiała pójść do łóżka.

Przestach i radość przyspieszyły spodziewane narodziny. Tejże nocy nade dniem wydała na świat pogrobowca.

Milczenie panowało w komnacie i nie śmiała spytać drżąca matka, czy Bóg spełnił jej życzenie.

— Syn! — zawołały kobiety.

Królowej krzyk radosny rozległ się po zamku.

— Syn! Król! — powtarzano po podwórcach. Syn! Było to oswobodzenie się od małżeństwa, od niewoli!

Arcybiskup Denis Szechy tegoż dnia ochrzcił go, dając mu imię Władysława, jakby umyślnie na przekorę temu jednoimiennemu wybrańcowi, którego im narzucano.

Przyjście na świat pogrobowca nową siłę dało królowej, która w imieniu swego dziecięcia postanowiła bronić się do ostatka. Przynosił z sobą wojnę.

Rozumieli to posłowie węgierscy w Krakowie, usiłujący pospieszyć z królem do Budy i, nimby Elża do oporu przygotować się mogła, ukoronować go. Nie wiedziano o tym, że z

Wyszehradu korona była wykradzioną i że wkrótce niemowlęciu miano ją włożyć na skronie, aby polski król nie mógł ani jej dostać, ani się ważyć stanąć przeciw pomazańcowi.

Wiadomo, jaką wagę w tych wiekach przywiązywano do poświęconych insygniów, do starych koron, które przynosiły z sobą błogosławieństwo i nadawały prawo władania narodem.

V

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczały, wody zbiegały, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z Południa. Wyprawa na Węgry, pod jakąś Nido- brą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sądca. Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, który w części dla przyjęcia posła papieskiego, w części dla niewytłumaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie tłumaczył, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

W chwili gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrosli tak byli z sobą razem, nigdy prawie się nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału obu im łzy prawie mimowolnie wilżyły oczy.

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata.

Każmirz czuł się także sierotą bez niego.

Jego miano wyprawić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali zazdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sądca oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam

pożegnać raz jeszcze, biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli.

Z widocznym ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa. W progu obejrzał się na stare zamczysko, to gniazdo, w którym zrosł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką, wyjechali tak smutni, jak by się dla nich młodość na progu skończyła.

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pogrążony w jakichś przeczuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką.

Mistrz jadący w orszaku opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich. On, im był smutniejszy, tym zawsze mniej z ludźmi dzielił się tym, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały — że z Węgier gościńca przywiozę pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają!

— Wracajcie tylko sami, cali i zdrowi — zawołała Bal-cerowa córkę wyręczając — a już gościńca od was nie zażądamy.

— Bóg łaskaw! — rękę wyciągając dodał mistrz i skinąwszy, orszak oddalający się napędzać musiał.

Nie był on przesadnym wcale, naówczas jednak nawet umysły tak jasno widzące jak jego ulegały temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo.

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, który by się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przecucie jakieś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł ochotnie. Smutek ciążył na wszystkich. Zaledwie wyjechawszy z zamku król z bratem, postrzegł z daleka ciągnącą na wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to bacności towarzyszków jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonań, trumna i pogrzeb nie rokowały nic złego, lecz wrażenie czyniły przykre. Ani król, ani Kazmirz nie rzekli słowa, udali, jak by nie widzieli. Nie spieszo też wcale.

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wieliczki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwii, które miał król wziąć z sobą, i posłano po nie do Krakowa.

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem.

Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najezonymi piórami, nie chcąc jeść, siedział jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że stąd wyjazd do Bochni przyspieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sądczu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska niż do małego miasta.

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, dotąd nie przybyli. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tym, aby poczet był jak

najsławniejszy, a ci, co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż się kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Władysław niemal był rad zwłoce, tak mu się kraju opuszczać nie chciało, ale królowa matka, widząc to, wesoło, natarczywie budziła w nim męstwo i ambicję.

Nie dano zresztą królowi myśleć o sobie. Narzucano mu wyznaczenie rządców, kasztelanów po grodach, towarzyszków i opiekunów dla brata.

Władysław losem Kazimierza gorliwie się zajmował i to jedno go żywiej obchodziło. O

Węgrzech nie mówił, a gdy zagadywano, odwracał rozmowę.

Wyposażenie brata, koszta ogromne podróży, obowiązek pomagania rycerstwu, które z nim szło do Węgier, zmusiło króla — przy wyczerpanym skarbie — zaciągnąć wielki dług u biskupa krakowskiego, który zastawem wziął ziemię spiską.

Szemrano na to.

Układy, przygotowania, oczekiwanie na spóźnionych panów, przeciągnęły pobyt w Sądczu aż do czwartku przed św. Wojciechem.

Chociaż brakło jeszcze bardzo wielu z rycerstwa, dłużej już na nich oczekiwać nie było podobna.

Ci, którzy się opóźnili, mieli króla dognać na Węgrzech.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnym, pięknym i

takim duchem ożywi- ne, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy na równi z nimi stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie: król ukląkł przed matką, aby go pobłogosławiła, uściskał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który, zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie.

Niewesoła była podróż do węgierskiej granicy i Kieszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano. Tu Szymon Rozgoń biskup jagierski, który świeżo opanował dla młodego króla i osadził Preszów i , przybiegł witać w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkimi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.

Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jak gdyby przeczuwał, co go czekało, był ciągle pograżony w siebie i milczący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku i dla naganiających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił, co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli.

Drugiego dnia wieczorem, gdy się opóźnionych spodziewano, a szczególnie marszałka Ryterskiego, którego król z sobą mieć żądał, i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kaźmierza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini, Andruszko Dowojna i Raczko, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby

Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdzielenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństw brzemieną, że nawet biskup

Zbyszek na chwilę się uczuł tym zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie izbę wyznaczoną nie opodal królewskiej i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza niż zwykle okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko? — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorzu, że uczynilibyśmy oba lepiej zawracając nazad do Krakowa? Zważ, proszę, na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś, a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którym się nie utrzymam. Wierzę w rozum i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tym go nie poznaję.

Każmierz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu, trudno by sobie poradził. Młody jest i dobry. Nas by tam dwu nie było za wiele. Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a i powrócić do Polski.

Oczy mu błysnęły.

— Do Polski, do Krakowa! Po co mam wydzierać królestwo cudze, gdy we własnym tyle by było do czynienia! — dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł odwracając się ku niemu Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi za późno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo.

Zmarszczył się król słuchając.

— Nie o Litwę idzie — dodał mistrz — ale wam srodze żal Krakowa!

— A, tak, i z tym się nie taję przed tobą — rzekł Władysław porywczo — a sądzę, że i

drudzy to rozumieją. Tak jest, tęskno mi za Krakowem! Jam tu obcy, a nawet ten tak przyjaźny biskup Szymon, co zajął Preszów dla mnie, nie tai, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma Niemców, ma cesarza za sobą, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znacznieszą jeszcze — odezwał się Grzegorz — wy, miłościwy królu, mieć będziecie,

bo ich pozyskacie łatwo. Cofać się za późno! Ja tak jak wy więcej czuję wstrętu niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione, jesteśmy już na tej ziemi. Ludzie by tłumaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawą! Ja się nie lękam niczego — zawołał dumnie — oprócz bym przeciwko

sumieniowi własnemu nie wykroczył!

Grzegorz stał milczący, król przeszedł się po małej izdebce.

— Masz słuszość — rzekł — rycerzowi nie godzi się dać posądzić nawet, że się uląkł czegokolwiek. Zwyciężywszy nieprzyjaciół, rzucę im to królestwo pod nogi z ich królową razem.

Z gorączką jakąś wyrzekł to młody pan i jeszcze raz powtórzył:

— Mogliby to tłumaczyć obawą! Musimy więc iść — dodał wzdychając.

— Miłościwy panie — - szepnął Grzegorz — idźmy tylko z tymi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi. Węgry oddtęły ci się, bo się czują zagrożone, bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą — dodał król. — Jutro rada, spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posądzić nie będzie można. Będę milczał, lecz jeśli oni postanowią, że Polsce naprzód służyć nam należy, posłucham ich z radością i powrócę.

Na samą tę myśl powrotu twarz piękna króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój — westchnął — a, gdyby wrócić było można!

Nie mówili więcej.

Nazajutrz Zbyszek biskup przyszedł króla wziąć na radę. Oprócz niego znaleźli już zgromadzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna krakowskiego wojewodę, Przedbora z Koniecpola, Wincentego z Szamotuł, Piotra ze Szczekocin, Rafała z Obidzowa, Hińczę z Rogowa i innych.

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milczący i zajął miejsce swoje.

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zbyszek zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam.

— Czynię was sędziami tego, co najpilniejszym mi się widzi. Sądziliśmy, że wybór był zgodny, tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem się dobijać potrzeba. Nie lepiej że by było zaczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór ten uznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy czas jakiś milczeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę tał — wtrącił Jan z Tęczyna — że ja zupełnie podzielał to zdanie.

Czeka nas tu wojna, a król, co przelewając krew przyszłych poddanych, dobijać się musi panowania...

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warcholów jest przy królowej, wszystko co zacniejsze z nami! — zawołał. —

Mam ufność w Bogu, że tak jak Preszów się poddał, inne miasta przyniosą nam klucze. Szymon biskup jagierski ręczy nam za to.

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, potakując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał.

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbor z Koniecpola z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się więcej. Słuchał dając tylko oznaki, iż mimo zdania większości on zostawał przy swoim. Rada przeciągnęła się długo, na ostatku stanowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją postanowieniem, że na Węgry cześć i dane słowo iść zmuszało.

Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, poparł to zdanie, Jan z Tęczyna i Przedbor z Koniecpola umilkli. Król powstał nie odzywając się już i salę obrad opuścił.

Zatrzymano się jednak przez dni kilka następnych w Kieszmarku. Szło o powierzenie zamku i miasta Polakowi lub Węgrowi. Panowie polscy raili Dzierżka z Włostowic, biskup Szymon Węgra Mikołaja Peren, za którego ręczył. Król rozstrzygnął za ostatnim, znajdując, że nie znającemu kraju, choćby najdzielniejszemu rycerzowi, tak ważnego grodu dawać nie było można.

W dzień św. Floriana, patrona Krakowa, ruszył wreszcie król z obozem i dworem z Kieszmarku, tak ponury i milczący, jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze.

W Sobinowie powolny pochód musiał się znowu zatrzymać, bo tu króla napędził poseł nowoobranego papieża Feliksa V, chociaż Eugeniusz IV żył i panował na Apostolskiej Stolicy.

Zdawało się, że co krok nowego coś opóźnia naumyślnie dalsze posuwanie się w głąb kraju.

W Preszowie obchodzono uroczystość św. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach, już potrwożonych, nową było przepowiednią

złowrogą. Mnożyły się te oznaki...

Dwór króla, pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu namówił Władysława, który myślistwo z sokoły lubił, aby z nimi na kaczki zapolował.

Ten, który pierwszy myśl tę poddał, ulubiony królowi pisarz jego Jan, syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzece i utonął.

Nie śmiano dać o tym znać królowi, który był do niego przywiązany, lecz i zataić nie było podobna. Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy niż kiedy król sam się znajdował.

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesołym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem. Jednym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego Wincenty z Szamotuł, kasztelan międzyrzecki.

Poważny mąż, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niczym nie zamięconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo, do uśmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzuconym słówkiem młodego pana rozchmurzył, lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się dosięgnąć, gdy nadchodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z poczem zbrojnym dla opanowania jej między Węgrów towarzyszących królowi popłoch rzuciły.

Szymon, biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna i znaczny poczet Węgrów musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadaniu Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez jakiejś' wieści zatrwającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej pograżony w sobie jechał jakby zmuszony tylko.

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział, co cierpiał i jak mężnie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgierscy mówili ciągle i gorączkowo o natychmiast mającej w Budzie nastąpić koronacji, przekonani, iż uroczysty ten obrząd młodego króla węzłem nierozzerwanym z krajem połączy.

W wigilią Zielonych Świąt przybył Władysław do Eger i stanął na zamku. Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie, lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, równie jak innych, uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłymi a tymi, których na zamku zastali, wszczęły się szeptaki jakieś i najmniej wprawne oko dostrzec mogło, że jakaś zła wieść wszystkich strwożyła.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacji. Jeden z panów węgierskich, z którym się poprzyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego blady, z zaciśniętymi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas niepomyślnego — odezwał się Grzegorz do niego — mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przygotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą krzyczeć na głos cały:

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się ani przewidywać nie mógł.

Słuchajcie!! Ten, co opowiada, wie to od naocznego świadka! Królowa Elża wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Białogrodzie ukoronowała. Łotr ten, kardynał Dionizy Szechy, dopełnił obrzędu! Za dziecko przysięgał hr. Cilly! Ale cóż warta koronacja ta i przysięga? Zdep-czemy ją nogami!

Węgier był wściekły. Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogro-bowca, dozwalało Władysławowi cofnąć się.

Zawahał się, czy ma z tym iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartym oknie.

Był sam, gdyż wiadomość o koronacji wszystkich od niego odciągnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się z gniewem wielkim, odgrażając na sprawców, a szczególnie na Garę, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał zobaczywszy go król prawie wesoło. — Widzi mi się, że

na ten raz już nas Węgry- wie puszcza, bośmy im niepotrzebni. Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykrała!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się ty nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawna rzecz, że zręczna pani do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczny jestem. Możemy teraz powracać.

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrotem do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony a gniewny.

— Nie, powracać już nie czas! Można było odepchnąć ofiarowaną koronę, ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej odzyskać. Jestem przekonany z tego, com słyszał i widział — dodał Tęczyński — że to, co w przekonaniu królowej tobie, panie, przeszkodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół ci zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę...

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna — ale dziś ją odzyskać należy.

Drzwi stały otworem, towarzyszący królowi Marzellim wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastąpi królowa — zawołał — tak jak wprzódy na wolność naszą nastawała! Ale Magyarowie nie dadzą się ani z niepodległości i prawa rozporządzania swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby

Wyszehrad przyszło w perzynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marzellim szli już inni panowie węgierscy, tłumnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemstą.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! Kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy!

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie, ani objawiwszy, co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że

koronacja pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosowali za tym, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wycofał, dumał, jak się to wszystko

skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany i dotąd poilo tylko goryczą. Ten sam Węgier, który mu przyniósł

pierwszy wiadomość o koronacji, wszedł już uspokojony nieco, ale bardziej zasepiony niż kiedy, zwierając się, iż przybyły ktoś z Budy powiadał, jakoby palatyn Wawrzyniec wzdragał się z poddaniem zamku w Budzie, stawiając warunki, których w żaden sposób przyjąć nie można było.

Cierpliwy zawsze mistrz Grzegorz, usłyszawszy to, wybuchnął nareszcie.

— Zaprawdę — rzekł — czci to wam nie czyni, żeście nas tu ściągnęli obietnicami, których dotrzymać nie umiecie. Prędszej w królu i w nas, co go miłujemy, obudzicie niechęć niż życzliwość takim postępowaniem. Daliście nam koronę, której, jak się okazuje, nie mieliście; złudziliście obietnicami, nie mając mocy ich dotrzymać. Sami sędziami bądźcie.

Węgier pochwycił za rękę mówiącego.

— Czekaj! — rzekł — przekonacie się, iż to, cośmy postanowili, spełni się. Chytrność

niewieścia i przewrotność ludzka stanęły nam na przeszkodzie, lecz pogrobowiec panować nie będzie!

To mówiąc wybiegł Węgier.

Co się działo pomiędzy magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie

naradzali, a potem nocą kilku spomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiedziano.

Niewzruszenie tylko głoszone, iż we czwartek po Zielo- nych Świątach król musiał

uroczysty wjazd odprawić do Budy.

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem

okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość.

Zapowiedziany wjazd uroczysty nie nastąpił wprzód aż w sobotę, w wigilią Sw. Trójcy,

gdyż z palatynem Hedre-warą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej Górze czekały na niego konie i ludzie przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczenie, chorągwie kościołów i cechów wystąpiły na powitanie. Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice do Zygmuntońskiego zamku wiodące.

Władysław zsiadł z konia dla ucałowania relikwii i krzyża, skinął okrzykującemu go ludowi i dosiadłszy konia znowu jechał w ogromnym orszaku na zamek.

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i panów, drugi z towarzyszy ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszakach, z tarczami ozdobnymi i dzirydami.

Wszyscy oni poklękawszy przed królem cześć mu oddali.

Przez otwarte na oścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zygmunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa na przyszlą stolicę.

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz baczniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za nimi łatwo zmaćcone dno niezgłębionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często jeszcze pod rozkazami mieli pułki i dowodzili oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia, namiętności, niepokoju niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockim jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniale to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!

— Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki po cichu — lecz ufamy w

Bogu, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garść warchołów i przekupionych przez wdowę Albrechtową nie da nam nic uczynić złego. Wszelako na wojnę się gotować trzeba!

Z tym uczuciem i król, i wszyscy wjechali na zamek do Budy. Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast wołać poczęto o koronację, aby dopełnieniem jej okazać, że pierwsza, na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągu podróży odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas usłyszeć od niego, cudownym niemal sposobem dojrzał i spoważniał.

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nie tajone mu przez biskupa trudności i zawady, jakie miał do przełamania, podziały na niego potężnie.

Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda i wypadki są czasem czarodziejską różdżką, która otwiera źródło myśli.

Na smagłej a teraz trudem wewnętrznym duszy sposep- niałej twarzy króla widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postępu.

Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy tajemniczo przysłonione, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały.

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć, na kogo tu mógł rachować.

W tym Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe ludzi doświadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swoimi i obcymi, co o kim trzymano.

Mistrzowi zaś bystry, przenikliwy a zawsze wesół i tą wesołością na pozór lekkomyślną umiejący się wszędzie wcisnąć Wincenty z Szamotuł dostarczał wielu postrzeżeń. Ponieważ

wprzód był wysłany do Budy i miał tu czas, zabawiając się, o ludzi ocierać, o każdym z magnatów miał już pewne dane i poczynione postrzeżenia.

— Nie rozpaczam — mówił tegoż wieczora Wincenty — że my ich powoli sobie zjednamy, ale z wyjątkiem kilku, na których dziś już rachować można, bo wiedzą, że się od wdowy

przebaczenia spodziewać nie mogą, za resztę bym złamanego nie dał szeląga. Ale jak jest, to jest, pewna, że liczba zwolenników naszych urasta z dniem każdym. Siła ma też swój urok, a nie ulega wątpliwości, żeśmy silniejsi. Cesarz dla swojego krewniaka pogrobowca nie poruszy ani wojska, ani da pieniędzy. Królowa ostatkami goni.

— Nie mówcież tego królowi — przerwał Grzegorz z Sanoka — bo i tak się on nad losem

jej użala. Cześć nie dozwalała mu się cofać, lecz wiem to od niego, iż gdyby mógł, rychlej by wdowie i jej dziecku pomógł, niż z nimi wojował.

— Wojowanie to pono nie potrwa długo — odezwał się Wincenty z Szamotuł. —

Powiadałem, że Elża ostatkami goni, i wiem to od Węgrów, którzy są o każdym jej kroku

uwiadomieni, że koronę mniejszą królowych zastawiła cesarzowi w kilku tysiącach czerwonych złotych, za które w Czechach i po Niemczech robi zaciągi, ale to wysiłek ostatni.

Po przybyciu do Budy, nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia

zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło, pozostać nie mógł.

Przychodzili magnaci, biskupi, wojewodowie, banowie, wielkorządcy ziem do Węgier

należących, oddawać mu hołdy i pokłony, a raczej wypatrzeć zawczasu, czy miał dosyć silną dłoń, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.

Nie zbywało na dworze i owych dwulicowych postaci, które królowa Elża wysłała, aby w

obozie nieprzyjacielskim mieć ucho swoje i oko.

W przededniu wjazdu jednego takiego człeka, któremu się obelżywe słowo wyrwało, pod

zamkiem rozsiekano.

Wincenty z Szamotuł utrzymywał, że z dobrych ust miał, jakoby zabójcę wysadzono, co

króla przed koronacją z polecenia Cillych chciał zamordować. Lecz wojewoda się śmiał z tego, bo młody król był ciągle otoczonym rycerstwem, które nad nim dzień i noc czuwało, a Zbyszek biskup sam uprosił go, aby do czasu pod kaftanem koszulkę drucianą nosił.

— Strachy to być mogą próżne — mówił biskup — lecz ostrożność nigdy nie jest

zbyteczną.

Na zamku wrzało i kipiało. Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wielcy,

biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstał przy tym, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie glejty były wydane, poręczające bezpieczeństwa osób.

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przejednania, chociaż zwolennicy króla, magnaci, w myśli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swych przeciwników.

Wśród tego natłoku panów, którzy już od blisko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię ze Wschodu przybyłe i osiadłe, ze krwią gorącą i obyczajem, którego kilka wieków złamać nie mogło ni poskromić.

W tym wieku nawet, który w ogóle bujniejszym był i sprzeczności a wybuchów pełnym,

Madziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila jakiś zuchwały wśród narad występował wniosek, który hamować musiał Zbyszek i polscy

panowie. Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególnie — łaskawością i dobrocią. Zgadzano się pozornie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swych przekonaniach.

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloczów, Perenych, Orszagów, Palouczów, Czakich,

uderzał wybitną swą osobistością jeden mąż szczególnie, już wsławiony zwycięstwami wódz, którego postać rycerska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się bohaterskim jakimś majestatem. Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy.

Oglądano się na niego.

Mężem tym był Jan Huniady, który młodemu królowi i panom polskim, przy pierwszym

spotkaniu, wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedziano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach terażniejszych Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przede wszystkim żołnierzem i dowódcą, z dala tylko patrzył na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze o przyszłą koronację Władysława toczyły

rozprawy, Huniady z rana wszedł do króla, który od dawna zbliżyć się do niego pragnął.

Z zaufaniem i współczuciem jakimś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim

jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartym mógł się rozmówić. Długie milczenie serce mu ugniatało, młoda pierś z trudnością znosi zamknięcie.

Byli sami, Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, umyślnie usunąwszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pacholę, które lada czym zabawiać potrzeba.

— Miłościwy panie — rzekł — spodziewam się ja i wszyscy, co cię tu witamy sercem

wielkim, że i kraj nasz, i ludzie podobać ci się będą. Jestże na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali!

— Kraj piękny — odpowiedział Władysław smutnie i poważnie — lecz wierzajcie mi,

panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on urodził. Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie jako ojczyznę przyswoić i ukochać — rzekł Huniady.

— Tak, ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie — a przyznacie mi, iż dotąd

więcej wygląda kraj ten jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek. Jechałem tu w innej nadziei, z myślami innymi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądalście mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę.

— Wy nie, miłościwy panie — rzekł Huniady — my dla was. Niestety, zgoda u ludzi, w

rodzinie, w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim, w takie czasy!

Westchnął podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie tak, że do

mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojęstwa są ciężarem, miłościwy panie — mówił Huniady — i

myśmy wiedzieli, że nielekką korona św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwem się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu wobec praw narodu? Nie chcieliśmy i nie chcemy

panowania wdowy po Albrechcie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą, krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi. Kto wie, jakie kalectwo dla miłości cesarzów. My nasz kraj, dali Bóg, rozszerzać pragniemy, ale ani piędzi jego nie damy oderwać.

Huniadyemu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was, miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni

młodej, i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza. Poganie leją się z Azji na kraje nasze i sąsiednie, my murem tu stać musimy, aby krzyża nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę. Nie skarżciez się, miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali. Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas: Brońcie znamienia mojego!

Musimy być głusi...

— Miły panie — odparł Władysław — tym, prawda, serceście mi rozgrzali, ale niemniej

jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem, ale najeżdżcą, dopóki pół Węgier przy królowej stać będzie.

— Nie potrwa opór — przerwał Huniady — za koronację pogrobowca i kardynał Dionizy, i kroacki ban, który korony strzec był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam.

Władysław pozostał milczącym chwilę.

— Wspomnieliście — rzekł ciszej — o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana, proszę was jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć.

Huniady, jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzył go oczyma.

— Piękną jest łaskawość — rzekł zimno — lecz wierzajcie mi i pomnijcie to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musisz i my także, mniej ofiar padnie. Pobłażanie rozplemia złych!

Mówiąc to spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten, nieustraszonej odwagi, był zarazem człowiekiem dobrowolnie i*z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam — dodał Huniady — rozprawienie się z tymi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi.

Rumieniec oblał twarz śniadą Jagiełłowego syna.

— Poleje się li krew — rzekł z siłą wielką — ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę.

Słowa te, którymi rozmowa z Janem Huniady zakończoną została, bo w tej chwili wszedł kanclerz Maciej biskup wesprymski z banem sławońskim Taloczym, uczyniły na nim wrażenie zapewne dobre, gdyż znamionowały siłę i energię, której Huniady po panującym wymagał.

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich było początkiem

stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, który, choć mu się mężnie sprzeciwił, budził i wiarę w siebie, i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przyszłą nie były skończone, gdy wieść nadbiegła o wzięciu

Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tym, i sam jeniec skrepowany przyprowadzony został do Budy.

Węgrzy z radością wieścią o tym przybiegli do Władysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej.

Król oznajmienie to przyjął milcząco, chmurno i wejrzeniem rzuconym na przytomnego

Grzegorza z Sanoka okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku.

Odgrażano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy.

Nim pierwsza wrzawa tym wypadkiem obudzona ustała, Władysław wydał rozkaz, aby

więźnia do niego przyprowadzono do wielkiej dolnej sali zamkowej.

Hr. Cilly był tak przelękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach idąc zachwiał się o mało nie upadłszy. Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skrepowane w tył ręce, cała postać pańska a nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość. Ludzie, którzy prowadzili go, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko, sił ostatkiem.

Król poruszony pospieszył mu na pomoc i podźwignął.

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympatii trochę wlał nadziei, niezrozumiałymi

kilku słowami powitał króla mierząc go oczyma, w których nienawiść, trwoga i zdumienie się razem malowało. Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysława, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie.

— Bracie i przyjacielu — rzekł — nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się

okazali. To, co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili,

położyliście na nim pieczęć waszą i złamali słowo. Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę. Wiedziecie najlepiej sami, że ja pierwszy nie pożądał ani się o to królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeśli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł ręką po czole, chciał coś mówić, lecz głosu dobyć nie mógł. Słowa króla

odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i na próżno.

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król

odstąpiwszy kilka kroków rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chcę — rzekł do Hińczy z Rogowa — abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga, krzywdy mu nie czyńcie, los mu ją już wyrządził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przyjaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie.

Narady dosyć burzliwe ciągle z różnym skutkiem przeciągnęły się do św. św. Piotra i Pawła.

Wygodniejszym znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał.

Grzegorz z Sanoka, który teraz po śmierci Jana z Sennowa często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe.

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swoimi. Biskup Zbyszek tymczasem pilno się

właśnie o to starał, aby koszta, mozoly i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień św. św. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebrali, a nikt nie

spodziewał, ażeby król miał głos zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Począł mówić. W początku i gwar, który się jeszcze nie uciszył, i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprowadziła milczenie.

Prostymi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój spodziewał się, powołany głosy wolnymi, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech. Dla nich się poświęcając opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koszcie, z wielkim wysiłkiem przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie, nie dla żądzy panowania, ale dla obrony wiary chrześcijańskiej.

— Opierałem się długo, zmuszony zostałem prośbami waszymi, nie przewidując, co mnie tu spotkać miało. Zastałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomnijcie na mnie, nie uwodźcie się żadnymi względami, czyńcie, co się wam zda lepszym dla kraju waszego. Ja, jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taka była treść przemówienia króla, który coraz się więcej ozywając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnym tym odezwaniem się, które zdumienie wywołało.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony gotów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero palatyn Hedrewara wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wy tłumaczył jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią. W końcu wybór ten pierwszy a niezmienny dzisiejszym okrzykiem zgodnym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności wszystkich, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął. Ofiarowano przysięgę wierności i posłuszeństwa.

W czasie mowy palatyna ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem, ciągłymi okrzykami słowa jego potwierdzano, a całe zgromadzenie podnosiło ręce, zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością ofiary.

Król zaledwie kilku cichymi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu. — „W obronie i dla dobra kraju tego nie będę szczędził trudu!” — rzekł w końcu.

Dionizy arcybiskup strygoński przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami. Po nim palatyn, Gara i wszyscy inni wierność ślubowali.

Starym obyczajem pochwycono potem króla na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkim wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił.

VI

Wprzód jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra

Paloczyego, z którym, jakśmy wspomnieli, dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżym odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali — rzekł Paloczy,

który i Polaków, i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrzu Grzegorzu, myślcie teraz, abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić. Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa — odpowiedział na przekór Paloczyemu, drażniąc go. —

Myślicie o koronacji, a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwieńczyć inaczej jak tą pobłogosławioną, której królowa Elża wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy! — rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać, hę? — odparł uśmiechając się

Grzegorz. — Razem z koroną potrzeba by zdobyć i królowę, a tej ani nasz pan, ani my dla niego nie życzymy.

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona — rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnymi waszymi oczyma Władysława

Garę, któremu straż koron obu powierzona była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać, lub...

Tu Paloczy powiódł ręką po gardle.

— Takich banów i magnatów jak on — rozśmiał się Grzegorz — na gardle nie karzą nigdy.

Małych ścinają, wielcy uchodzą cali. My mamy na to przysłowie.

— A my — gorączkowo przerwał Paloczy — przysłowia nie mamy podobnego ani zwyczaju; im przestępstwo większe, a popełni je mąż, któremu ufano i zwierzano wiele, tym kara straszniejszą być powinna.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć albo inną, która by tej była warta — dodał Paloczy, żywymi ruchami popierając mowę swoją — bo koronacja nieuchronna, tym spieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą niemowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko — począł Grzegorz z Sanoka poważniejąc — gdyście poznali młodego pana, że korona, którą byście krwią zmazali, lub gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocznie. Mieliście zręczność zrozumieć go wy sami; my powiedzieć możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przemieszaniem. Bancwi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zrzecze się korony waszej, niż dozwoli, ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni — rzekł — że na wszystko radę znajdziemy, a koronacja rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława

Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali, za osobę jego czyniąc odpowiedzialnymi Szymona biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z

Fryształu.

Król za ledwie wstawszy ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę

przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem.

Nie chciał czekać przybycia panów, którzy by mu o tym oznajmili; posłał po Gratusa, aby Huniadyego i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przybocznym, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętymi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono — rzekł dumnie. — Prawdali, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest, miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało. — Ban miał powierzoną straż insygnów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je lub niedbalstwem swym dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszny pogrzeb, a drugą koronę królowa zastawiła cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszna rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego, com słyszał i wiem — rzekł król — widzę, że królowa i jej służba więcej winne niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymywać.

— Listy dane były, gdy wina jego nie została dowiedziona — przerwał kanclerz. — Nic one nie znaczą.

— Słowo moje — zawołał król — droższe mi jest niż korona! To jedno powiedzieć wam chciałem i uroczyście oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam.

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym, i skończywszy, z dumą taką cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tym rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz

odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia Władysław zwrócił się do Huniadyego.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo.

Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając, zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Długi dość przeciąg czasu upłynął, nim oznajmiono królowi, że nadeszli węgierscy magnaci wiodąc z sobą bana Garę.

Widać było po nich, jak gorącą i namiętą walkę stoczyli. Twarze i oczy były rozognione, piersi buchały, z ust wyrwały się słowa jak bryzgi ukropu. Szli sporząc jeszcze, a Władysław Gara półstrwożony, na pół roznamiętniony doznany upokorzeniem, ciągnął za nimi, nie ustając

wyrzekać i tłumaczyć się.

Dopiero w sali umilkli oczekując na króla, który wyszedł sam jeden, a spojrzenia nań dosyć było, aby dowieść, że zdania swojego zmienić nie myśli.

Kanclerz w imieniu rady począł się rozwodzić usprawiedliwiając uwięzienie, gdy król, mówić mu nie dając, przeciął zaraz.

— Słyszeliście wolę moją, tej nie naruszy żadne dowodzenie przeciwne.

Gara podniósł głos, bijąc się w piersi i krzycząc namiętnie:

— Nie wydawałem korony, wyrwano mi ją, stał się gwałt, rabunek, rozbój! Ślijcie, przekonajcie się, pudło jest złamane, pieczęcie pokruszone!

— Dobrowolnieś ją wydał! — przerwał jeden z magnatów. — Trzymałeś z królową!

Zaczęto wołać ze wszystkich stron i wrzawa się stała, która królowi była uwłaczającą i nieprzyjemną.

Powtórzył krótko i stanowczo, że żąda uwolnienia Gary. Kanclerz na to wybuchnął spojrzawszy po swoich.

— Na rozkaz wasz, miłościwy panie, dajemy mu wolność, ale pomnijcie, że wrogiem wam

był i będzie. Stanie się li co przez niego, własnemu pobłażaniu przypiszecie to, miłośnicy panie, my nie będziemy winni.

Król spojrział na Garę, który, powiódłszy oczyma pełnymi nienawiści po stojących dookoła, ze złożonymi rękami zwrócił się do młodego pana i pokłonił mu.

— Pókim żyw, dobrodziejstwa tego nie zapomnę — rzekł — a przekonam oszczerców, iż mnie osądzili niesprawiedliwie.

Tak przeciwko wszystkim zawyrokowawszy, król odpuścił ich, nie chcąc słuchać ani dziękczynień bana, ani usprawiedliwień sędziów jego.

Wszyscy tłumnie i z wrzawą ponowioną wysypali się z królewskich pokojów.

Do dalszych uchwał, dotyczących się koronacji, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyspieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadywania się o nie.

Za to Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czynienia wiele, bo go poniekąd z umysłu — nie dowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano — zastępowano przez dziekana Lasockiego, stosunki pozawiazywawszy z Węgrami, nauczywszy się już ich języka, przestając ciągle z nimi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru.

Dzekan Lasocki i biskup Zbyszek, słysząc czasem swobodnie i ironicznie odzywającego się mistrza Grzegorza, nie dowierzali mu, obawiali go się przy królu. Była już parę razy mowa o wysłaniu do Polski, ale król okazał, że rad by go zatrzymać przy sobie.

Do czasu więc nie ruszono go, patrząc nań tylko z daleka.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacji, o którą nalegał wraz z Węgrami, chciał i musiał powracać do Polski. Na swym miejscu, jako *alter ego*, zostawiał Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka.

Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomym było, co postanowią w sprawie koronacji panowie, Paloczy przybiegł już do mistrza.

— Tym razem — rzekł siadając zdyszany — skończone wszystko, zaprawdę. Dla

sprawdzenia, że korona wykradzioną została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce tej, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie Szczepana świętego.

— Jako? — zakrzyknął Grzegorz łamiąc ręce. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko

porwać koronę, aby nią koronować, jakby na śmierci przepowiednią! Na Boga! Pomyślcież, godziż się to? Z grobu, z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwia nasza — zawołał — a któraż korona nie spoczywała na

umarłych skroniach? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie Apostoła Węgier czekała na niego!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu, i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieńczyliście, jak by był sam na śmierć przeznaczonym! — odparł Grzegorz z Sanoka wzdychając.

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi — dodał Węgier. —

Koronacja naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego.

Wszystko to mniej obchodziło mistrza, w myśli jego utkwilo jedno to, że koronę z grobu

brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tym nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiec biskup Zbyszek, który miał koronę św. Stefana jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwię Władysławowi ukazać.

Grzegorz z Sanoka wcale nie spieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej, aby on mu

pierwszy o tym powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najczęściej gdy dzień się urzędowie skończył i wszyscy porzuchodzili, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się lub użalać. Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznymi się wydawały biskupowi

Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka żądajacemu widzieć Lasockiego.

Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzania mu się myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni

królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej niż ja — odezwał się do niego Władysław — więc i o koronacji pewnie już wam mówiono.

— Naznaczono ją na dzień św. Aleksego — rzekł Grzegorz — słyszałem o tym.

— Dali mi dowód czci swej niemały — dodał król — najdroższą relikwię, koronę św. Szczepana przeznaczając na ten obrząd.

Grzegorz czekał, co król o tym powie, i przekonał się, że to, co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykrego, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła podzielać.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem — dokonać się ma to, co mi było przeznaczonym. Tyś świadkiem, że nie pragnął brzemienia tego, nie mogłem się mu obronić. Potrafię ja-li je dźwignąć?

— Miłościwy królu — rzekł pocieszając Grzegorz z Sanoka — już ten pośpiech i gorącość, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego dostoją wiernie! Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic, rozpoczęto wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, z rana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z sokołami szczególnie Władysław jeździć lubił, a tu mu na nich nie zbywało. Co dzień prawie przynoszono je w podarkach, tak że sokolniczych do nich nastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podwórcu zamkowym, gdy wrzawa jakaś w izbach poprzedzających królewskie słyszeć się dała. Rozeznać w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Co dzień prawie się trafiło coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano. Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu i po chwili wrócił blady a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptasz-niczą miał na rękę.

— Cóż to za wrzawa? — zapytał.

— Zaprawdę — bąknął Gratus pomieszany — nie wiem. Człek jakiś nabija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie, strażę nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć.

— Któż to, pokrzywdzony może, potrzebujący sprawiedliwości? — odparł król posuwając się naprzód.

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki go na rozkaz wasz wspomóż jakim datkiem. Nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław marszcząc się i z lekka usuwając Tarnowskiego.

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu, wrywający się z rąk dwom drabom, mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłonioną piersią obrosłą krzycząc wcisnął się, a ujrawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić, muszę!

— Puszczajcie go! — zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już poza nie znanym człkiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych.

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza.

Padł na kolana, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamiętnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż.

Kłęczący na ziemi obłąkanymi oczyma wodził dokoła, potem rękami drżącymi począł dobywać coś zza sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę. Podniósł rękę ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie po madziarsku.

— Oto złoto — krzyknął — które mi dali słudzy królowej z jej rozkazu, za to, abym cię zabił, panie! Tak, przysięgam na to, chciano mnie kupić, wysłano z tym i oto przychodzę ci wyjawić. Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nim miał czas odpowiedzieć, rzucił pytanie, rozmyśleć, co czynić z winowajcą, już za nim krzyk się dał słyszeć i na znak Huniadyego porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjuszeni i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek, i ci, co go porwali. Cisza zaległa w podwórcach. Król wstrzymał się z wyjazdem. Cały dwór polski zbiegł się w jakiejś trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnym niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano.

Na próżno wyglądał Władysław, ażeby wiadomość mieć jakąś o człowieku tym i przygodzie, nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa.

Nadchodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczym. Nie- rychło wreszcie zjawił się

Huniady z tą twarzą, jaką miewał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamiętniali, poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie rzekł spokojnie:

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje. Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, plótno od rzeczy. Nie ma mówić o czym.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne jako szalonego zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nic więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

O losie człowieka nikt nie wiedział, starano się wypadkowi odjąć wszelkie znaczenie i wagę. Król się jednak uspokoić tym nie dał, ale domaganie się jego zbywano odpowiedziami obojętnymi.

Wszyscy usiłowali przez dzień cały uwagę od tego wypadku odwrócić i zatrzeć jego wspomnienie. Na królu wszakże widać było, iż nim znowu niepokój owładnął.

Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomnym, dowiedział się o nim dopiero od

jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczyego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone.

Zapytania mistrza zbywał w początku, tak samo jak inni, tłumacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć. Lecz Grzegorza z Sanoka nie łatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem, co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tym dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę prawdę wiedzieć.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie — szepnął po naleganiu Paloczy. — Człowiek albo istotnie przez sługi Elży przekupionym był, bo ta, co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć, albo kłamał dla zyskania nagrody.

— Przecie w końcu pod grozą kary przyzna się — rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem. Brali go na męki, brali, kleszczami go rwali, piekli...

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw? — zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano — dodał Paloczy jeszcze ostrożniej i oczy podnosząc dodał:

— Któż ich wie? Może ci, co się obawiali, aby ich nie wydał, śmierć mu przyspieszyli?

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo! — łamiąc ręce rozpaczliwie

wykrzyknął Grzegorz. — O, ten biedny młodzian nasz, po co jemu i nam było leżać w to gniazdo osie!

Wstrząsnął się Paloczy.

— Nie mówcie tego, nie mówcie. Złem się wygadał. Srogości tu potrzeba było, dlatego

ukarano podłego złoczyńcę. I nikomu nie przebaczymy. Wasz pan za dobry jest, ale my za niego okrutni być musimy. Niech i człowiek ten, i pamięć o nim przepadnie!

Paloczy nic już więcej powiedzieć nie chciał. Wypadek też zatarty żadnych dalszych

następstw nie miał. Utajono przed królem los, jaki spotkał winowajcę czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takim zapamiętaniem, że nie badając prawie życie mu wzięto. Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekome targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że nasłanego zbójcę

zadławiono, aby ohydę czynu od królowej odwrócić, może nie był bez podstawy. Wśród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znacznie większa część potajemnie sprzyjała wdowie.

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę św. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu.

Tu naprzód wobec Jaczków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanymi, z której korona wykradzioną została przez starą Kottanerin.

Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 1000 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę dla Bolesława polskiego przeznaczoną oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim za ledwie celniejszych panów, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go dokoła. Arcybiskup Dionizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla stojącego przed ołtarzem, były też same, które się od tysięcznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarzone, ale starością swą samą uświęcone.

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejzy i Adelajdy.

Wszystkie obyczaje dawne zachowane zostały, sąd pierwszy i na wieży kościoła św.

Marcina dobytym mieczem na cztery strony świata cięcia w powietrzu, oznaczające, iż gotów był bronić państwa od wszelkiej napaści.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy wśród radości powszechnej zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało.

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozzerwany z państwem, o które wojować musiał.

Był panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie z rozrzewnieniem go

witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia.

— Spełniły się wróżby. Bóg ci dał potęgę! Dwakroć namaszczone skroń twoją! Apostolski

krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szczerbi miecz pogański. Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

— Amen! — szepnął król po cichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rosł w oczach wszystkich i dojrzewał cudownie.

Dawało się to najmocniej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski,

stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem. Dziś i on, i oni sami co dzień się przekonywali, że przerosnął ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza, chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy. Dokoła

nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę. Do ostatka w pokorze i obawie wzdragał się wziąć brzemię nad siły, lecz gdy raz uczył, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znużenia, gdy Grzegorz wszedł po wszystkich innych powitać go i wieszować mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionym.

— Nie wieszuj mi — rzekł — ale mi życz, abym godnym był tego, co otrzymałem: krzyża i miecza poświęconego! Teraz dopiero poczyna się życie moje, które promienieć powinno cnotą i sławą.

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył nimi.

— Grzegorzu mój — szepnął poufalej — gdybyś ty był w sercu moim, a wiedział, co się w nim działo dnia tego i co przesunęło się przed oczyma moimi! Czułem, jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni. Łzy mi na oczach stawały, a za nimi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa — dodał również wzruszony Grzegorz — Chrystusa, którego i ta nasza Polska jest córką.

— Kiedy ja ją zobaczę — westchnął król — kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kaźmirzem dzieje.

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz uspokajając — posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi. Nie opuszczą nas tutaj.

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd na pozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elża, dowiedziawszy się o koronacji, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga ujechała do Austrii, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

Mogło się zdawać krótkowidzącym, że wojna była skończoną, a przynajmniej zachwianą, bo Fryderyk, ten „pan małego serca”, własnych korzyści szukając w opiece sieroty, pomagać mu nie myślał; ale Elża ostatni łańcuch i pierścień gotową była poświęcić dla sprawy syna, a ochotnicy, których łup wojenny ludził, cisnęli się pod chorągwie Giskry, aby Węgrom nie dać spokoju.

VII

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najłaskawszemu, ojcu Wincentemu, z Bożej łaski arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda, 19 grudnia 1442.

Najmiłociwszy Panie i Ojcze!

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymał zlecenie, abym o tym, co się tu z nami, a najbardziej z królem naszym, panem najmilszym, dzieje, listownie doniósł, spieszę rozkaz miłości waszej spełnić tym ochotniej, że tą spowiedzią jakoby ciężar i brzemie zrzucił z serca, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się im zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj, przewielebny ojcze, wszyscy bez mała chorzy a w nieustannej gorączce trwający i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bez mała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

Wiadome są miłości waszej pierwsze przygody na Węgrzech nasze, jakośmy na gotowy tron i królestwo otwarte wesoło spieszyli, a znaleźli kraj srodze zawichrzony, przyjaciół niepewnych,

wrogów skrytych i jawnych, pułapki i zasieki na każdym kroku.

Jeżeliśmy dotąd szczęśliwie i z chwałą wielką dla pana naszego wyszli z onych zasadzek, zasługując na imię dobre u bliskich i dalszych, szczególnej to opiece Bożej i modlitwom pobożnych zawdzięczamy.

Zważyć albowiem potrzeba, żeśmy i my dosyć nieświadomi kraju tego przybywali, i król nasz jeszcze sztuki rządzenia nie miał czasu się nauczyć tym, co najskuteczniejsze, doświadczeniem.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przewyciężenia, trudnościach nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane.

J. M. ks. biskup krakowski powracając z Budy po koronacji najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czym (*pars magna fuit*) brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tym uwieńczeniem pana naszego tak uroczystym koroną apostolską Szczepana świętego, wszystko szczęśliwie dokonany zostało.

Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda. Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroję dlatego przywdziewa, aby żądzy łupiestwa i mordu zadość uczynił.

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych, od Gary, od innych panów węgierskich, tego ani chcę opisywać, ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się dopraszać na zjeździe, o tym miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elży, z drugiej pogan od Adrianopola na granice i w same wnętrzości niemal państwa tego wkraczających, a okrucieństwa swymi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do Polski się odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podołać.

A jako ten pan nasz, przez wszystek czas upłyniony, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podołał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogąc. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególnie wojewoda

Huniady zarzuca, iż zbytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest łaskawość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebaczącego, a nie zdarzyło się go nam widzieć domagającego kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele serc pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowy skłonić do układów, wielekroć przedsiębranych.

Z bliska będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyć mogę, jak bolał i boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet Ojciec św. Eugeniusz IV i zachodni monarchowie Europy, widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawymi łzami nieraz opłakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia

korony, którą mu gwałtem narzucono, a z nią razem potwarzą okryto. Stokroć by się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale go tu związane przysięgą i musi bronić nie tylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołku krzyż Chrystusów jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem, choć młody wiekiem pan nasz.

Walk tych z Turkami z jednej strony zwycięsko wiedzionych przez walecznego wodza

Huniadyego, z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomym miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest Kościół i cały świat chrześcijański tą rozterką, która Ojca św. Eugeniusza IV papieża z soborem bazylejskim poróżniła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad Kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłę swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek Akademia Krakowska za nowo obranym

Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wiernymi dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa, w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tym skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłanym biskup trydencki, patriarcha akwilejski książę Aleksander

mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony,

skuteczniej na umysł jego wpłynąć może.

Ze strony Eugeniusza IV wybór posła niemniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na

dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawy i ludźmi naszymi najprzewielebniej-szego

biskupa sabińskiego, kardynała Juliana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łącno mógł zawczasu przewidzieć, przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi, ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną

jednak miarą porównać go do biskupa sabińskiego nie było można. Wszystko, na czym zbywało akwilejskiemu patriarsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw, bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, na ostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważanym było, że patriarcha akwilejski w tropy Cesariniego

chodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości a przenikliwości wielkiej podołać nie może.

Węgry też, jako stały wprzód przy Eugeniuszu IV, tak wiernymi mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa sabińskiego do Budy i króla naszego nowe jakoby życie

w nas wlało.. Zwątpiliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini przybywszy tu od razu nas natchnął nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa

wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnym skarbem

wyczerpaniem i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austriacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał.

Przybywszy tu w czerwcu kardynał Cesarini, ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody. W panu naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron Władysław król nie wzdychał, tylko do przedjednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnym było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części praw swych, upragnionym.

Bliżsi go będąc niż inni, jako domownicy, najdowodniej o tym poświadczyć możemy. Tu

więc ziarno padło na rolę dobrze przygotowaną i uprawną.

Byłem przytomnym, gdy biskup sabiński po raz pierwszy życzenie to wynurzył, na co król

mu odpowiedział: „Nikt nade mnie goręcej tego nie pragnie, ale też i mniej się tego nie spodziewa.

Posyłałem do królowej niejednokrotnie do Presburga i do Jawrynu, ofiarując gotowość do wszelkich ustępstw, królowa zawsze je odrzucała". Z panami węgierskimi zagaić sprawę tę było trudniej, gdyż niewielu z nich pojednania żądało, z różnych powodów się go lękając, a najmożliwszy podczas Huniady oświadczał się stanowczo i wyraźnie przeciw wszelkiej zgodzie, która by jakikolwiek uszczerbek królestwu przynieść mogła.

Nie zraził się tym jednak Cesarini i poczęły się odtąd podróże jego do Jawrynu, kędy królowa przebywała, dłuższe na dworze jej zamieszkiwanie i przygotowywanie.

Nie bez podstawy ufał kardynał potędze słowa swojego, albowiem mało jest ludzi na świecie, którzy by równą jemu obdarzeni byli. Nie spotykałem w życiu mężów, co by zręcznie, wchodząc zawsze na pozór w myśl tego, z kim mieli do czynienia, z wolna go na to pole wyprowadzać umieli, na którym mieć chcieli. Sądzę też, choć świadkiem rokowań nie byłem, wnosząc z tego, jak się one z drugimi odbywały, że kardynał i królowę do zamierzonego celu doprowadzić się starał.

Jeżeli mu się to nie tak prędko i nie tak łatwo dało spełnić, przypisać potrzeba macierzyńskiemu uczuciu, obrażonej dumie, niewieściemu uporowi i kilkoletniej walce, która nadzieję dalszego jej przedłużania usprawiedliwiała.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynie, powracając do Budy z niczym, ale z umysłem niezachwianym nigdy nadziei nie tracąc.

Z królem zaś o zgodzie mówić nie potrzebował, tu on miał cel inny i równie jak pierwszy do osiągnięcia łatwy. Usiłował skłonić Władysława, aby stanął na czele wojska chrześcijańskiego dla złamania tureckiej potęgi. Więc obietnice pieniężnego zasiłku od papieża, ogłoszenia krucjaty, wysłania w pomoc floty, nadciągnięcia posiłków z Niemiec, Włoch i dalszych krajów, wszystko to powtarzaniem było. Lecz, żeby wodzem stanąć na czele tej potęgi, potrzeba było wprzód Węgry zabezpieczyć, z królową i cesarzem pokój lub rozejm zawrzeć długoletni. Tego żądał król i Węgrowie, a potrzebę widział kardynał. Wszelkie więc staranie ku temu skierowanym być musiało.

Rachował Cesarini na to głównie, iż w Jawrynie przebywając, miał zręczność przekonać się najdowodniej, jak wszelkie zapasy i środki pozyskania pomocy pieniężnej wyczerpane zostały. Na tym zubożeniu królowej Elży wszystko się budowało.

Jednakże przywiedziona do ostatka wdowa, widząc, jak pokój był potrzebny nie tylko

Władysławowi, ale światu całemu, twarde stawiała warunki, a z godnością, dostojeństwem, nawet czią pana naszego nie dające się pojednać.

Stojąc przy tym, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała, aby Władysław zrzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządy zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna aż do dojścia jego pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprowadzić królowa ziemię spiską i sumę na Szląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Każmirzowi młodszą) oświadczała się dać w małżeństwo. Ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały.

W ten sposób wszelkie ich czynności, uroczysta koronacja w Białogrodzie, a jako oni mówili, wszelkie ich prawa, wniwecz by były obrócone i na pośmiewisko wydane.

Aliści na tym właśnie rozbijało się wszystko, że królowa prawa wyboru króla przyznać im nie chciała, tron uważając za dziedziczny, gdy oni przy swobodzie wybierania monarchy obstawali. Zdawało się więc po kilkakrotnej bytności kardynała w Budzie i Jawrynie zachwianym wszystko.

I zaprawdę dla każdego innego pośrednika już by było nie tylko niepewnym, ale straconym.

Tylko bystrości umysłu i niezmiernej wytrwałości kardynała zawdzięczać należało, iż się wszystko na próżnych słowach nie zerwało od razu. Choć los później inaczej dokonał, co przeznaczonym było.

Przeciągnęły się te rokowania nadaremne do miesiąca grudnia.

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż wcale latom swym i dostojenstwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów młodzieńczego wieku widywać tak powolnymi zrządzieniom losu, tak łagodnymi w przeciwnościach, tak łaskawymi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają.

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, namowy, argumentami, króla niejako w oblężeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć przestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez

natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był pożądanym dla Kościoła,

chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego.

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwencję o tym dziekan Lasocki. Na co

my pobożnym responsem, chórem odpowiadaliśmy: Bóg daj!

A przyszłoli potem z panami węgierskimi mówić, burzyli się i wołali, że jakkolwiek pokój pożądanym był, oni go ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierać nie mogą.

Przybył wreszcie zmiękczywszy już królowę kardynał, wielce uradowany tym, co

przywoził, w grudniu, oznajmując, iż królowa gotową była osobiście z Władysławem widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą z dała wydawać może, przecież było wielkim nad umysłem królowej

odniesionym zwycięstwem. Albowiem wiedzieć potrzeba, jakośmy tego mieli dowody, iż królowa dawniej nienawiścią i chęcią zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nie tylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków.

Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepelnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich ulękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elża, która (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austriaków zamek zawczasu obsad. dziła.

Węgierscy panowie zrazu króla do Jawryny puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zaklęć jego. Powiadali, że po królowej, która już niejednym raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz w tym król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o

nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Z góry zapowiedział, że ani się lęka, ani może okazać strachu, że królowej ufa i z małym poczem pojedzie tak bezpieczny, jak by do własnego domu.

Na próżno go usiłowano przekonać, żelazną wolą obstawał przy swoim, a ile razy ją

objawiał, wiedzieli Węgrowie, że się złamać nie da. Dobroci niewyczerpanej, do przebaczenia zawsze gotowy, jak ojciec hojny i rozrzutny, miał to do siebie król, że gdy myśl własną z serca zaczerpnął, nie dozwolił jej odjąć sobie nikomu.

I tym więc razem wyjazd do Jawryny postanowiony został, na co Węgrowie koso patrzali.

Do orszaku też króla wyznaczono przeważnie polski dwór. Dwóch młodych Tarnowskich, dwu

Zawiszów, ze starszyzny też kilku, dziekan Lasocki, bo ten nigdy nie odstępował, gdy o ważniejsze chodziło sprawy, na ostatek i ten, który słowa te pisze, jako kapelan i spowiednik do orszaku został włączony.

Kardynał Cesarini towarzyszył nam jako zakładnik, poręczyciel i pośrednik, a jako był szczęśliwy jadąc, że do tego terminu doprowadził nas, wyrazić mi trudno.

Nie bez wzruszenia też pewnie jechał król, pan nasz i twarz jego młoda o nim świadczyła.

Kilka lat wojując z królową, znając ją jako nieprzyjaciółkę nieprzejednaną, na końcu jechać do niej było ofiarą, którą tylko mąż tak wielkiej przebiegłości, jak kardynał, mógł wyjednać.

Ofiara to była dla Kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa.

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojęstwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzeliśmy dwór rycerski Elży i panów, którzy jej służyli, dosyć okazale przystrojonych i zbrojnych. Szło jawnie o to, aby niedostatek i zubożenie się nie okazało przed obcymi.

Szliśmy wszyscy z królem przez kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elża, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja, com ją w podróży niegdyś z Pragi do Znaim jadącą przy ojcu Zygmuncie oglądał z dala, naówczas młodą, świeżą i kraśną, zaledwie poznać mogłem w niewieście przed czasem

zwiędłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cierpienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litość by obudziła dla siebie. Pomimo to wielką powagę miała cesarskiej córy i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i ukłon oddawszy nieśmiało się przybliżył,

wpatrzywszy się wprzód w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznym wzruszeniem skłoniona do tego, królowa podała mu ręce obie.

Tak się pierwsze powitanie dosyć milcząco, ale pomyślnie odbyło, a kardynał zabrawszy głos za oboje zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany.

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do obu dworów należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą

zaczęły.

Tego dnia, jak sądzę, do żadnych układów nie przyszło, zaledwie do wzajemnego

przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak jak przystało królowej, i na niczym nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć bezpieczeństwo poręczał kardynał, przecież polska straż królewska przez całą noc na przemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie poszły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbytnych ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba.

Władysław po przezwycięzeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbytymi

wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać, czym w istocie był, tak sądzę, że dopiął tego. Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozgadało. Można było widzieć na nim i czytać, że skutek rokowań obiecywał się pomyślnym.

Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla świadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Król w podarku złożył Elżbiecie kilka szub sobolowych z Polski przywiezionych i otrzymał wzajemnie kilka dzielnych koni.

Zauważyliśmy wszyscy wprzód jeszcze, niżesmy o warunkach byli uwiadomieni, że

królowa z poufałością prawie macierzyńską z panem naszym obchodzić się zaczęła, a i uśmiech, acz smutny, na ustach się jej zjawił.

Na zapusty król zaprosił Elżbietę do Budy, która mu bytność swą przyrzekła. O warunkach

ugody mówić nie chcę, gdyż jako się niżej okaże, i ona, i wszystko, cośmy z pomocą kardynała z wielkim wysiłkiem dokonali tu, dziwnym zrządzeniem Bożym wniwecz obrócone zostało.

Mnie ostatniego wieczora oświadczył król poufnie, iż królowa Elżbieta wielce mu się

życzliwą okazała i z zupełną ufnością potajemnie zaręczyła, że tronu węgierskiego ustąpi, połączywszy go ze starszą córką swoją, że go jak syna miłować będzie i we wszystkim posiłkować i pomagać mu nie przestanie, byle się starał z rąk Fryderyka króla rzymskiego jakimikolwiek środkami syna jej i koronę jego odzyskać, a razem i dziedziczne księstwo austriackie, które zagarnął.

Gdy przyszła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli

byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam cześć i szczęście, wyznać muszę, że go dawno tak wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądałem. Miałem sobie do wyrzucenia, iż dziwnym usposobieniem wewnętrznym czułem się smutnym i niespokojnym, jak gdybym w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał.

Na prośbę królowej z naszego dworu dziekan Lasocki, który przy spisaniu ugody był prawą ręką kardynała, w Jawrynie pozostał. Myśmy z dobrą myślą do Budzi powracali, krom mnie, który jechałem smutniejszy nazad, niż gdyśmy do Jawryny ruszali. Działo się to dnia czternastego grudnia.

Nieprzewidziane są wyroki Boże! Gdy Cesarini zwycięstwem swym, a my wojny ukończeniem cieszyliśmy się, naprzód to nas spotkało, że pozostali w Budzie panowie, o warunkach, jakkolwiek korzystnych, pokoju usłyszawszy, od razu przeciwko niemu głosy podnieśli. O wyposażeniu córek Elżbiety kosztem państwa i oderwaniu choćby piędzi ziemi od niego ani słyszeć nie chcieli. Kardynał dał im wołać i gardłować, jak zwykle czekając, by burza z gromami przeszła i umysły się uspokoiły. Pochlebiał sobie, iż ich skłonić potrafi.

Nie miał obyczaju w zgromadzeniach z wielu głów złożonych silić się sam jeden przeciw wszystkim, ale pojedynczo biorąc przeciwników zniewalać do zmiany zdania; a dopiąwszy tego, by większość nawrócił, dopiero występował.

I tu zapewne tak by się obszedł z nimi, gdyby Bóg inaczej nie zrządził.

Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę, widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nie uskarżającą.

Nagle w cztery dni potem naprzód goniec z Jawryna, potem sam dziekan Lasocki nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elża nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanował, a boleści i żałości króla, rozpaczy niemal biskupa sabińskiego, którego dzieło, trud kilkomiesięczny marnie przepadł, słowy słabymi nie potrafię.

Przyczyna tego zgonu tak nagłego, jednemu Bogu najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki zakrytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój był nie na rękę, równie jak zaciężnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Lasocki opowiadał o niesłychanym zamęcie na zamku w Jawrynie, o płaczu wiernych

niewiast przy zwłokach królowej.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast musiał na nowo rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężiej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tym, by rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi sabińskiemu, zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło

nigdy o interesa pana naszego, byleby wyprawę przeciwko Turkom uczynić możliwą. Co by

później po odniesionych zwycięstwach nastąpić miało, o tym nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się godzi, iż nas by poświęcić gotów dla obrony krzyża.

Z jego natchnienia już raz tu przybyłe poselstwo tureckie, które nam pokój wprowadzie pod ciężkimi ofiarowało warunkami, ale gdy się o nie z Grekiem układać było można, odesłaliśmy precz z niczym.

Postarał się Cesarini, byśmy je z wielką wspaniałością i wojenną okazałością przyjmowali.

Zdumiewali się nam Turcy i towarzyszący im Grecy, którzy Boga zaparłszy poganom służą, ale nic nie wskórali.

Wszystko tu u nas brzmi i rozlega się przyszłą wojną. Nagli o nią Paleolog, żąda jej papież, zachęca pomoc obiecując cały świat chrześcijański, a i młody pan nasz duszą i sercem jej pragnie.

Wreszcie sługa wasz, który te wyrazy przesyła, rad by też wojnę mieć i widzieć skończoną, abyśmy wraz z królem w pomoc pospieszyli naszemu królestwu, które z jednej strony łotrzyki szląskie napadają i plądrują, z drugiej Tatarzyn najeżdża, azali prawda, aż pod Lwów nasz się zapędzając.

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historia, żeśmy własnego kraju

zabywszy, własnej zapraw- szy się sprawy, stali na rubieżach za krzyż Chrystusów walcząc.

A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją

odziany, czeka tu, rychłoli mu znak dadzą, aby szedł w bój, i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, azali nie godzien najwyższej chwały?!

Co z nami wygnańcami, w służbie przeciw nieprzyjaciołom krzyża, stanie się i jako obróci dola nasza, jeżeli żyw będę, miłości waszej, panu mojemu najgodniejszemu nieudolnym piórem nakreślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom jej niegodnego polecając sługę.

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał. Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowy przypocholebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć, i jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu. Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale biskupie sabińskim i prawej ręce jego dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad umysłem Władysława dozwolił

osiągnąć władzę wielką.

Grzegorz z Sanoka, kochając młodzieńca, na którego rozkwitnienie patrzył, więcej go chciał

mieć dla kraju, dla Polski, niż dla świata. Ale mógłże walczyć z ludźmi, którzy mu ciągle sławę wielkich bohaterów prorokowali, Aleksandrem go i Cezarem przyszłym głosili, wystawiali mu chwałę, jakiej się miał dobić, i gorące serce rycerskie rozpalali, nie dając zwrócić się ku własnej ziemi i rodzinie.

Cenił i kochał król zawsze mistrza swojego, rad się mu zwierzał, rad przed nim westchnął, ale się nie tuił, że wielkiego owego głosu, którego papież Eugeniusz IV był tłumaczem, powołaniu na wodza i obrońcę usłuchać musi.

Rosło w nim serce bohatera, a Grzegorz, choć ze łzami w oczach, oziębiał go nie śmiał i przeciwie się szlachetnemu popędowi.

Ogarniał wszystkich zapal, który dokoła siebie kardynał szerzył, mając jakby od Boga

zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Władysław urośnie na pierwszego

bohatera swych czasów.

Król, tak codziennie podżegany, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska otaczająca go uczucia te podzielała. Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor, pośrednik, dziekan Lasocki wtórował wiernie kardynałowi.

Zjednany tym samym widokom, wsławiony już zwycięstwami, chciwy nowych bojów i

dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawił o walkach z niewiernymi i o możliwości odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy.

Zdawało się, że rozpocząć tylko było potrzeba wojnę, iść i zwyciężyć. Kardynał Cesarini

ofiarował się też z krzyżem w ręku razem ciągnąć i stawać na placu boju. Obiecywano posiłki zewsząd, przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i innych krajów, o których mówiono wiele, przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i lichy zbrojni łotrzykowie, którzy gdzie indziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany

przez króla nazad, nie opuszczający go prawie, choć tak jak beczynny, z bogaciły jego

doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły.

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzód niemiecki sobie zupełnie przyswoił;

przyjaciół zjednął wielu, nikogo z tych, których miał, nie stracił, i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, płałało i gotowało na przyszłość.

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczość jego, łaciną, podziwiał do języków zdolności, bo Grzegorz z podróży włoskiej i italskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego narzędzia, jakiego potrzebował, wcale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, a co mu Grzegorz miał właśnie za złe, siebie zarówno, ale i młodego króla.

Z Grzegorzem więc miłą się zabawiał pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z

Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wysługiwał.

Niepospolitym też on był człowiekiem i nie darmo ulubieńcem biskupa Zbyszka, który go tu na swym miejscu zostawił. Uczony, bystrego pojęcia, w pracy niezmordowany, życia

wstrzemięzliwego, żelaznego zdrowia, zawsze gotów siaść na koń i do pióra, a z obu skorzystać, jak należało, dziekan był ulubieńcem kardynała, który nie wahał mu się najświetniejszej obiecywać przyszłości.

Poeta i śpiewak, Grzegorz z Sanoka nie nadawał się do spraw wymagających przebiegłości,

utrzymując głośno, że prostą drogę zawsze uważał za najkrótszą i najlepszą. Trochę więc go lekceważono, a on obojętnie i nieco ironicznie na krzątających się poglądał.

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego „pana małego serca”, który własne interesa zawsze stawiał przed innymi, udało się nieznużonemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach.

Było to raczej pozorne niż rzeczywiste zabezpieczenie się od domowej wojny, bo najemne

Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach.

Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król ani Huniady

nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni, w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało w pogotowiu, tak że gdy kardynał przybył z powrotem, zawrzało w Budzie i wnet pułki wyciągać zaczęły.

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przyszła, powitał Grzegorza, jak zwykle powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem:

— Idziemy nareszcie, idziemy! Oczy mu pałały, drżał cały.

— Ty stoisz zimny — dodał z wyrzutem — jak gdyby ci sława moja drogą nie była.

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebacz, mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie

masz. Ja czuję, że powołany do boju! Wszystko się tak składa, abym w rękę Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha! Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmóc potrafią! Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieskim, mamy ochotników, mamy krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Wołochów...

— I co najlepsza — dodał Grzegorz — Polaków, którzy za ciebie, królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi.

— Zwycięzimy — krzyknął król z zapalem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wierszem łacińskim podasz potomności sprawy nasze?!

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać je mając, oglądał.

— Jak to, chcesz być z nami? — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżebym ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić.

W ten sposób Grzegorz z Sanoka zaciągnął się także na tą krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na pierś.

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszków, szli z królem polscy

panowie: podkanclerzy Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa, Mikołaj z Chrzastowa, Mikołaj Różyc z Zakrzowa, Hinka Toporczyk z Balic, Michał

Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystko rycerstwo najdzielniejsze, którego

widok sam mógł trwożę wrazić w nieprzyjaciela.

Z Węgrows co przedniej szego brało ochotny udział w wyprawie.

Mniej pokaźnie stawiły się pułki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były.

Przy królu jechał z krzyżem w rękę, przez krucyfery poprowadzony, kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnąć, dopóki by śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód, po uroczystym wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu we dzwony i

modlitwach po kościołach posuwał się w takim ducha podniesieniu, z tak ognistym zapałem, że gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjaciel stawił czoło, jak burza zniósłby go ze szczętem.

Z nadzwyczajnym pospiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofii. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek rzucili.

Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla. Pierwszy on do dnia dosiadał konia, kładł się na spoczynek ostatni, był jakby gorączką jakąś trawiony.

Nie dawał też mu ostygnąć kardynał, równie bojowniczego ducha. Nic się oprzeć nie mogło zwycięskim zastępom, a każda walka dodawała męstwa.

Turcy zasadzki czynili, napadali z boku, czatowali po wąwozach, • rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

Dnia 3 listopada po wielu bitwach zwycięskich nastąpiła krwawa i szczęśliwa pod Nissą.

Zdobyto Wrota Trajana, wąwozy Ssulu-Derbend. Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali przejścia, kryli się za skałami, z wierzchołków gór zasypywali strzałami.

Wśród tych szczytów okrytych śniegiem, po drogach zeszlonych od lodu, położyło się

wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilii Bożego Narodzenia. Zwycięski pochód,

nieustanne utarczki pomniejsze, nie dające chwili do rozmyśłu ani na spoczynek, utrzymywały wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepiał na następstwa i nie dawał

widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego, gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dął

śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu, aby jeśli nie zdjęć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszków, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadchodzącą zimę, pozamykane wąwozy, w których głębinach Turcy siedzieli, pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna. Ale kardynał Cesarini, który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

Grzegorz z Sanoka u maleńkiego, rozpalonego z biedą ogieńka, pod nędznym namiotem, którym wicher targał, a śnieg doń zalatywał, grzał ręce zbiedzony, gdy nadszedł podkanclerzy Piotr ze Szczekocin.

Nie zdjął on był zbroi z siebie ani hełmu, w rękę trzymał kilka strzał, które w jego koszuli żelaznej uwięzły, a jedna z nich u ramienia lekko raniła.

Był to jeden z najwaleczniejszych rycerzy i jeden z najtroskliwszych o króla.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mistrzu Grzegorzu — odezwał się do siedzącego, który nie dojrzał nawet gościa. — Jutro wigilia do Godów, pono ryby nie skosztujemy. — Bylebyśmy chleb mieli — westchnął Grzegorz.

— Nie wszyscy go na pewno dostaną — odparł podkanclerzy — kardynał sam żyje słowem Bożym i ogniem świętym, ale my, niegodni grzesznicy, wkrótce jeżeli nie od strzał nieprzyjacielskich, to od mrozu i głodu poginiemy, Bogu na chwałę, ale komu na pożytek, nie wiem.

Grzegorz się uśmiechnął, poprawił ogieniek, który wiatr gasił.

— Mistrzu, czas by nam jeśli nie o sobie, to o królu pomyśleć — dodał Piotr ze Szczekocin.

— Wy ucho pańskie macie. Włoch, święty człek, ani słowa, ale ani kraju nie zna, ani wojny nie rozumie. Zwycięstw, dzięki Opatrzności, odnieśliśmy dosyć, okazali cudów. Turcy dokoła nas otaczają, nam głód doskwiera, zima nad nami, nie wyjdzie stąd noga nasza!

— Ucho pańskie wprawdzie dostępne jest dla mnie — odezwał się Grzegorz — ale jakże zwycięzcę zatrzymać. Nie widzi on i nie chce dojrzeć niebezpieczeństwa, a gdyby je przeczuwał nawet, jedno słowo kardynała popchnie go dalej...

— Na Boga, mistrzu — przerwał podkanclerzy — króla i sławę jego ratować potrzeba.

Zwyciężyliśmy, lecz pragnąc nad siłę stracimy plon zdobyty. Mówcie mu...

— Ja? — odparł Grzegorz. — Nie posłucha mnie. Idźcie wy wszyscy, coście dali męstwa i

wytrwałości dowody, macie większe prawo przemówienia nade mnie.

— Chodźże i ty z nami! — zawołał podkanclerzy. — Król jest w swoim namiocie i już do jutrzejszej się przygotowuje potyczki, która nas nieochybnie czeka, bośmy wokół otoczeni.

Chodźcie!

Cokolwiek zawahawszy się wstał Grzegorz, poprawił kożuszek na sobie i wzdychając szedł za podkanclerzym.

W gołym polu, na śnieżnej zamieci, pootuleni opończami, nie opodal stali, cicho radząc,

rycerze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Nałęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli po cichu, ale z żywością wielką, gdy Piotr ze Szczekocin nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł przystępując podkanclerzy. O kilkanaście kroków był namiot

Władysława, z prostych wojłoków, mały i ciasny. Świeciło się w nim trochę, a przez co chwila uchylane opłotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież napelniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamarźle rozgrzewała wino i resztki skostniałego od mrozu mięsa.

Władysław stał w pośrodku, hełm zdjąwszy ze skroni, z włosami rozpuszczonymi, z oczyma błyszczącymi, z czołem promieniejącym. On, Tarnowscy, Zawiszowie, żywą prowadzili rozmowę.

Kardynał obok w drugim namiocie znajdował się na modlitwie.

Gdy starszyzna ukazała się u wnijscia, rozstąpili się młodsi, król, zobaczywszy ich gromadą wciągających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej — rzekł — z obowiązku sług wiernych. Szliśmy

naprzód nie zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć przyjdzie. Wojsku żywności brak, konie padają, mróz ściska, Turcy nas osaczają, a zima i śnieg dobijają. Miłościwy panie, myśmy ginąć gotowi, ale tobie młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwycięstw i dzieł nie możemy dać tu zastręgnąć marnie. Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać, czas.

Wszyscy za podkanclerzym potakująco zawtórowali. Król drgnął z niecierpliwości.

— Na Boga — zawołał — wracać, wracać, gdyśmy u progu zwycięstwa!

— Progu tego nie przestąpimy — rzekł podkanclerzy. — Ludzie padają jak muchy. Nie przed Turkiem ustąpię, ale przed mrozem i śniegiem, przed głodem!

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo Piotra. Król stał widomie zafrasowany.

Wtem z boku podniosła się ścianka i kardynał w sobolewej szubce wcisnął się do namiotu.

Twarz jego zbladła wyrażała przestach, oczy niespokojnie biegały.

Król jakby na pomoc wzywając wejrzał ku niemu.

Cesarini podnosił już ręce.

— Mówicie o odwrocie — zawołał — teraz, w tej chwili, gdy krok dalej, a hordy te pierzchną strwożone przed nami. Chcecie laur zwycięski zedrzeć ze skroni waszego króla!

— Wasza przewielebność — począł powoli Paweł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się z wojskiem dzieje. Z głodu i zimna zginiemy tu wszyscy. Koni połowa padła, w każdym obozowisku zostawiamy trupy, nie od strzał nieprzyjaciela, ale od chorób i wysiłku. Litość mieć potrzeba nad ludem tym.

Cesarini zamilkł spuściwszy głowę.

— Próżne obawy — szepnął cicho — opieka Boża nad nami. Opatrzność nie da ginąć żołnierzom Chrystusowym.

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz, ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa — rzekł trochę szorstko podkanclerzy. — Daliśmy dowody, że nam na męstwie nie zbywa, że nie z obawy ustąpić chcemy, ale z musu.

Wtem król, który słuchał zmięszany i smutny, wyciągnął ręce ku nim.

— Pietrze — odezwał się do podkanclerzego — zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilia do Godów, jutro tylko dozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walkę zwycięską stoczymy.

— Potem — dodał ze smutnym westchnieniem — jeżeli rada wojenna postanowi, pociągniemy do Budy.

Wszyscy zamilkli, skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza — rzekł spokojnie — lecz pojutrze, nie dalej, musimy wracać, jeśli choć część wojska, miłość wasza, do Budy chcesz doprowadzić.

Natychmiast cofnęli się wszyscy z ciasnego namiotu, w którym król, kardynał, na boku młodzież, a u wnijscia

Grzegorz z Sanoka pozostał. Zmierzył go nieufnym okiem kardynał, jak by w nim przeczuwał przeciwnika.

— Znużeni są rycerze nasi — przerwał milczenie Cesarini — przebaczyć im to należy, lecz zaprawdę źle obrali chwilę do żądania odwrotu. Stracimy owoc całej wyprawy!

— Lękam się — odezwał śmiało Grzegorz z Sanoka — aby dla owocu drzewo nie runęło.

Siły ludzkie mają granice, a myśmy do niej doszli. Stan wojska okropny, śmierć grozi. Jeszcze chwila, a zguba nasza nieochybna. Turek nas wojować nie potrzebuje, zima jest mu najlepszym sprzymierzeńcem. Bitwy nie wydaje, bo wie, że legniem i bez niej.

Król słuchał jakby zawstydzony. Cesarini się odwrócił milczący.

— Rycerstwo to — dodał Grzegorz — tyle okazało męstwa, że mu uwierzyć można, gdy mówi *non plus ultra*. Ono zginąć gotowe, lecz króla ocalić mamy obowiązek.

Syknął kardynał.

— Wszyscyśmy na równe wystawieni niebezpieczeństwo — rzekł — czemuż go nie czujemy?

— Waszej przewielebności święty zapał — odparł mistrz — nie daje ziemskich rzeczy dojrzeć.

— Jutrzejszy dzień rozstrzygnie — wtrącił król gorąco. — Zwycięstwo pewne. Ono podźwignie wojsko i sił mu doda.

Cesarini ręce podniósł ku niebu.

— Ten, którego narodziny w żłobku betlejemskim pojutrze radośnie obchodzić mamy, Pan

nasz i Wódz nasz zaopiekuje się nami.

Natychmiast król, jak by niemiłą już rozmowę chciał przerwać, zapytał Grzegorza z Sanoka o Zbigniewa Rosperskiego, który tego dnia strzałą pod pachwinę ugodzony na wozie do obozu jechać musiał, bo dużo krwi utracił.

Grzegorz odpowiedział, że ranę zawiązano i krew zatamowano, ale Rosperski spoczynku potrzebował.

Wtem wniosła czeladź rozmarzłe wino, chleb czerstwy, ser i skromny posiłek, którego pomimo znużenia, ponieważ dzień był piątkowy, zaledwie dotknięto.

Późną już nocą pokładli się, kto mógł, na spoczynek krótki, ledwie rozdziewając ze zbroi.

Zaledwie szarzyć zaczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dokoła

górach dostrzegły ćmy pogan, które stanowisko obrawszy sobie ponad wojskiem zabierali się zasypać je strzałami. Gdzieniegdzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słychać było.

Król już zbroję wdziawszy konia niecierpliwym dosiadał i rwał się prowadzić swoich.

Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie. Jeden z pierwszych Cesarini siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał.

Równym ze dniem, nie z jednej strony, ale naokół zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że

Turcy czuli, iż nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle. Lecz brzmiała już *Bogaro-dzica* 73, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały.

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który z konia nie zsiadając modlił się i błogosławił.

Patrzył na króla swego, który uniesiony przez konia zniknął mu z oczów wśród tłumu wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się jak grad i słychać było z dala dźwięczenie ich na zbrojach.

Dwa działka małe, które król miał z sobą, ustawione z boku, nabite drobnymi kulami,

wsypywanymi w nie, dały się słyszeć z dala i huk ich rozległ się po górach. Tam, gdzie padł ich strzał, motłoch pierzchał. W ślad za nim biegli konni.

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga z gór spuszczała się, jak by w ich wnętrzach

niezliczone się tłumy lęły-

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wąwozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zajadłością walczyło z poganami. Przy wozach i obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzane do boju biegly. Ponad tym śnieżnym pobojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące.

Nadeszło południe. Na chwilę zza przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała. Cesarini modlił się upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można.

Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach.

Z południa już, pieszo, straciwszy konia, ranny w twarz, bo hełmu nieostroźnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki.

Grzegorz z Sanoka pospieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje? — zawołał. Zwrócił się i kardynał ku niemu.

— Z królem! — odezwał się Dołęga. — Nie wiem już, ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbijał a siekł pogańców! Podkanclerzy hamował go na próżno. Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za nimi nie można, na karki nam spada ta szarańcza.

Cesarini pobladł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwa i strwożył się o króla.

— Weźmijcie konia mojego — odezwał się — a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mu się potrzeba.

Mrok zaczynał padać, gdy w końcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męstwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były nimi usłane, z wolna dla nocy samej cofać się zaczęło.

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla tylko, Cesarini niecierpliwszy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wąwozach i na płaszczyznach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwycięską, którą wiatr zrywając roznosił. Górą niebios z białych obsłon wieczornych lazurem przyćmionych nocne wypogodzenie i mróz zapowiadały.

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą oznajmują wieczerzę z starochrześcijańskim

obyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczoraj domagali się powrotu, dnia tego dokazywali cudów, wojsko, oprócz zaciężnych papieskich żołnierzy i cudzoziemców do zimna nienawykłych, skostniałych, biło się bohatersko. Król wracał ranny w rękę, mnóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nie znacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylana.

Z podniesionym hełmem jechał teraz śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś na kruzgankach zamku krakowskiego, swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie.

Ponad głowami ich powiewały górą podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława,

Jerzego i królewska. Starsi rycerze jechali poważni i zadumani. Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkanclerzy naradzał się ze swymi. Postanowiono, jak by wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do zwinięcia obozu.

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, pogiętą zbroję i cały pęk strzał, które wiózł giermek, wyjąwszy je uwięzie w królewskim rynsztunku.

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy! — zawołał król wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie — odezwał się mistrz śmiało — Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ale też to dzień boju ostatni. Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ

begler-bej Rumelil. Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzynę wiele, chorągwi nabrano tyle, że nimi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można. Czas powracać!

Władysław odwrócił się smutny. Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, milczał.

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgierscy i polska starszyzna.

Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wąwóz Isladi nie posuwać.

Ludzi chorych, koni rannych było bez liku, część wozów dalej już iść nie mogła. Żywność była wyczerpana. Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień Godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęto robić przygotowania do podróży.

Wielką ilość wozów, uprzęży, broni, sprzętu wojennego musiano dać na pastwę ognia, aby się nie dostała nieprzyjacielowi. Konie ranne dobijać kazano. Poukładano stosy olbrzymie, podłożono płomień i rycerstwo otoczyło je, ogrzewając się przy nich wesoło. Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu.

Wczorajsi wojownicy, Turcy zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc, co znaczyły.

Król spoczął przecież dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jada zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta ucztą na poboju była prawdziwie rycerską i mniszą, i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia Godów ruszyły pułki z wąwozów wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciel, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia pogaństwo, ściągawszy się do kupy, na tyły i tabory rzuciło się z wrzaskiem zwykłym, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia, kazały się domyślać, że wojsko słabym się czuło.

Zaledwie wisk dziczy usłyszał król i znany świst a szelest strzał, nic go już utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyzna polska, inne też pułki zwróciły się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapalem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńczym zuchwalstwem puścił się w pogoń za nimi i ze swoimi pięciuset

Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa.

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego

hufca zwycięskiego, iż Turcy, w wąwozy i parowy cisnąc się i uciekając, wkrótce zniknęli. i Króla podkanclerzy, konia mu za cugle pochwyciwszy, ledwie mógł powstrzymać, aby dalej

się nie zapuszczał, gdzie zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięska, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przerażeni zostali. Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojny i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

To, co wyliczał królowi przy powitaniu Grzegorz, zabicie begler-beja Rumelii, wzięcie w

niewolę zięcia Amuratowego Mohameda Czelebi, grody i chorągwie, łupy zabrane, starczyły na okrycie sławą wodza chrześcijańskiego, młodzieńca, na którym teraz świat cały największe pokładał nadzieje. Po ostatnim odparciu Turków, pochód dalszy był już zwycięskim ciągnięciem, radosnym a wesołym.

Przodem kardynał wysłał gońców, wyprawiono listy głoszące, że wojsko laurami okryte

powraca. Nim ono do Budy dociągnąć mogło, już i tu, i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować jak triumfatorów.

Polacy też, którzy niemałe dali dowody dzielności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tym zwycięstwie, a większą jeszcze męstwu i rycerskiemu duchowi młodego króla.

Od króla szedł ten zapal, jego słowo i przykład zagrzewało. Węgrów zazdrość to budziło.

Oni doświadczeniu, rozumowi i kierunkowi swojego wodza Huniadyego gotowi byli więcej jeszcze przypisywać i w powrocie już spory się o to wszczynały niemałe, chociaż sam król młody oddał

swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie, znając i kraje te, i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz

naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do triumfu, do którego zagrzewał, chociaż posiłki przez niego przywiedzione najmniej się na tej wojnie odznaczyły.

Przez dni kilka musiało wojsko spoczywać w Białogrodzie, dopóki by się oddziały

rozprószone i opóźnione nie pościęgały.

W Budzie przygotowano się na uroczyste, świetne przyjęcie zwycięzców. Dzień to był

wielki, jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartach dziejów. Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze; wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za nim. Król z pokorą chrześcijanina, obyczajem starodawnym szedł pieszo wprost do kościoła Panny Marii, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje.

Duchowieństwo, mieszczenie, cechy, chorągwie, przy bi- ciu dzwonów wystąpiły na spotkanie. Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca.

Lud witał okrzykami radosnymi, które wprędce aż na krańcach Europy odbić się miały.

Jak chorągwie krzyżackie Jagiełło na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Marii w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych towarzyszy broni polskich i węgierskich rozkazawszy odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich. Umieszczono pomiędzy nimi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych krzyżowców.

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy dla pana

swojego, lecz przewidując wcześniej, że zwycięstwo to upoi, oślepi i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu

przynoszono, dla mistrza Grzegorza powrót Władysława do kraju czyniły pilnym i koniecznym.

Lecz Polska i jej sprawy małały i nikły zaćmione interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło

owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady w Sieradzu lub Korczynie, gdy głos Eugeniusza IV i Paleologa je głużył.

Na naleganie mistrza odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kaźmirz zastąpi brata w Wilnie.

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie wojowania pogan wyprawa ta więcej

wzmogła, niż zaspokoiła, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować triumf ten jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powtarzała, przechodziła z ust do ust, stawała się

hasłem:

— Teraz chwila nadeszła, która złamie potęgę turecką! Na pogan, na pogan!

Pewność zwycięstwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczęśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano zwycięstw

tyle, cóż dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!

Cesarini listy pisał i rozsyłał nawołując.

Z ciasnej komórki swej patrzył na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i rozważał chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innych takim jaśniały urokiem, dla niego szaro i smutno wyglądały.

Częste o to walki staczał z dziekanem Lasockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał.

Zapominano, że Władysław był zarazem królem Polski.

Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać. Po

takiej cichej z nim rozmowie król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że rad by choć na krótki czas zjechać do kraju, który przytomności jego wymaga.

Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt nazajutrz jak burza Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się w końcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożądał.

Z góry układano plany. Wprost uderzyć na Adrianopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytępić. Sile krzyża, potędze męstwa bohaterskiego nic się oprzeć nie mogło.

Wyobraźnia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad którymi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko zniknęło z oczu w blasku tych świetnych marzeń, które karmił Cesarini.

Wieczorem rozgrzany powracał jeszcze król do swej sypialni, gdzie mistrza Grzegorza z

jego książeczką modlitw znajdował, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczyniała się zawsze rozmowa o Polsce, o Litwie, o tym wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla.

Z Polski tej dochodziły głosy:

— Myśmy ci pierwsi dali koronę, tyś nam winien opiekę. Opuściłeś nas.

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tęsknic ludu, jego próśb i przynagłań.

Władysław słuchał i w duszy budziło się nie zgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi.

Czuł, że tam powoływał święty obowiązek.

Tu otaczała go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat,

Litwa i utrapione prowincje. Książęta mazowieccy, Litwa, Szlązacy, najazdy, zatargi czekały na króla.

Bystrzej może widział i głębiej Grzegorz z Sanoka niż wszyscy współcześni. Litwa dążyła

do oderwania się z Kaźmirzem, a w Polsce tajemne, skryte knowania przygotowywały powrót

Piastów do tronu.

Sam biskup Zbyszek, który na pozór Jagiellończykom sprzyjał, nie był wolen od pewnej dla krwi Piastów sympatii. Później się to objawiło dowodnie, a najdowodniej bije z kart dziejopisa (Długosza), który duchem Oleśnickiego był przejęty i wszystkie jego przekonania podzielał, czynnościom służył.

Oddalenie Władysława, uczynienie go obcym Polsce w chwili, gdy Piastowie zyskiwali tam

zwolenników, potajemnym tym dążnościami sprzyjało. Lecz były one tak skryte jeszcze, osłonięte i niewidoczne, że raczej je przeczuwać, niż dojrzeć można było.

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski uczyniły wreszcie na Władysławie

wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż rad by pojechać do kraju. Cesarini uląkł się.

Groziło to ostygnięciem, któż wie, może zupełną zmianą usposobień.

Huniady na wodza nie starczył.

Europa nie znała go tak dobrze jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała. Turek przerażony mógł ściągnąć z Azji siły nowe.

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spotkał się z unikającym go Grzegorzem z

Sanoka i przywitał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania człowieka.

— Wśród tej wrzawy wojennej — odezwał się do niego kardynał z uśmiechem — wy, kochany poeto, musicie się tu nader czuć obarczonym. Cześć muz potrzebuje spokoju.

— Pożegnałem też te boginie — odparł Grzegorz — i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkim musimy zapomnieć, pomnąc tylko na tę świętą wojnę — dodał Cesarini.

I chwilę pomilczawszy rzekł znacząco:

— Król, który dotąd zapałem nam wszystkim dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tęsknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak, i znajduję słusznym a naturalnym — odezwał się Grzegorz. — Dał już dowody, że do ofiar jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, których zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przysięga.

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie krzyżowi pańskiemu! — zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą — mówił spokojnie mistrz. Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tracić cierpliwość:

— Posądzani was, kochany poeto, że wy to w królu budzicie tę tęsknotę do kraju niewczesną.

— Nie wstydzilibym się tego i przyznał, gdybym to czynił — rzekł Grzegorz — lecz młody król nie potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypominano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojczy kochany! — zawołał. — Wszystko na świecie jest względne, obowiązki mają

hierarchię i stopnie. Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć poświęcić. Nie wątpię o mi- łości waszej dla pana, ale służycie mu źle, chcąc go uczynić maleńkim polskim królem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrześcijaństwa. Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami! Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi, przewielebność wasza, przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się raz dla Kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją.

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni — odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera za wodza, a wy...

— A my — przerwał Grzegorz — skłaniamy głowy, ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę.

Ułagodzony znowu przysunął się do mistrza Cesarini i poufale rękę mu kładąc na ramieniu szepnął na ucho:

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz milcząco skłonił głowę, a kardynał, już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły.

Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugeniusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głównej jego stało złożonymi głoskami pod krzyżem: *In hoc signo vinces* .

Przyjęcie legata było uroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysława tu ciągle otaczały.

Wszystkie posłuchania na wielkiej sali zamkowej w Budzie odbywały się tak, aby oczy cudzoziemców olśniewały. Rycerstwo występowało w złoconych zbrojach, w szatach od purpury i złotogłowu, w piórach, z tarczami sadzonymi, z pasami błyszczącymi od klejnotów, w łańcuchach ciężkich, w szubach sobolowych. Polskie i węgierskie stroje szły o lepszą. Duchowieństwo też nie ustępowało im w okazałości.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Francji, Anglii, Hiszpanii, Aragonu, ks. Filipa Burgundzkiego, książąt Mediolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczypospolitych: Weneckiej, Florenckiej, Genueskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumnym i zapragnąć pić z tej czary, której kto raz skosztował napoju, wiecznym się pali pragnieniem.

Oprócz pochwał i życzeń niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków. Czcze słowa, które później okazały się zwodniczymi.

Wszystkich panów, przybywających tu, Władysław nie tylko z przepychem królewskim przyjmować musiał, ale zwyczajem wieku ich obdarowywać.

Skarb to wycieńczało, lecz zapal, jaki panował na dworze, nie dozwalał ni oszczędzać się, ani rachować. Ojciec święty obiecywał posiłkować złotem, inni monarchowie dawali do zrozumienia, iż się też do obowiązku poczuwali.

Wśród tego rozgorączkowania kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski odpowiedziano zwłoką, a wielki zjazd zwołano na św. Jerzy do Budy.

Miał on na celu wyprawę nową.

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej, i miasta, które trzymały stronę pogrobowca.

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Władysława Garę. Bo gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgierscy panowie, aby jego i współników buntu, a niepokoju sprawców,

pochwycić mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tym, potajemnie Giskrze ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszom ocalając życie.

Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przeniewierstwa.

Zjazd pobór ogólny na wojnę uchwalił, bo skarb był wyczerpany do dna.

IX

W mieszkaniu swym na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata dosyć ciemna we dnie cała już była mrokiem posępnym okryta, ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało duszy. Kardynał jak zwierciadło odbijał, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadkową przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną. Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasrożoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie.

Poruszał się machinalnie, bez myśli, jak by nim krew rzucała, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał, to łamał, to tarł nimi twarz i rozrzucał już przerzedzone włosy. Na drzwi spoglądał

niekiedy niecierpliwie, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprowadzała rozdrażnienie większe jeszcze. Walczył z sobą.

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonymi krokami, z również zafrasowanym obliczem.

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie.

Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią zabierał się do boju. Ale Włocha bój miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować.

Różnica ta natychmiast na jaw wyjść miała. Na widok dziekana Cesarini obliczu kazał milczeć, a Lasocki mimo woli poddał się przykreemu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho do kardynała. — Niestety! Nie ulega to wątpliwości. Jerzy despota Rascji i Jan Huniady, bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami.

Owoc tylu usiłowań stracony, zawarli pokój, to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są...

korzystne. Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Niestety! — zawołał wyrażając się popularnie po włosku (*accidente!*), co razem jest rodzajem przekleństwa.

Chwilkę milczał.

— Iść przebojem — dodał po cichu — na nic się nie zdało. Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna. Gra musi być inną...

Lasocki patrzył i zdawał się czekać na wytłumaczenie, niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wyszadzeni z siodła — dodał Cesarini — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda.

Spojrzał bystro na Lasockiego, uśmiechnął się i dodał, jak zwykle, gdy bardzo coś uczuł mocno, po włosku:

— *Chi va piano, va sano... e lontano, lontano.* Musimy zgodzić się na pokój, pochwalać go nawet.

Przerwał i dołożył szepcząc, obiema rękami robiąc ruch, jak by rozdzierał coś w nich:

— Pójdzie ten pokój w kawałki!

— Lepiej by go nie dopuścić — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna! — przerwał niecierpliwie kardynał. — Kopano dołki pod nami, wpadliśmy w nie, wprowadzimy z kolei kopaczy.

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę, nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego.

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetną, będzie zwycięską, daję na to głowę moją. Pamiętajcie, jesteśmy za pokojem!

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mu-cet i poprawiając czapeczkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał. — Ja się ich domyślam. Despocie oddaje zapewne Turek

zabrane zamki i miasta. A Huniady?

— Huniadyemu oddaje Jerzy to, co z nadania Albrechta i Władysława na Węgrzech posiadał.

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie! — rozśmiał się kardynał. — Nie dziwuję się despotcie, nie pojmuję wojewody. Huniady, ten nasz wódz i bohater!

— Toteż pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On Huniadyego namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić.

— Huniady! — powtórzył kardynał.

— Despota wybrał do zawarcia pokoju z Amuratem chwilę sposobną — mówił Lasocki.

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierdzisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu. Despota korzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolię — dołożył Lasocki. — Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeźdźcę zmiękczyło.

— I Huniady! Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwilce dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedynu.

Spojrzał na dziekana, który lekkim głowy skinieniem zgadzał się na wszystko.

Wieczór nadchodził szybko, w komnacie robiło się coraz ciemniej, sługa wniósł światło i razem z nim wtoczył się raczej, niż wszedł, ogromnego wzrostu opasły mężczyzna, którego twarz wschodniego wybitnego typu, z czarnymi wielkimi oczyma, więcej chytrłości niż rozumu oznaczała.

Łatwo było odgadnąć, że on miał się za bardzo przebiegłego i mądrego, lecz czy nim w istocie mógł się zwać, wątpić się godziło. Obejście się wielce pokorne, a zarazem niby dobroduszne, zdradzało ochotę uchodzenia za prostaczka.

Był to Grek, którego pod imieniem Arkadiusza znano, posługujący różnym, a teraz despotowi Rascji.

Kardynał, znawca wielki ludzi, od dawna go już ocenił i stosownie się obchodził z nim.

Oblicze Cesariniego w przewidywaniu, że na nim przybyły szpiegować będzie myśli, przybrało wyraz obojętnego spokoju.

Arkadiusz po niskim pokłonie, obejrzawszy się na Lasockiego, westchnął i ręce zacierając począł:

— Przychodzę przewielebność waszą zapytać, bom nieświadom niczego a niespokojny.

Wieść się rozchodzi, bałamutna może, o pokoju. Nie zanosilo się na to!

Kardynałowi nie drgnął żaden mięsień twarzy.

— O pokoju? — powtórzył. — Nic nie wiem. Skądże ta wiadomość?

— Pogłoska — rzekł Arkadiusz — miał ją jakoby przywieźć goniec od wojewody

Siedmiogrodu i despoty.

— A cóż mówią o nim? — pytał zimno, ale z zajęciem pewnym Cesarini.

— Powiadają, że korzystając z usposobienia sułtana, który siedemdziesiąt tysięcy dukatów za Czelebiego zapłacić musiał i dużo ludzi utracił, Huniady i despota skłonili go do przystania na bardzo dobre warunki.

— Cóż to zowiesz dobrymi warunkami? — uśmiechając się spytał kardynał.

Arkadiusz pilno mu w oczy patrzył i ramionami poruszając rzekł:

— Mówią o dobrych warunkach, ale ja, ja ich nie wiem! Lecz... czyby król, pan nasz miłościwy, w którym taki zapał do boju goreje, przystał na to?

Cesarini ramionami poruszył udając obojętność. Obrócił wszystko w żart.

— Któż wie, gdyby sułtan Amurat opuścił Adrianopol i z całą swą tłuszczą powrócił do Azji!

Arkadiusz przymuszonym śmiechem odpowiedział, ale oczy jego nie schodziły z kardynała.

— A przewielebność wasza — rzekł — co byście trzymali o pokoju?

— Ja, mój Arkadiuszu — odparł kardynał — z powołania, jako duchowny, jestem człowiekiem pokoju. Wszystko zależy od tego, czym go okupić potrzeba.

— Pogłoska ta jeszcze do was nie doszła? — zapytał Grek.

— Dotąd nic nie wiem — odezwał się Cesarini.

— Zdaje się jednak, że listy jakieś przysły od Huniadyego do tutejszych panów — zniżając głos dodał poufnie gość, który nie śmiejąc się stał w uniżonej postawie. — Węgrzy sobie dosyć życzą pokoju. Wojna wszystkich znużyła, skarb wyczerpała. Króla do Polski wyzywają, podobno jechać tam będzie musiał, bo się w jego Polsce zawichrzyłb. Skarb też wyczerpany, bo młody pan szafuje nim po królewsku, a nim miasta złożą pobór uchwalony...

Zatrzymał się Arkadiusz, chcąc wydobyć jakąś odpowiedź od kardynała, ale Cesarini

siedział z oczyma spuszczoneymi, ręką białą po stole przebierając i zdawał się tak obojętnym, jak by sprawa ta go najmniej nie obchodziła.

Greki, który postanowił go wy badać, nie poprzestał na pierwszej próbie.

— Waszej przewielebności przypisują, że życzyliście nowej wyprawy i pogromu Turków; cóż tedy, gdyby do pokoju przyszło? Zmięszwałyby się wszystkie szyki i poszły wniwecz przygotowania! Szkoda!

Kardynał tak zagadnięty nie spojrział nawet na Greka, ale patrząc na ścianę odparł:

— Ci, co mi przypisują pragnienie wojny, nie myślą się, dziecko moje. Pogan pragnąłbym w istocie widzieć wyżenionymi z Europy, ale pokój, zawarty nawet, nie jest nigdy wiecznym. Cóż tu dopiero rozprawiać o nie dokonanym? Ja nic nie wiem.

Odparty tak Arkadiusz westchnął i zwrócił się do Lasockiego, który z dala stał milczący.

— Wy, ojcie — rzekł — co wszystko wiecie, powinniście już byli słyszeć coś o tym?

— Byłem zajęty ekspedycją papierów do Polski — odrzekł Lasocki — nie widziałem nikogo.

— Gońcy przybyli, bom ich sam widział — dodał Arkadiusz.

— Więc niezwłocznie się to wyjaśni — zakończył dziekan. Grekowi zawiedzionemu nie

pozostawało już nic nad zmianę rozmowy. Zwrócił się na przedmiot obojętny i ciągle oczyma śledząc kardynała i dziekana, nic nie wydobywszy z nich, odejść musiał.

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytniej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Wiadomość o przybyłych pismach już się po całym dworze rozeszła, a Cesarini nie dał znaku życia. Lasocki słuchał, nie mówiąc nic.

Jeden z pierwszych o pokoju zamierzonym i na wpeł już dokonanym przez potężnego

Huniadyego dowiedział się Grzegorz z Sanoka.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na

której tak niezmiernie pokładano nadzieje. Rad by był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądy Władysława, a drżał z niepokoju.

Dnia tego wcześniej niż zwykle poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo że godzina spoczynku zwykłego nadeszła.

Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratussem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zasępioy. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy

Grzegorza wprost zmierzył ku niemu. Blady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś? Huniady pokój z Turkiem umówił!

Załamiał ręce.

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie nastreczy się już taka zręczność zgładzenia potęgi pogan! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona... I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym

rozbójnikiem okrutnym, do traktatów z pogany! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi poczał z wolna:

— Ja w tym nie widzę nic tak dla nas nieszczęśliwego a, uchowaj Boże, sromotnego.

Prędzej bym się radował z takiego końca, jeżeli warunki pokoju korzystne.

— Pokój każdy teraz zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone

oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałżebym zawieść oczekiwania i okazać się małodusznym?

Grzegorz zmilczał nieco.

— Królu mój — odezwał się, umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczó bierzecie

to wszystko. Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwalnymi i pochlebstwy i za twą krew daje piękne słowa. Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam

garść włóczągów, których w obozie wstydzić się i kryć z nimi było potrzeba. Polacy i Węgrowie walczyli sami. Krzyżowców niemieckich i włoskich nie ma co wspominać. Na przyszłą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się — przerwał król.

— Bogdajbym się mylił — rzekł Grzegorz. — Pokój kilkoletni dałby czas urządzić sprawy

polskie, przygotować się powoli a silnie do ostatecznej rozprawy. Huniady jest mąż odważny, bacny, świadomy potęgi, z którą walczyć mamy. Kardynał pewnie zagrzewać będzie do wojny, ja w sumieniu mym pokój doradzam i modłę się do was, jeźli słuszny a godny, nie odpychajcie go...

Złozył ręce, w których trzymał książkę modlitw, i stał tak przed królem patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszonym, lecz wprędcę wróciło mu usposobienie, z którym przyszedł, tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożądał.

— A — zawołał — ty dobrze wiesz, czym mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiazek. Widziałeś sam, byleś świadkiem, że go spełnić żadałem, że chciałem jechać, zem postanowił...

— A kardynał to jednym słowem wniwecz obrócił! — wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał, wszyscy, wszyscy mnie błagali, abym pozostał — odparł Władysław. —

Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą.

Jeżeli pokój możliwy, królu...

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorzu mój, ojcie kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież,

ojciec nasz, Paleolog, król- wie, książęta żadają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnym, spuścił głowę, rozłozył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano panowie węgierscy, którzy listy od wojewody i despoty odebrali, po naradzie weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tym, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, który by się nie cieszył nadzieją pokoju, pokoju żadanego przez samych Turków. Już to samo, że oni go pragnęli i wyzywali do niego, pochlebiało dumie, a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że oprócz w Lasockim, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę, stawiał się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podzegał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i nie dopuścić, aby posiłki z Azji dla Turków przybyły, nie udawał więc, że zmienił zdanie (temu by nikt nie uwierzył), przybrał postać złamanego, zwyciężonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król widząc, że nawet kardynał jawnie oporu stawić nie myśli, zachwiał się.

Węgierscy panowie, przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdanie swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękany wojną, a sławy miał do syta.

Na to poselstwo, przemawiające natarczywie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak milczeniem przyzwalającym.

Kanclerz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław nie zwłócząc udał się do Szegedynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiech, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było podobna.

Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami, zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim jakimś uśmieszkiem skrzywione, stało jak groźba niema ponad roznamiętnionymi.

Dawszy szeroko się wytłumaczyć Węgrom, do których panowie polscy się mieszały, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomnijcie, że Turek z chytryści i przeniiewierstwa słynie. Być może, iż nas uwodzi

pokojowymi nadziejami dlatego, aby nasze przygotowania wojenne wstrzymał. Gdybyśmy nawet do Szegedynu jechać mieli, to nie inaczej jak wyprawivszy część wojska, którą gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem.

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostsza ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzódv jechać, aż wojsko

wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stać, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgierscy, widząc, że król stawiał to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili się.

Król nawzajem podróży do Szegedynu się nie opierał.

Łatwiej na pozór daleko, niż się spodziewali panowie, zdobywszy to, czego życzyli sobie, widząc kardynała milczącym, nie probującym nawet oporu i sprzeciwiania się, nie mogli

zrozumieć, jak się to stało. Cesarini dotąd nigdy takiego nie ukazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów,

spotkawszy go w podwórku, a wiedząc, że mistrz nie bardzo z Włochem był przyjaźnie, począł śmiejąc się chwalić odniesionym zwycięstwem.

— Wiesz, ojcze, cud się stał! — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał zaniemiał.

Triumf odnieśliśmy niespodziany.

— Sądzicie? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszcie się zawczasu, a nie dowierzajcie.

Człowiek ten, gdy milczy, niebezpieczniejszym jest niż w rozprawie. Dopóki on tu mieszka, wierzajcie mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeśli nie rozumem, to przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój nie zawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem, gdyby zawartym był, ja i temu nie zaufam.

Zmarszczył się magnat, ale ręką uderzywszy po szabli i zakławszy w swoim języku, rzekł:

— Jeden przeciwko wszystkim? Nic nie dokaże! Rozeszli się tak.

Król złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, spotkania się sam na sam z Cesarinim obawiał i wymówek a uzależnień, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był zmieszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini, w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną rezygnację.

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że oczyścić

się potrafię. Niestety, za nierozważnie, za pospiesznie zaręczyłem, że wyjdziemy w pole!

Zawiadomiłem o tym papieża, księcia Burgundii, Wenetów i Genuńczyków, którzy z flotami w pomoc nam spieszą. Okrutny, sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król ujęty bólem tym starał się go pocieszać.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nic może się nie dokona. Znacie moje uczucia, wiecie, żem gotów, lecz...

Kardynał przerwał dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości, tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba, nie przekonamy ich.

Milczmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę ofiarą, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się prawdziwym wydawał męczennikiem.

Król poruszony mocno uściskał go.

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki.

Panowie, obawiając się, aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań.

Wojskom dano rozkazy wyciągania pospiesznego nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesariniego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem.

W Szegedynie czekali Węgrowie bardzo licznie zebrani, wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gości wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w

Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie, lecz zręcznie. Publicznie wcale nie występował

przeciwko traktatom. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świecie surowo mógł być sądzony. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wiele

znaczącym milczeniem. Na osobności, z młodzieżą polską i węgierską, odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzierano chwałę, którą się okryć miało. Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zręcznością było zawsze zastosowywane, odchodzili od niego gorętsi

z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która dała się pieniędzmi i mamiącymi korzyściami uwieść do sromotnego kroku.

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nic nie działał, był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sanoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprawiało.

Mistrz Grzegorz nie krył się z tym wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkimi siłami. Lasocki równie był zamknięty i milczący jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie wywnętrzał jak przed nim, najlepiej wiedział, co się w tej młodej, zburzonej duszy działo.

Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach.

Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień.

— W pół drogi do celu, zaparto mi ją! Los złamali, przyszłość tak świetna zgubiona na wieki.

— Królu mój! — wołał Grzegorz — nie masz lat dwudziestu, przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wsławić się. Ten pokój, to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony, nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę, ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płocze, nieprzyjaciela za lekko ceni.

Krół bolał niewymownie.

Kilka dni oczekiwano na posłów tureckich. Wiadomym już było, że na czele poselstwa ma

się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadiusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach.

Głoszono go jako przebiegłego wielce i chytrego człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.

Grek, przeciw któremu przodem wysłano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając

Arkadiusza za tłumacza, nadciągnął w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych.

Kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku, dodał mu sułtan.

Z Szegedynu wysypało się, co żyło, dla zobaczenia tego wjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, którymi się żywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materii, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokosa i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które wdziawszy poselstwo sprawić mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co najprzedniejszymi ze dworu swojego panami, z całym majestatem monarszym. Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie, urzędnicy węgierscy.

Greki po turecku przyodziany, w szubie na wierzch, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława. Zagaił tym, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów.

Rodokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego. Na przemiany unizony do zbytku, jak by potem przypominał sobie, od kogo i z czym przychodził, rwał się zuchwale.

Po tym posłuchaniu wielkim rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi o pokój umowy. Turek tak skłonnym był do zgody, że prawie bez sporu oddawał zamki zagarnięte w Rascji wszystkie, część Albanii dla despoty, Bułgarów tylko zatrzymać chciał dla siebie.

Przytomny Jerzy, despota Rascji, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka,

rzucał się na kolana, błagał, zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdz i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowały, a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgierscy obstawali równie gorąco za pokojem.

Kardynał z dala patrzył, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży.

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował warunki te, nie mogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana, wszyscy zdawali się zgodnie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty.

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów będących w rękach Amurata, przyczyniały się też wielce do przyspieszenia układów.

Greki zdawali się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał.

Trzeciego dnia dał znać Lasocki Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawartym. Kardynał pobladł, ale nie rzekł ani słowa. Wyszedł jak zwykle do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężonym, przez Turków na *Alkoranie*, przez króla...

Rodokos, w chwili gdy o tym była mowa, obstając mocno, aby przysięga jak najuroczystsza była i jak najsilniej obowiązująca, wniósł, ażeby król ją na poświęconej hostii u ołtarza złożył, na tym, co dla chrześcijanina najświętszym było.

Nie bez przyczyny Grek się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżegać i do złamania namawiać.

Arkadiusz myśl tę mu poddał.

Na pierwszą wzmiankę o tym Grzegorz z Sanoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką.

— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął. — Przysięga na hostię niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłaby profanacją! Na to dozwolić nie można!

Greki obstał przy swoim.

Oburzony wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętymi ustami i piorunującymi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka w ostatnich dniach przychodziło co dzień do sprzeczek i sporów, często w rzeczach małej wagi, jak gdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje mistrz, kardynał zmierzył go wejrzeniem złośliwym.

— Miłościwy panie — odezwał się Grzegorz z zapalem. — Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej. Chce przysięgi na hostię! Byłoby to profanacją! Tego dopuścić się nie godzi!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nie odpowiadając spojrzał na kardynała, jak by go wyzywał. Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie — odezwał się — dlaczegożby i na hostię nie miał przysięgać? Zwyczaju tego nie ma, ale zakazu nie ma! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jak to? — wykrzyknął Grzegorz cofając się zdumiony. — I to wasza przewielebność mówicie? Wy, książę Kościoła? Dopuścilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem?

— Przysięgamy na krzyż i Ewangelią — odparł kardynał — dlaczego by nie na hostię?

— Nigdy w świecie nie dopuścimy tego! — zawołał Grzegorz.

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tym ani profanacji, ani nic nadzwyczajnego, a ta przysięga...

Lekceważąco ręką potrząsnął.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysięg nie jesteśmy obowiązani dotrzymywać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałoby być chrześcijańską nauką — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela,

który nieprzyjaciół miłować kazał, a za złe dobrym odpłacać?! Który w Ewangelii swej nikogo spod prawa miłości nie wyjął...

Cesarini spojrział z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

— Miłościwy królu — rzekł z powagą i namaszczeniem — chociaż przytomny tu legat Ojca

świętego zdaje się być za tą niesłyszaną formą przysięgi, której Turek, a raczej chytry Grek, jego poseł, wymaga, ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunku tego nie przyjmuję.

Byłem i jestem za pokojem — dodał — ale taką okupionym ceną, nigdy!

Kardynał pilno patrzył na króla.

Być mogło, że popierając przysięgę na hostię, chciał jej zapobiec i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był bliskim zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza.

Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko wedle obyczaju — rzekł stanowczo. — Nie bój się, mistrzu mój, świętokradztwem się nie skażę.

Uśmieszek przebiegł po ustach Cesariniego, milcząco spojrział na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

Grzegorz zwycięsko spojrział na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego i oddalił się.

Na pokojach króla czekano potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę zniecierpliwiony niepewnością tą Cesarini wyprawił Lasockiego na zwiady.

Dziekán powrócił przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na

hostię, ale widocznym było, że ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się krzyżem, Ewangelią a ołtarzem.

Kardynał posłyszawszy to pochmurniał, ostatnia nadzieja zerwania układów znikła.

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciągu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

X

Milczenie, cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrzył na zawarcie pokoju w Szegedynie, podżeganie dziwne, gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej, dla tych, co jak Grzegorz z Sanoka znali Cesariniego, niepojętym się wydawało.

On, co był wyprawy przeciwko Turkom duszą i sprężyną, co czuwał tu tylko nad tym, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą i ostateczną, w chwili zawarcia

dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jak by w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił jednak wcale o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zrzeczności sam na sam z królem i z tymi, których znał

usposobienia rycerskie, kardynał starał się obudzić w nich żal, iż pokój ten laury, sławę, zasługi im odbierał, niweczył wszystkie ich nadzieje.

Król też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini począł te żale rozwodzić.

— Zaprawdę — mówił do króla — nigdy Turek nie dał dowodu większego przewrotności a

rozumu, iak teraz. Czuł i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podoła. Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakich by nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwoliła! Przeszła wojna, w której wy, miłośnicy panie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego się ma spodziewać po drugiej wyprawie! Nieszczęsny ten pokój drogo opłacacie. Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę, wszak ci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodzić! Znoszę to z pokorą. Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Król wzdychał.

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie.

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takim przejęciem, że łyzy niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojciec mój — wyrwało się z ust Władysławowi — nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem, jest świętą przysięgą!

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciołom Chrystusa, podchwycona, przynaglona przez Huniadyego i despotę? Co warta taka przysięga? Nic! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło.

Król pobladł i drżeć zaczął.

— Ojciec mój — odparł wychowany w poszanowaniu nie tylko przysięgi, ale danego słowa, młody Jagiellończyk — wy byście mnie może rozgrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!

Na ten raz, nie popierając swojego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtórzył Grzegorzowi z Sanoka, który słysząc to zadrżał i ręce załamał.

— Królu mój — rzekł — przysięga każda jest świętą, poganom czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego, ale się myli. Zaprawdę nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga, nie dajcie się zwieść z prawej drogi!

Tymczasem zaledwie król do Budy powrócił, ów tak na pozór uspokojony kardynał, który w początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły, były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa,

dowódcy papieskiej floty, z doniesieniem, iż okręta jego oraz połączone z nimi statki Wenetów i Genuńczyków stały w pogotowiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzeczyć przeprawę do Natolii i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzód, nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, naglono króla, aby wedle danego słowa, ze swej strony pospieszał do Romanii i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami tymi szydersko uśmiechnięty, ironiczny i, rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem niż wprzód.

— Ani Ojciec święty, ani rzeczpospolite, ani książę Burgundii nie wiedzą — zawołał — że

my tu pokój zawarliśmy. Floty są gotowe, Europa na was rachuje. Co za srom, jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście!

Król słuchał przerażony.

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje, ona go znać nie chce. Ojciec św. poczynił takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu z założonymi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcze — rzekł król.

— Widziałem nie konieczność, ale upór despoty i Huniadyego — odparł żywo Cesarini — a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przyrzekliście, ale i złamaliście słowo wasze.

Król rzucił się z załamanymi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić?! — wykrzyknął.

— Zaprawdę, zaprawdę! — wołał rozogniając się kardynał. — Papieżowi i panom chrześcijańskim, daliście przyrzeczenie, słowo rycerskie, a teraz wystawujecie ich na sztych.

— Ojcze mój, litości! — odezwał się król błagająco. — Widzieliście postępowanie moje, byłem zmuszony...

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga? — przerwał triumfująco kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z piersią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był znowu, jak wprzód rozgorączkowanym. Nie ograniczył się na tym

nawracaniu króla, poniósł pismo kardynała do kanclerza, do panów polskich, wszędzie toż samo powtarzając i usiłując zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miała żadnej wagi.

Przyznać należy ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i

przekonywająco. Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród cały spada hańba za to przენiewierstwo.

— Króla nie obwinia — mówił — młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać

uwieść i przekonać. Hańba czeka Węgrów za zdradę Chrystusa, na was świat cały zrzuci winę, i słusznie! Wy w obliczu historii będziecie dźwigać hańbę tego zawodu. Ojciec św. wam tego nie przebaczy.

Pismo to pierwsze już poruszyło umysły, wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi. Kardynał coraz głośniej dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla znaczenia.

Mówił głośno, wszystkim, a coraz natarczywiej powtarzając, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Słowo to, zaledwie wyrzeczone, doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie. Począł równie głośno wołać, że nikt ani nawet Ojciec św. od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może.

— Sam Pan Bóg — krzyknął w zapale — tego, co było spełnionym, nie może zniestwić!

Co się stało, źle czy dobrze, stało się i człowiek dźwiga następstwa. Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi! Skalać tym tego czystego bohaterskiego pana naszego!

Nigdy!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Paleologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł

ich wojować teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny.

Kardynał triumfował, lice jego promieniało. Krzątał się goręcej niż kiedy, nie poczynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich.

Dowodził on im, pojedynczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze przysięgę tę czyniły nieważną.

Powaga Cesarzynie, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to z wolna zaczynało działać na słabsze umysły i zachwiało nimi.

Rycerstwo chciwe sławy, zagrzane tym, że papież, rzeczpospolite włoskie, książę

Burgundii, krzyżowcy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęło głośno utyskiwać.

Grzegorz z Sanoka sam niemal jeden pozostał ze swym niezłomnym przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież, z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów.

Młodość ich czyniła łatwymi do przekonania. Cesarini w kilku dniach wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować do wojny, mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką wzdargą, ponawiając to, że brał złamanie jej na swe sumienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż w końcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom wydawała się tak niezawodnym zwycięstwem, że żal po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał do zwalczenia kardynałowi mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy, człek prawy, nie skalany niczym, rycerskiego ducha, Huniady. Pokój zawarty z Turkami zapewniał mu Bułgarię. On sam z despotą przyczynił się do jego zawarcia, a bez

Huniadyego wojna była niemożliwą. Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz w małej odosobnionej mieścinie, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki listem powołany, w którym nie było mowy o celu narad, przybyć obiecał. Kardynał nie wydając się z tym, dokąd jechał i po co, znikł z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę, i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Powrócił z tej wycieczki kardynał wesół, z rozjaśnionym czołem, i nazajutrz stawiając się przed królem począł powitanie od tych słów:

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym nie wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów. Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki. Upłynęło już dużo więcej czasu, słowo złamali i my też od dotrzymania go jesteśmy wolni.

— Trzy zamki oddali Turcy — odparł król — zawiadamiając, że resztę niezwłocznie uwolnią i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem, dlaczego byście, miłość wasza, mieli im okazywać powolność, której by oni zaprawdę waszej miłości nie uczynili. Nie dotrzykali traktatów, są więc zerwane.

Król spojrział niespokojnie dokoła, badając, jakie to na innych przytomnych uczyni

wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej, przy tych naleganiach, ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze.

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ściśle biorąc, traktatu nie dotrzymani.

Kardynał nie nalegał. Chciał on wszystko tak przygotować i spisać akt stwierdzony najuroczystsza przysięgą i piekróla. Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał Lasockiemu przygotować i spisać akt stwierdzony najuroczystą przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązywali się ci, co do niego przystępowali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z pogany i w walce tej trwać do końca.

Król jeszcze o niczym nie wiedział, gdy już na wspomnianym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa Szymona Rozgona, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników najwyższych i dostojników węgierskich.

Kardynał po jednym naprzód ich pozyskiwał sobie, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął.

Czas upływał, należało na ostatek uderzyć na samego króla. Cesarini się przygotował do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ spowiednika skromnego musiał ustąpić przed powagą ojca Kościoła. Młodzież będąca przy Władysławie z wolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku.

Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska, rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni młodzi, już ze względu na Polskę, do której króla odciągnąć chcieli, już z poszanowania przysięgi, której świętość im Grzegorz z Sanoka co dzień wpajał, stali na uboczu i przy każdej zřeczności starali się Władysława zapał wojenny hamować.

Ale jak z jednej strony to trudnym było, bo król bolał okrutnie, że zawód uczynił papieżowi i książętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej niemniej złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyście przed ołtarzem złożonego.

W młodym sercu jego i umyśle wrzała walka straszna, która się na licu, w mowie, w życiu

całym odbijała. Nic mu nie smakowało, chodził niespokojny, modlił się prawie ze łzami, szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał co dzień:

— Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymywać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład.

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nic jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał, mając już za sobą biskupów,

Huniadyego i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym pocztem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekán Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzód

przysposabiał Władysława. Sam on czuł, że się coś gotowało. Panowie i duchowieństwo nie zdradzając się milczało znacząco, gdy mowa była o pokoju.

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru franciszkanów rano udał, przeszkodzić nie mógł rozmowie. Z kardynałem przybywali Szymon Rozgon kanclerz

państwa, Piotr biskup czanadzki i Wawrzyniec palatyn, nie licząc dziekana.

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą sprawę ważną, która się tu rozstrzygać miała.

Odgadnąć było łącno, po udziale kardynała, o co chodziło. Król wychodząc zadrzał i

pobladł. Przeczuwał, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej.

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy Kościoła kardynał rozpoczął mowę.

Dowodził w niej, że nie król i nie korona węgierska łamała traktat, lecz sami Turcy już go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą Ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat patrzy cały i czeka na nią. Na ostatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinał akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniadyego. Pozostawał jeden król, jeden Władysław i losy chrześcijaństwa od niego zawisły. W jego ręku była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć.

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrzył na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała i wargi mu drżały, a głos nie mógł dobyć się z piersi.

Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pergamin.

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał, rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i w końcu rzekł głosem drżącym:

— Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie, ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotówem.

— A któż nam takiego jak wy bohatera zastąpi? — odezwał się kardynał. — Nie, bez ciebie na czele nie ma wyprawy.

— Huniady! — przebąknął król.

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski i Węgier. — począł gorąco Cesarini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu. Wtem Cesarini o pomoc obejrzał się do Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykladał.

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku ani przeciwiństwa, ni zgody. Kardynał, który badał młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zbolałą, czekał, azali na niej promyk nie zabłyśnie.

Widział tylko coraz potęgujący się niepokój.

Po biskupach, którzy wszyscy wtórowali Cesariniemu, odezwał się Lasocki z żywością i poufałością starego sługi, domownika, doradcy.

Ze wszystkich może mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie.

Otwarły się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumentami Grzegorza z Sanoka.

Lasocki odpierał je zasłaniając się legatem papieża, powagą Ojca św.

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, oglądając, czy mu kto

na pomoc nie przyjdzie. Ale wszyscy byli przeciwko niemu.

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na rękę i nie odpowiadając już nic pozostał nieruchomym.

Ktoś by był może ulitował się nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności musiał korzystać. Nastąpił więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał.

Władysław spojrział błagająco i nie odpowiedział nic.

Milczenie Cesarini wytłumaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (dnia 4 sierpnia 1444) i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Zwyciężył Cesarini.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka wróciwszy z klasztoru wszedł na podwórcę, uderzyła go zmieniona ich fizjognomia. Młodzież z okrzykami i weselem, dawno tu nie widzianym, biegła, jak by już się przysposabiając do jakiejś wyprawy.

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu — zawołał — dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona!

— Sni ci się? — odparł mistrz. Wtem podpadł Gratus.

— Nie wiecie więc, król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu ogłaszającego wojnę. Idziemy na pogan!

Nie wierząc uszom swym mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce, powróciwszy do sypialni,

jak by chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi, padł przy kłęczniku przed krucyfiksem na modlitwę, złożone ręce trzymał ponad głową.

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeżeli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc słowa, nie uczynił wymówki, ukląkł za nim na modlitwę, ale z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy zalały łzami.

XI

Dnia dziewiątego listopada, w wigilią św. Marcina, wszystkie siły towarzyszące

Władysławowi królowi w wyprawie przeciwko Turkom stały już na równinie pod Warną.

Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwycięskim, równie jak zuchwałym,

jednakże wpatrzywszy się w zgromadzonych około namiotu młodych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu, oddzieliwszy się od tłumu, osobną gromadką stali, gwarząc po cichu, na twarzach ich trudno było dojrzeć zapału tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadchodził powoli, chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, rozdasany, przelatujący nagle po równinie na w pół wyschłej, w pół błotnistej i biegł gdzieś skryć się w gór wąwozach.

Następowała potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mruczeniem jednostajnym, przychodzącym od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie.

Horyzont dalej jeszcze opasywały sine góry, na których tle gorzały łuny rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko. Wszystkich oczy ku tym światłom czerwonym zwracały się niespokojne.

Blżej, jak zajrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rot, wśród taborów, które je zasłaniały w części. Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to rozpraszając ku góróm.

Z tyłu poza obozem królewskim i w prawo błyszczały, odbijając płowe niebios jasności,

limany i błota nadmorskie. Gdziekolwiek, spoza niskich namiotów, gromadami podnosiły się głowy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano. Gwar żołnierstwa słyhać było to głośniejszy, to cichszy, rżeniem koni zagłuszany.

W głosie zwierząt w tej chwili było coś jak rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwoga. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze, zegnali się nieznacznie.

Przy namiocie stojąca gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nieraźna.

Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili z wolna, zadumani, cicho, jak by nie chcieli, by ich podsłuchano. Nie opodal przy namiocie królewskim wielka nadworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce.

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić

bohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok ranego w jednej z dawniejszych potyczek Jana z Rzeszowa stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny na podziw z rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze i drugim ducha a buty dodawał.

Wszyscy wydawali się znużeni.

W jednej z tych chwil, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem, na szarych niebiosach ukazało się czarne jakiegoś ptactwa stado i powoli ciągnąc poczęło nad obozem. Grzegorz z Sanoka podniósł głowę i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie kruków stado.

Dostrzegł je i ranny na wozie leżący Jan z Rzeszowa.

— Ho, ho — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześniej na jutrzejsze pospiesza pobojuwisko. Zła wróżba.

— Nie wiadomo dla kogo — przerwał z dala wesoło Zawisza.

Zamilkli.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale kto by w to wierzył!

— To pewna — przerwał Wątróbka — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo. Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku.

— Im prędzej, tym lepiej — dodał Jędrzej z Sienna. — Co ma być, niech się dokona.

Wojsko niezgorzej położone u twierdzy i moczarów, a równina do boju dogodna. Byleby Bóg pobłogosławił.

Znowu jakiś czas milczano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych wszystkich w piękne słówka zamożnych panów chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie dotrzymani nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby — przerwał gwałtownie Grzegorz z Sanoka — na tym gdyby wszystko się

rozpiera. Gdyby owa flota Genuńczyków i Wenetów, co to na straży stać miała, aby Turków nie puszczać, sama ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła...

— Nie może to być! — zaprzeczył Zawisza.

— Jak nie może — odparł Grzegorz — wszakże szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą zeznali.

— Od Orszowej nam dobrze szło — dodał z wozu, podnosząc się i na łokciu opierając, Jan z Rzeszowa. — Mieliśmy iść wprost na Adrianopol i tam z flotą i posiłkami się połączyć, ano za mało nas było, aby się tak ważyć. A dlaczego za mało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucać winę — sprzeciwił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wysłali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie jak kapłan, ale jak żołnierz, i losy nasze dzieli.

— A nie obrachował, na jakie nas naraził — niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie — rzekł Zawisza.

— Ani się z tym taję, że mu za złe mam, iż króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu przebaczyć nie mogę — rzekł Grzegorz.

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdobywać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka

— a i to złe, bo w nich załogi tureckie się gnieźdzą i poza nami zostają.

— A czymże je brać było? — odezwał się Wątróbka. — Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów nimi nie złamać!

— Działami się na prędki pochód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła za mała, a posiłki

niepewne, od Nikopolis zawrócić. Byłem przy królu, gdy Drakuła przyjechał. Popatrzał się tylko na nasz obóz, a potem na młodego pana i do nóg mu przypadał prosząc, aby powracał, a nie ważył się dalej. Zna on Turków siły dobrze.

— Z czym wy ciągniecie? — mówił. — Sułtan jadąc na łowy więcej z sobą ludzi bierze.

Łzy miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi dać chciał, ludzi, konie, aby na

wszelki wypadek ratować się mógł. Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali! Daj Boże, byśmy nie żalowali tego. Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba, bo rycerstwo wygodę i przepych lubi!

— Mistrzu — gwałtownie zakrzyczał Zawisza — już i na nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Niesiemy życie ochotnie.

— Toteż mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy Wątróbka wtrącił:

— Przecież już nie darmośmy szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No i Warna się poddała — wtrącił Piotr z Latoszyna — ale to wszystko na nic, jeśli ich jutro nie pokonamy.

— Król jest najlepszym nadziei — począł Zawisza. — Biada tylko, że mu od siodła wrzód na nodze nabrał, bo na koń ciężko wsiąść będzie, przy Bożej pomocy jednak zważać na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noc nadchodziła. Wśród ciemności ognie tylko oddalone i bliższe, rozsypane na czarnej przestrzeni, widać było. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał. Kupka spod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła.

Pozostał tylko jak przykuty tęsknicą Grzegorz z Sanoka przy rannym.

— Niewypowiedziany ból w sercu czuję — rzekł cicho — gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziczy, za dobroć swą i wielkie serce. Nie mogę się złym przeczuciom obronić!

— Ale! Zasię — żywo odparł ranny — ja tak znowu wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewielu może na te tłumy niesworne pogańskiej hałastry, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byliśmy ich w pierwszym starciu złamali.

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka — rzekł mistrz — ale u nas serce gorące, ochota wielka i w boju człek pamięć traci. Ale czas do namiotu —

zawarł Grzegorz podając rękę rannemu. — Okryjcie się ciepło i śpijcie, jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z nogą bolącą wyciągniętą siedział, ale twarz miał wesołą.

Kardynał obok niego odpoczywał, czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych puchaczów, co wszędzie ze złą wróżbą przylatują i psują najmężniejszym serca. Cóż z tego, że Turcy się okazali już przed nami? Siedzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie wazą.

— A my jutro mając ich tak blisko, moglibyśmy wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu, żołnierz pochodem więcej się nuży niż w boju.

— Z ogniów miarkując — wmieszał się przybyły Grzegorz — siłę mieć muszą znaczną.

— Luźnie idą i obozują zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczymy, co jutro pokaże.

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku odprawił kardynał mszę świętą.

Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne.

W obozie jak by się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął.

Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przywdziewać zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu, od gór, krzyki słyszeć się dały. Czeladź nadbiegła wołając: — Turcy idą, już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o nodze nabrzmiałej zapomniawszy, i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szykował.

Ze wszech stron wołano:

— Na koń, na koń!

Wtem przypadł Wątróbka, pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć. —

Tabor nas uwięzi i zamknie — począł król już jadąc naprzód — niech wozy z tyłu zostaną. Ludzie za wozami się nie kryjąc lepiej walczyć będą. Naprzód, naprzód!

Zachwiał się mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go podchwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali. Huniady podpadł na koniu i zobaczywszy Władysława mocującego się z bólem, począł wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborem.

W tej chwili ziemia tętnieć zaczęła i pułki na skinienie Huniadyego ustawiały się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskim Jeziorem zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W środku miejsce zostawiono dla króla z jego orszakiem, który właśnie się zbierał wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój to święto uroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za nimi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu biskupa jagierskiego, ban Sławonii ze swymi, rota kościelna Cesariniego, a na prawo w step św. Władysława chorągiew z biskupem Waradynu.

Z tyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać.

Czasu do uszykowania się dość było, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciół ukazał się dopiero, gdy słońce już ku południowi się miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swym otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wichur, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad nimi stały podniesione wysoko, poszarpał i przygniół do ziemi.

Żaden z tych, co je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew św. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrzymała, choć poszarpana.

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było. Spoza nich naprzód Turcy się skryci ukazywać zaczęli, a na ich czele, z ogromnymi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów.

Na prawym skrzydle przy chorągwi św. Władysława pierwszy bój się rozpoczął z wrzaskiem i piskiem dziczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła. Były to właśnie najslabsze pułki biskupie i przy nich papieski żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia.

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelii.

Na próżno dowodzący powstrzymać ich usiłowali. Część Turków, rzucając za zbiegłymi dziryty i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosza też, w pobliżu postawiona, samą

się ujrząwszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony, bezładnie.

Cudem prawie chorągiew św. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której

w pomoc kardynał Julian i ban w paręset koni pobiegli. Bitwa się tu cała skupiła. Część Turków ścigała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór.

Gdy się to działo, stał jeszcze król w pośrodku chwilę, w tej nadziei, że po pierwszym

starciu bój może się odmiennym szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapał zaledwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą.

Nie było jednak sposobu wstrzymać już, gdy chorągiew św. Władysława osaczoną zobaczył,

spiął konia i na oślep rzucił się w tę gąszcz walczących, a za nim wierni towarzysze.

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem przy taborze stał na

przedzie, ujrzał złocisty hełm jego poruszający się z dala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesionymi mieczami za nim leciała. Z tyłu pozostała chorągiew św. Władysława, której król w pomoc chciał spieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków obleżona.

Zwrócił się więc na jej obronę i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków coraz nowe płynęły tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojuwisko.

Swoi i nieprzyjaciele zmięszali się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w kupy walczące, bo i ci, co leżeli obaleni na ziemię, koniom podrzynali nogi, jeźdźców chwyтали za strzemiona.

Wśród wrzasku, ryku i rżenia, chrzęstu broni, świstu strzał, już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięsko dotąd walcząc ploszył przed sobą, co żyło, i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępu pieszych janczarów, wielkimi tarczami jak murem osłonięnych, wśród gradu strzał i bełtów, które nawet zbroje żelazne przebijały.

Sypano nimi z pobliskich wzgórzów, zza krzaków nieustannie.

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia na wóz wysoko naładowany się wdrapał,

ujrzał króla jeszcze przeryniającego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś słaniał się i ubywał.

Złoczone hełmy padały i znikały. Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa. Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypały się jak bicz paciorków, gdy nić trzymająca go pęknie. Huniady szedł za królem jeszcze.

Mistrz zamknął oczy przerażony, a gdy je otworzył, w dali nie zobaczył już nic oprócz gęstego tłumu janczarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony.

W taborze zadrzało wszystko, ludzie przytomność stracili. Niektórzy chwyтали konie i dosiadłszy je, jak szaleni, puszczali się nie patrząc, gdzie biegli, oślepi wrogowi pod miecze.

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność, nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło, w piersi zabrakło oddechu.

Orzeźwiła go rzucana na twarz woda i wołanie pachołka królewskiego, który mu do konia służył, lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie mógł. Jak dziecko się dał pochwycić, na koń rzucić i pociągnąć sam już nie wiedział dokąd.

Słyszał tylko wrzask bojowy poza sobą, dokoła, w powietrzu, świst strzał, jęki konających, potem głucho wrzenie i szum, potem wiatr szeleszczący w gałęziach drzew.

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek klęczał okrwawiony i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła, a z nią cisza i ciemności, po wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą

Petrek, trzymając osłabłego na koniu, kierował, zdająca się spoczynkiem grobu. Grzegorz usnął, sądząc, że z boleści dusznej na zawsze zaniknie powieki.

Obudził go chłód poranka i Petrek stojący nad nim z końmi, a naglący do dalszej ku

Dunajowi ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i poddał się jego wodzy. Stracił rachubę czasu, osłabł i życia już nie pragnął.

— Nad Dunajem jesteście! Bóg nas ocalił! — zawołał Petrek, który do leżącego na ziemi

Grzegorza przybiegł przynosząc mu kawał chleba gdzieś wyżebrany czy wydarty.

Po długim głodzie, chleb ten suchy wydał się najrozkoszniejszym jadem. Grzegorz

odzyskał powoli zmysły. Leżeli wśród mokrych zarośli, nie opodal słyhać było szum rzeki.

Wtem od brzegu jej jęk się dał słyszeć. Petrek przestraszony porwał się i nastawił ucha.

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki — zawołał — w pomoc iść trzeba! Przerazony pacholek na próżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który odepchnąwszy Petrka puścił się chwiejącym krokiem w zarośla ku rzece.

Ciągle powtarzające się jęki coraz słabnącym głosem prowadziły go ku sobie. Rozpostarłszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrział i stanął osłupiały.

W krwawej kałuży leżał człowiek w poszarpanej i podartej odzieży, na pół obnażony, ranny, drgając ostatnimi życia wysiłkami.

Twarz zaschła już w części, krwią okryta, nie dozwalała rysów rozpoznać.

Grzegorz przybliżył się ostrożnie, pokłękł nad nim i schyliwszy nad nieszczęśliwym

krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w nim konającego kardynała Cesariniego.

Umierający otworzył oczy, spojrział i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła.

— Tyżeś to?! — zawołał ręce załamując Grzegorz. Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem

Cesarini zamruczał:

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniadym zjechaliśmy po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przeprawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzucił do wody...

Nie miał już mówić siły.

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając usta, zdawał się powtarzać.

— Niech Ci Bóg przebaczy — dodał w końcu — boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeśli król nasz, bohater ten, padł ofiarą, a, nie ma dla ciebie przebaczenia. Tyś go zabił!

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim ostatnie wyszło tchnienie.

Straszne to były dni, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju

niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie miłym nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski. Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał

powiedzieć, ani co się z królem stało, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli.

Grzegorz z Sanoka leżał chorobą powalony, zniechęcony do życia, nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, która by go spytała:

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech, i w Polsce łudzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi ujść się i życie ocalić udało, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam lub indziej widziano. Nierychło potem od Turków przysłała wiadomość, że głowę męczennika za wiarę, ściętą na placu boju, w triumfie rzucono pod nogi Amuratowi.

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstąpiła, nikt nie pozostał.

Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarnej i wielu a wielu innych.

Z wziętych w niewolę rannych Polaków, dwunastu najpiękniejszych, najurodziwszych, najdzielniejszych sułtan kazał wybrać, aby ich zmusić groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać zbiec z Adrianopola. Razem z nimi zamknie- temu w

więzieniu młodemu Bułgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten, siebie ocalając, ich zdradził.

Czekała śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskim żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska.

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Na ostatek tęsknota za nim, dawni towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonana, czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistności sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki.

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który nie doszedłszy lat dwudziestu zjednął sobie imię

nieśmiertelne rycerskim poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z polskich poetów wierszem, którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany Wpółśród ziemi tureckiej; jego poświęcone
Kości nie są w ojczystym grobie położone: Grób jego jest Europa, słup śnieżne Bałchany Napis —
wieczna pamiątka między krześcijany

Drezno 1882.

Document Outline

- [TOM PIERWSZY](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [KONIEC TOMU PIERWSZEGO](#)
- [TOM DRUGI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [XI](#)